ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA

SZALEŃCY BOŻY

W. ACADEMY
Villa Maria
600 Doat St.
BUFFALO, N. Y.

H. M. ACADEMY
Villa Maria
600 Doat St.
BUFFALO, N. Y.

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA

SZALEŃCY BOŻY

II

SZALEŃCY BOŻY

Franciscan Fathers, Minor Conventuals

NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

ukazały się

ZOFJI KOSSAK-SZCZUCKIEJ:

POŻOGA. Wydanie IV

BEATUM SCELUS. Wydanie II

KŁOPOTY KACPERKA, GÓRECKIEGO SKRZATA
Z barwnemi ilustracjami

WIELCY I MALI

ZŁOTA WOLNOŚĆ
Powieść historyczna w dwu tomach. Wyd. II

SZALEŃCY BOŻY
Wyd. I, z 7 wielobarwnemi ilustracjami Leli Pawlikowskiej
Wyd. II, z 12 jednobarwnemi ilustracjami Leli Pawlikowskiej

NAKŁADEM WYDAWNICTWA OO. JEZUITÓW
W KRAKOWIE:

Z MIŁOŚCI

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA

X143

SZALEŃCY BOŻY

WYDANIE DRUGIE

Z 12 ILUSTRACJAMI

LELI PAWLIKOWSKIEJ

Franciscan Fathers, Minor Conventuals

ELLICOTT CITY, MARYLAND

3133

KRAKÓW 1930

NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

POLISH BOOK IMP. CO., INC.
38 UNION SQ., NEW YORK, N.Y.

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
COPYRIGHT BY KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA, KRAKÓW,
NINETEEN HUNDRED THIRTY

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

NA PUSTYNI

Pora była jeszcze wczesna, gdy Antoni, syn Sylwerjuszowy, wyszedł z miasta Heraklei przez bramę zwaną Kamienną, bo otwierała się wprost na bezbrzeżne, głazami usiane obszary pustyni. Szedł żwawo, rad, że go nie zauważyli strzegący bramy strażnicy. Przystanął na rozżarzonej słońcem równinie i odrzucił z głowy opończę. Nastawił ucha, w złudzeniu, że z targowiska miejskiego dolatuje go aż tutaj wrzawa i zgiełk tłumu, pomiędzy który rozdał przed godziną wszystek swój majątek. Pomny Chrystusowych słów: «rozdaj, co masz ubogim», — puścił wolno niewolników, wywiódł na plac wielbłądy, osły, skrzynie ozdobne, tkaniny, beczki z oliwą i prosem. Dźwignął ciężki miech monety. Brzękiem jej zwołał ubogich przekupniów wody chylących się pod ciężarem amfor, skulonych żebraków śpiewających naprzemian pieśni o Bogu-Stwórcy i bogini Wenus, łypiących chytrze oczami ropiejącemi w czerwonej otoce powieki, — trędowatych, poganiaczy mułów, wrzaskliwe jędze-kobiety o piersiach zwisłych i próżnych, ślepców i kaleki. Rozdzielił pomiędzy nich wszystko co posiadał, szybko,

śpiesznie, z trudem hamując wstręt i odrazę do smrodliwej ich nędzoty. Trwożyły go zarówno hałaśliwe podzięki i błogosławieństwa, jak sarkania rzekomo pokrzywdzonych przy podziale, lub napastliwe, zachłanne wyrzuty spóźnionych. Uszedł co rychlej, niepostrzeżony.

Nie było w nim krzty życzliwości dla tłumu, którego stał się dobrodziejem. Poza dziecinnem oszołomieniem własną wysoką doskonałością nie czuł w duszy żadnego wesela. Nie radowała świadomość radości drugich. Z natury był chłodny, lękliwy, małomówny, pełen mimowolnej, ale przecież głębokiej pogardy dla otaczającej go znikomości świata. Jakież nędzne, nietrwałe i małe widziały mu się te wszystkie zabiegi, starania i losy! Tęsknił ku rzeczom wieczystym, ku Bogu. Pragnął poznać Go, dosięgnąć, posiąść. Nie sądził, iżby możliwem to było inaczej niżli w pełni samotności, zdala od turbacyj doczesnych. W przeciwieństwie do ludzi zapełniających pustkę gwarem — chciał znaleźć próżnię, aby wypełnić ją Bogiem. Światem nietylko pogardzał, ale lękał się go. Lękał się możliwych pokus. Szedł w pustynię niby łowca spragniony ciszy, by w niej schwytać Głos Przedwieczny, zrozumiały dla wybranych.

Czuł się wybranym...

Szedł w pustynię, zbywszy wszystkiego, co miał, z tykwą u pasa i kijem pielgrzymim w dłoni, zapatrzony w rozścielające się przed nim rozłogi. Wołająca

go pustynia podchodziła tuż aż pod bramy miasta, obejmowała znagła milczeniem wędrowca i ciągnęła w nieskończoność. Nie zdeptał jej jeszcze nikt. Odkąd wola Boga wywołała z chaosu kształt jej, morzu sfalowanemu podobny, w dniu stworzenia świata, — odkąd spłynęły fale przy rozdziale wód, odsłaniając jej płowe oblicze, — nie stąpnął w nią żaden człowiek. Nie zamieszkał wśród głazów jej żaden samotnik. Nie uświęcił modlitwą swą żaden anachoreta. Nie poznał tajni jej nikt.

Więc, pełen dumy, Antoni pomyślał, że, jeśli jest gdzie w świecie pustka doskonała, miejsce sposobne, by człowiek wybrany mógł w niem usłyszeć Głos Boga, — tedy niechybnie tutaj się ono znajduje. I szedł radośnie przed siebie, a wiatr zawiewał ślady jego stóp.

Gdy noc zaszła, położył się wygodnie na piasku i zasnął. Przez sen słyszał naokoło siebie tętent kopyt, lecz rano, zbudziwszy się, ujrzał tylko szarą bezdal pustyni szerokiej. Zjadł wyjęty z sakwy kawał placka jęczmiennego, a wieczorem napił się wody ze źródła. Przy tem źródle spoczął na noc drugą, w cieniu chylącej się palmy. Uśpiony, posłyszał tętent ponownie. Samotność, którą się cieszył, była snadź złudą; ktoś przyszedł w ślad za nim. Otworzył z niechęcią oczy i w świetlę miesiąca ujrzał wielkiego centaura, który przyglądał mu się z trwożliwą uwagą. Spotkawszy wzrok Antoniego, zagrzmiał kopytem w nagłym

porywie ucieczki. Odbiegł o strzelenie z łuku i stanął, parskając. Pomknął ponownie, wznosząc pył za sobą, — zatoczył koło, i znowu przystanął. Ciemna jego sierść błyszczała niby zlana wodą, czarny ogon spływał strumieniem do ziemi, szeroka pierś męska dyszała.

— Czego chcesz tutaj, wędrowcze? — zapytał wkońcu chrapliwie.

— Chcę być sam.

— Nie słyszałem dotąd, by człowiek szukał samotności. W stadzie żyją zwykle ludzie, na wzór gazeli, świstaków i mrówek. Co ci po niej?

— W samotności tylko i swobodzie doścignę To, czego szukam, a czego ty znać nie możesz.

— Znam wszystko. Jestem Moc pustyni, wolna, swobodna, niczyja. Siadaj na mój grzbiet, a doścignięsz nawet ptaka.

— Nic mi po tobie i po locie twym, Mocy pustyni...

Odszedł przed siebie szybkim krokiem, gdy gniady centaur patrzył za nim pilnie, bijąc kopytem ziemię ze zdziwieniem.

Kiedy następnej, czwartej od wyjścia z Heraklei nocy ułożył się wędrowiec do snu wśród kamieni, dolatywało go z wieczora naszczekiwanie szakali, a gdy zmilkły, i miesiąc wielki, złocisty, wytoczył się ponad roztocze pustynne, usłyszał przez zaporę snu śpieszne, niespokojne tupotanie racic. Otworzył oczy i spotkał wytężony wzrok koźlacza satyra, co nachylał się nad nim ciekawie. Stary był, bezzębny, z siwiejącą ryżą

brodą. Uśmiechał się do śpiącego, napoły dobrotliwie, napoły drwiąco.

— Sądziłem, że w pustyni znajdę samotność i pustkę! — zawołał z gniewem Antoni.

— Pustynia nie jest pustką — odparł wesoło koźlacz, tupiąc racicami. — Pustynia jest pełna wesela, a ja jestem niefrasobliwy Radośnik pustyni.

— Czego odemnie chcesz?

— Powitać cię między nami.

— Obyś mię raczej co rychlej pożegnał! Chcę być sam zupełnie sam. Uszedłem ludzi, szukając samotności i ciszy. Nie chcę oglądać nikogo.

— Bądź zdrów zatem! — gwizdnął beztrosko Radośnik. Spoglądał za odchodzącym pielgrzymem, drapiąc się z zastanowieniem po kudłatej głowie, przysiadł w ciepłem jeszcze zagłębieniu ludzkiego legowiska i, krzywiąc się, spróbował porzuconych okruchów placka jęczmiennego.

Antoni zaś szedł i szedł przed siebie, a na piątą noc wypoczynku obrał źródło cieniste. Ledwo zasnął, zbudziły go ciche westchnienia i szepty. Korowód smukłych nimf źródła bielał naokoło niego. Widząc, że się zbudził, odrzuciły mokre kosy na plecy, — gotowe pierzchnąć, targane razem ciekawością i obawą.

— Czego chcecie? — zapytał z niechęcią.

— Ktoś jęst? skąd idziesz, wędrowcze nieznany? Jesteśmy Piękno pustyni, wolne, nieoglądane dotąd przez nikogo. Czy chcesz, byśmy poszły z tobą?

— Nie chcę, za nic! Zostańcie tu, gdzie jesteście, nie troszcząc się o mój ślad. Nie potrzebuję Piękna pustyni bynajmniej...

Od tego źródła dążył jeszcze Antoni cztery dni, ciągle na Zachód, aż doszedł góry, którą dziś zwą Kolzim; wówczas zaś miana nie miała. Głowa jej leżała w chmurze, strojna w biały turban śniegu. U podnóża tryskało źródło, obrośnięte gęsto trawą i krzakami. Powyżej, w skale, woda deszczowa, sącząc się wąską skałubą, wymyła niewielką jaskinię-pieczarę. Cisza i pustka panowały wkoło.

— Tu zamieszkam — powiedział Antoni.

Zdjął sakwę, tykwę, i ukląkł do modlitwy. Znalazł kres swojej wędrówki. Był w sercu pustyni, samotny, gotów na przyjęcie Pana.

Wytrząsnął z sakwy resztki wziętego z Heraklei placka i pożywił się niemi skąpo, oszukując głód. Z ufnością spojrzał na niebo.

— Pana jest troską, nie moją, co będę jadł jutro, gdyż dla Niego tu przyszedłem. W Jego ręku żywot mój — pomyślał, wyciągając się w grocie na piasku...

Rankiem zbudził go szum skrzydeł. Nie otwierał oczu, sądząc, że to sępy, których skwir głodny słyszał poprzedniego dnia, gdy z załomów skalnych, gdzie miały swe gniazda, wylatywały na żer. Lecz w tejże chwili jakiś przedmiot upadł na ziemię tuż przy nim. Podniósł się, zdziwiony. Wielki czarny

kruk odlatywał śpiesznie, a na ziemi leżała połowa placka jęczmiennego.

Uśmiechnął się wędrowiec dziękczynnie, radośnie. Rozpłomieniło się chłodne jego serce uwielbieniem i wiarą. Oto sam Bóg daje znak, że upodobał sobie tę pustelnię... Ujął swą laskę pielgrzymią, zrobił z niej krzyż i ustawił go przed grotą, na znak, że już stąd nigdzie nie odejdzie.

Tu oczekiwać będzie Głosu łaski Pańskiej.

I mijały dnie, tygodnie, miesiące i pory. Pustelnik mieszkał w swej grocie. Codziennie rano ze wschodu nadlatywał kruk, spuszczał pół placka i odlatywał na zachód. Wody dostarczało źródło. Ręką Boga widomie karmiony, głosu Jego oczekujący, Antoni byłby się czuł niezmiernie szczęśliwy, gdyby pogody jego nie mąciło natarczywe, bogate życie pustyni. Gazele, przychodzące pić do źródła, przystawały, patrząc na niego uważnie. Lękliwie podchodziły szakale, obwąchując wszystkie kąty pieczary. Gdy klęczał zamodlony, mrówki wspinały mu się na ramiona, pierzaste ćmy pieściły po twarzy puchem miękkim jak westchnienie. Odsuwał zarówno jedne jak drugie niechętnie, w wiecznej obawie, że w rozsypce myśli przeoczy chwilę Wezwania. Odwracał się przed czarownie trwożnym wzrokiem ciekawych gazeli, zamykał oczy i uszy.

Rad byłby zamurował swoją pieczarę. Uwagę samotnika bowiem rozrywał nietylko zwierz drobny pu-

PROPERTY OF KONARSKI
ST. BONAVENTURE SEMINARY

styni. W upalne noce centaur cwałował dokoła źródła, krzyża i pustelni. Ziemia jęczała pod grzmotem jego nóg stalowych. W mroku błyskały pałające oczy, przewijał się chlust ogona, migał lśniący kabłąk zadu. Wzywał z ciemni pustelnika k'sobie na ścigłe gonitwy.

Gdy wiosna zazieleniła spalone słońcem krzewy, u podnórza góry rosnące, schodziły się ku grocie jurne koźlacze-satyry, wiodąc ze sobą lękliwe i urocze driady. Całe noce pustelnik słyszał śmiechy ich, nawoływania i pląsy.

— Odejdźcie stąd — prosił gniewnie. — Nie znam was, i nie chcę znać. Oczekuję na Głos Pański, co przemówić może do mnie lada chwili. Muszę trwać w ciszy, aby go usłyszeć.

— Jakże go usłyszysz, nierozumny? — pytały ze śmiechem. — Bez Mocy, Radości i Piękna, obcy życiu, cóżeś jest? Badyl suchy, obumarły, wetknięty w piasek pustyni. Głos przejdzie mimo cię, nie dotykając.

Nieprawda! duch mój zwabi go i chwyci.

Nie zwabi nikogo, nie schwyci, jałowe, bezpłodne czekanie. Pójdź szukać prawdy swej z nami.

Zatykał uszy i zasłaniał oczy, bo podchodziły tuż do samej groty. Padał twarzą na kamienie, milczał pogardliwie, lecz one stały wytrwale do świtu. Rankiem znikały, by znów wieczorem powrócić nieubłagane niby Życie samo. Nienawidził ich, dzień cały zbierając siły do walki.

Lata mijały, mijały...

Aż zwolna w nieustępliwej odporności pustelnika znużyli się jego wrogowie. Obojętniała, odwracała się pustynia. Odsuwane codziennie, przestały się zajmować osobą jego zwierzęta. Nie poświęcały mu więcej uwagi niż gdyby był pniem lub kamieniem. Coraz rzadziej tętniały kopyta centaura, rozbrzmiewały śmiechy nimf. Coraz rzadziej, coraz dalej. Aż zmilkły, odeszły zupełnie.

Jak odprężony łuk, w bezpotrzebie walki, starzec Antoni siedział dniami, tygodniami, objąwszy rękoma kolana. Upragniona cisza, pustka doskonała leżały wkoło niego. Nikt nie zakłócał już nocy. Pustka zagościła w starem sercu, kołaczącem wśród wyschłego ciała. Ale Pan nie kwapił się pustkę tę wypełnić głosem swoim, niby muszlę morską szumem. I tylko siwy już ze starości kruk, wierny wysłaniec, stanowił jedyny dowód opieki Bożej nad swoim wybrańcem.

Mijały lata...

Zniżało się słońce poza górę Kolzim po raz stotysięczny i więcej, gdy starzec drgnął i wytężył oczy, ujrzawszy, że ktoś nadchodzi. Zbliżał się zdala wędrowiec. Wysoki był, pochylony. Złożone, zwisające skrzydła wlokły się w pyle poza nim z szelestem. Przechodząc mimo groty spojrzał w twarz pustelnika posępnemi, palącemi oczami.

Zadrżał Antoni, poznawszy.

— Ktoś jest? Czego chcesz? — wyjąkał.

— Wiesz, ktom jest — odparł przechodzień.

— Czego chcesz? — powtórzył starzec.

— Osiedlić się w pobliżu ciebie.

— Idź precz!! — zakrzyczał Antoni przeraźliwym, starczym głosem. — Bóg jest ze mną!

— Nie widzę Go.

— Krzyż! Oto krzyż! Idź precz odemnie! Idź precz!...

Ale archanioł upadły potrząsnął przecząco głową.

— Nie widzę krzyża. Czuję wkoło ciebie pustkę, należną władztwu mojemu Nicości. Tu pozostanę i spocznę.

Zdrętwiały ze zgrozy starzec cofnął się w głąb groty, a szatan usiadł opodal na głazie i trwał tam nieruchomo, patrząc się w pustynię. Ciemne jego skrzydła, stulone jak skrzydła ćmy śpiącej, rzucały cień na grotę pustelnika. Antoni budził się i zasypiał w sinawym, chłodnym ich mroku, w nieustającem przerażeniu i lęku widziadła. Gdziekolwiek się zwrócił, cień szedł za nim, kładł się przed nim. Obecność straszliwa przeorała myśli starca, wywiodła nieznane ich tajnie. Wylęgły się, wyroiły przed oczyma duszy, jak mrowie robactwa, myśli zdradzieckie, drwiące, szydliwe, pomstliwe. Wyciągnęły się przed wzrokiem w długi łańcuch dni ubiegłych, szereg lat niezrachowanych, spędzonych w głuszy samotnej, szarpnęły serce tępem pytaniem: czyli warto było? — wświdrowały się do mózgu skrytem podejrzeniem, że Bóg jest snadź

niezmiernie obcy i daleki, skoro tyle poświęcenia doskonałego i modlitw wytrwałych nie zdołało Go ani uprosić, ani przywabić...

...Obcy, nieczuły jest Bóg...

...Niedbały o dusze ludzkie...

...Poza sklepieniem gwiaździstem nie czuwa, nie chyli się ponad światem baczne miłosierdzie niczyje...

...Nicość zalega przestworza...

...W pustkę uderza głos doskonałego...

Cień skrzydeł sposępniał, wzrósł. Stał się ważki, dotykalny. To szatan, siedzący na głazie, zwrócił się twarzą ku pustelnikowi.

Niby ostatni odruch tonącego, ostateczny błysk świadomości ginącej, — straszliwa rozpacz targnęła sercem strwożonem. Od wrót zatraty przypadł z jękiem do stóp krzyża. Z szlochem jakoby dziecinnem:

— Panie! Ratuj niegodnego!!...

— Obroń mnie od myśli moich!

— Nie pozwól, bym zwątpił o Tobie!

Uszedł, rozpłynął się posępny cień. Znieruchomiało powietrze, wstrzymała oddech swój ziemia. Albowiem na co czekał stary człowiek przez trzy ćwierci wieku — spełniło się w tej godzinie. Głos Pański rozbrzmiał w pustyni. Napełnił ją, wstrząsnął, pełen potęgi i gniewu:

— Cóżeś uczynił, abym cię bronił, ratował? Dość darów złożyłem w tobie... Coś z niemi zrobił? Odpo-

wiedz!... Gdzie owoc życia twojego? Gdzie głodni, których nakarmiłeś, nędzarze, których przyodziałeś, strapieni, których pocieszyłeś? Nie miłuje mnie, kto stworzenia mego nie miłuje. Patrz, gdzie cię pycha zawiodła!

— Panie! ulituj się, Panie!!

— Idź, zły sługo, miłować bliźniego swojego...

Dwie doby minęły, zanim powalony starzec ocknął się i podniósł z ziemi. Słowa Boże grzmiały mu jeszcze w uszach, waliły w przeobrażonem, odmienionem sercu: Idź miłować... idź miłować bliźniego swojego... To rozkazał czynić Pan. Zapragnął rozkaz wykonać bez zwłoki. Gdy zwiókł z siebie pancerz pychy, stare serce ogarnęła paląca tęsknota za jakąkolwiek żywą, przyjazną istotą. Niechby bodaj nędzny szakal, bodaj świerszcz, co cyka w skale! — Lecz wokoło legła cisza martwa i nieznośna. Wszak oddawna zniechęcone poszły stąd Siła, Radość i Piękno pustyni. Dawno odpłynęło życie. Sam był, — jak tego chciał przed laty. Jakże teraz szukać pójdzie na gnących się z osłabienia, odwykłych od chodu nogach? Stał bezradny, darmo wypatrując, kogoby mógł do piersi wezbranej spóźnioną miłością przycisnąć, powitać bratniem nazwaniem... Lecz otaczała go pustka.

Z trudnością poszedł do źródła. Gdy zaczerpnął w tykwę wody, stanął, po raz pierwszy rozglądając się wokoło. Pierwszy też raz zauważył po przeciwnej

stronie źródła ścieżkę wydeptaną w trawie, bliźniaczo podobną do tej, którą własne jego stopy wygniotły. Okrążył źródło i poszedł tą ścieżką. Ciężyły osłabłe nogi...

Na przeciwległym stoku góry Kolzim świątobliwy pustelnik Paweł siedział przed pieczarą, co już pół wieku przeszło służyła mu za mieszkanie. Kij pielgrzymi, który zatknął niegdyś w ziemię, na znak że dalej nie pójdzie, puścił liście, sięgnął korzeniami skroś kamieni żyły wodnej i wyrósł w bujne, tęgie drzewo. W cieniu tego drzewa pustelnik Paweł chwalił i miłował Pana, otoczony gromadą różnorakiego stworzenia. Zwinne jaszczurki biegały mu koło nóg. Gazele ocierały głowy o jego stare kolana, gdy on przemawiał do nich jak do dzieci. Łasiły się wyleniałe, skurczone szakale, w dobrotliwej obecności anachorety zbywając się lęku swego i podłości, — wielki lew postękiwał dostojnie, ale nie groźnie, w pobliżu.

Ujrzawszy zbliżającego się Antoniego, pustelnik Paweł pośpieszył z radością ku niemu.

— Bracie mój — rzekł, obejmując serdecznie gościa, — czekam na przyjście twoje od wielu już lat.

Lecz Antoni nie odrzekł nic. Poruszał bezradnie ustami, daremnie usiłując przemówić. Zapomniał już dźwięku słów. Więc patrząc tylko rozradowanemi oczami w twarz Pawła, przyłożył bez słowa dłoń jego do serca.

Zaszumiały skrzydła wgórze. Kruk nadleciał, zrzucił na ziemię dwa jęczmienne placki i z łopotem skrzydeł zawrócił na wschód. Gazela, która w pierwszej chwili pierzchła na widok obcego, podeszła ku starcom ciekawie...

LEGENDA O ŚWIĘTYCH JOZAFACIE I BARLAAMIE

Awenir, potężny władca Sagali, przechadzał się zwolna po pałacowym tarasie, z doradcą swoim i powiernikiem, Barlaamem. Dwaj niewolnicy, stąpając lekko jak cienie, osłaniali głowę króla wielkiemi wachlarzami z piór w złoto oprawnych. Na stopniach tarasu siedzieli w kuczki grajkowie, snując pieśń dawną, pochodzącą z kraju Brahmów. Grali na vinach, z których zwieszały się tykwy, złocone i malowane w przedziwne ozdoby, — na pięciostrunnych magudi i sześciostrunnych sarungach, a lśniący pot okrywał ich bronzowe członki. Od płomiennego nieba bił żar, choć wieczór się zbliżał, i urwiste skały na przeciwnym brzegu rzeki płonęły krwawą purpurą a obrzeżały się złotem. Na gorącej czerwieni tych skał pracował usilnie tłum ludzi, i król przystanął, by śledzić z uwagą ich ruchy.

Od wielu obrotów miesiąca patrzył się w wolnych chwilach mądry król z wyżyny swojego tarasu na pracę tę, ważną i żmudną. Z ciekawością baczył, jak skazani na ciężkie roboty chrześcijanie kuli w żywem ciele granitowych gór długie, wąskie szpary,

zaczem ściągali pod górę paliwo i na szczycie skały rozkładali wielki ogień. Nocami widne były one stosy płonące na górach w dalekich siedzibach Kuszanów i hen, po dziedziny niezwyciężonej niegdyś dynastji Ulanoyów.

Gdy ognie wygasły, pięli się znowu cisi pracownicy, obuci w sandały z poczwórnej skóry bawolej, i na rozpalony kamień lali wodę w wykute poprzednio szczeliny. Poczem rysę, rozsadzoną ulatniającą się straszliwą siłą wody, rozpierali ostremi klinami, aż potężny słup kamienny odrywał się od podstawy, i z hukiem, niby odtrącony Tytan, spadał ku łęgom nadbrzeżnym. Tam już czekali kapłani, a obchodząc głaz wokoło, znaczyli go czterykroć krwią ofiarną byka, by ducha skały ubłagać i zwalonego olbrzyma uczynić życzliwym, rękom rzeźbiarskim podatnym, ludzkim poczynaniom powolnym. Wnet przystępowali co najbieglejsi rzeźbiarze, wśród huku młotów i obłoków pyłu ciosając w głazie ozdobną głowicę, równając flanki, na szerokiej płaszczyźnie przodowej kując napisy ku wieczystej chwale zgasłego władcy Sagali, króla Archiriusa, syna Gondafara a ojca Awenira, który oby wiecznie żył.

Więcej niźli sześć miesięcy trwało ciosanie ogromnego głazu, a miało ich być siedemdziesiąt dwa, tyle lat bowiem panowania liczył zmarły król. Gdy rzeźbiarze skończyli swą pracę wielkim wysiłkiem czterystu par ramion, podkładano pod kamień mocną

pleć z bambusów, związanych tęgo palmowem łykiem moczonem, czterysta par ramion chwytało za przypięte do tej tratwy bambusowej liny i szarpało się długo w daremnym wysiłku, zanim głaz zadrżał i posunął się po ziemi. W niezmiernym trudzie uciągnięto go czasem przez dzień dziesięć piędzi, czasem zaledwie dwie piędzie. Nad bystremi falami rzeki, wraz z krzykiem ptactwa wodnego wznosił się świszczący chór zmęczonych płuc i trzaskanie batogów dozorców. Tak sunął ów słup kamienny, strojny w napisy ku chwale króla Archiriusa, przez wiele tygodni, aż wyoranym w ziemi ciężkim szlakiem docierał skraju szerokiej drogi królewskiej. Tam ciemniały zawczasu wykopane przepaściste doły, i gdy głaz dotknął stopami brzegów jamy, puszczano przepojone krwawym potem liny, by przełożyć je ku przeciwnej stronie i, padając z wyczerpania, rzeżąc w straszliwym wysiłku, dźwigać zwolna słup kamienny, ażby stanął prostopadle, — zarysował się wyniosłym obeliskiem na tle nieba, przewyższył drzewa rzeźbioną głowicą i z szelestem osunął się w jamę, w której, otoczony ziemią po kolana, tkwiłby już na wieki wieczne.

Król Awenir, gładząc malowaną na szkarłatny kolor brodę, którą przebiegał lekki wiew wachlarzy, — patrzył uparcie na tłum szarych ludzi, pozornie stojących na miejscu, w istocie ciągnących szósty z rzędu głaz, wytartym w ziemi wąwozem. Bose ich nogi

grzęzły w pyle czerwonawym. Co dwa obroty klepsydry puszczali liny, by chwilę odpocząć; wtedy jedni padali bezsilnie, przywierając mokrą piersią do rozdartej piersi ziemi, — inni zaś stali, chwiejąc się i nieprzytomnie przecierając mgłą zaszłe oczy. Wnet krzyk dozorców wzywał ich do dalszej pracy, i karnie, skwapliwie, ujmowali znowu liny dłońmi sczerniałemi od nabiegu żył.

— Mozolny to trud — zauważył obojętnie powiernik królewski, Barlaam.

— Każda rzecz wielka potrzebuje trudu — odparł zwolna król Awenir, który nietylko władcą był, ale i mędrcem. — Trudu i niemałych ofiar. Nędzne robactwo chrześcijańskie, z poczucia wszelkiej godności wyzute, niechże przynajmniej w ten sposób, wbrew woli, spełni czyn godny człowieka. Ściągnięte przez nich głazy, głosząc nieśmiertelną chwałę króla Archiriusa, dziedzica Seleucydów, trwać będą przez czasy, urągając wiekom. Jest-li zaś na świecie rzecz godniejsza pogoni i trudu niźli uwieczniona wielkość? Rozbłysnąć sławą i umocnić ją przez wieki, przekazując pamięć czynu, co nie miał sobie równego; rozgłosem dumy wstrząsnąć wyobraźnią ludów...

— O panie mój dobrotliwy, żyj wiecznie! — rzekł Barlaam. — Zaiste, tak jest, jak mówić raczyłeś. Lecz gdy siedemdziesiąty drugi słup stanie stróżować nad drogą, zaczniemy kuć chwałę twoją, nie w słupach kamiennych, ale w samych górach żywych. Czemże

są owe pomniki, z takim mozołem stawiane? Wieluż władców stawiało podobne!... Dla twojej chwały, panie mój — nie dosyć! Trzeba nam stworzyć rzecz wielką, nie mającą równej sobie; przekujemy szczyty gór...

— Nieśmiertelnej sławy Gondofares, król Sagali, miał myśli twoim podobne, Barlaamie. Pragnął wznieść dla siebie pałac, któryby wszystkie budowle istniejące na świecie przewyższył, niepodobny żadnej z nich, ni wykonaniem, ni kształtem. Zebrawszy skarby ogromne, wysłał powiernika swego, roztropnego Abbanesa, by szukał po krajach dalekich godnego budowniczego. Lecz Abbanesa oszukał Hebrajczyk pewien, za budowniczego się podający, którego zwano Tomaszem, i pałac wzniesiony nie został.

— Żyj wiecznie, najdobrotliwszy królu mój i władco! Jakże lekkomyślnie postąpił roztropny Abbanes, powierzając rzekomemu budowniczemu tak ogromną pracę!

— Lekkomyślnie zaprawdę. Należy jednak dodać, że, zasnąwszy w podróży, miał sen, w którym ujrzał sędziwego Hebrajczyka, stojącego z kielnią w dłoni, i głos usłyszał mówiący: «Ten ci jest budowniczy ponad wszystkich lepszy». — Nie dziw więc żaden, że gdy w dwa dni później zgłosił się takiż sam Hebrajczyk, budowniczym być się mieniąc, — wiódł go Abbanes szczęśliwy do króla Gondofaresa, ani przypuszczając podejścia... Król Gondofares powierzył skarb niezmierny budowniczemu, zwanemu

Tomaszem, i polecając pośpieszać z robotą, ruszył na boje zwycięskie z plemieniem scytyjskiem Kszatrapów. Zaś Tomasz rozdał skarb królewski między najnędzniejszych niewolników państwa, między jeńców, lub życia niegodne kaleki, a rozdawszy, chodził wśród ludu głosząc naukę Nazarejczyka Chrystusa, którego, jakoby, był uczniem. Wymową, a może czarami, opętał ludzi niemało. Gdy po dwu latach niezwyciężony dziad mój, król Gondofares, powrócił z wyprawy, — nie znalazł śladu pałacu, skarb był roztrwoniony, a w kraju, dotychczas spokojnym, bujnie zeszedł przeklęty posiew chrześcijaństwa!

— Hebrajczyk uciekł zapewne przed powrotem króla?

— Nie, miły Barlaamie, Hebrajczyk nie uciekł. Czekał owszem na króla, stojąc na placu pod budowę przeznaczonym. «Witaj wielki władco! — rzekł. — Za skarb, który mi oddałeś, zbudowałem gmach nad gmachy, nie w tym jednakże, ale w innym świecie; nie na tym placu, ale ponad obłokami. Gdy dusza twa ciało opuści, ujrzysz moje dzieło i błogosławić mi będziesz przez wieczność».

— Żyj wiecznie, najcnotliwszy panie mój i królu! W jaki sposób ukarano zuchwałego Hebrajczyka za zbrodnię, popartą szyderstwem? Boć żaden człowiek żyjący pałacu nad obłokami nie wzniesie...

— Hebrajczyk odszedł cało, miły mój Barlaamie. Albowiem, gdy go wiedziono na męki, weszła

pierwsza małżonka króla Gondofaresa, prawiąc, iż widziała we śnie pałac ów, przez Hebrajczyka Tomasza wzniesiony. «Gmach ten ma tysiąc siedemdziesiąt siedem sal — rzekła. Ściany nie są z marmuru, cegły, ni kamienia, ale z korali i pereł. Największa zaś sala ma ściany z diamentów. Lśnią one niby łzy zaschłe. Dniem i nocą w komnatach panuje jakowaś jasność słodka, choć kaganków ani świeczników płonących nie widać. Woń cudowna, podobna woni puszczy wiosną, napełnia cały gmach». — Gdy tak mówiła, zatrwożył się król Gondofares, niewiedząc co jest w tej sprawie prawdą, a co złudą, i puścił Hebrajczyka wolno... Słyszano, że poszedł na południe, szerząc wszędzie chrześcijaństwo, aż w odległem państwie Koromandelu, włócznią przebity, zginął. Niektórzy znów powiadają, że, magiem będąc, zginąć nie mógł, i że dotąd żyje.

— Gdy siedemdziesiąty drugi kamień ku czci najdostojniejszego króla Archiriusa ściągnięty i obrobiony zostanie, zbudujemy, o najsprawiedliwszy z władców, pomnik niezrównany, nie szukając obcych budowniczych po dalekich lądach.

— Tak jest. Zbudujemy, Barlaamie. Nie będziemy słali posłów na dwór Vasudewy, ani w granice żelazne świetnego imperjum rzymskiego. Z własnej głębi obmyślimy wiecznotrwały pomnik, któryby zadziwił wszystkie ludy świata, a dzieje nasze rozgłosił. Razem go stworzymy, miły mój Barlaamie...

O, jakżem codziennie wdzięczny bogom, że zmuszony przez długie, przydługie lata panowania wspaniałego ojca mego, króla Archiriusa, pędzić życie mędrca i wędrowca, nauczyłem się kosztować słodyczy przyjaźni, zazwyczaj władcom nieznanej! Przyjacielu mój Barlaamie! Tyś jest filarem mego panowania. Przenikliwy twój umysł wspomagał mój umysł w wielu zawiłych kolejach. Rydwan twój był zawsze przy moim rydwanie w walce zaciętej z Szasztanem, synem Nahapana, i w walce z Satawahaną, synem drapieżnego Kanhy. Razem doprowadziliśmy tę krainę ku dawnej świetności. Czasy nasze pamiętne się staną i ludy lata od nich liczyć będą, niby od panowania Vikramy, lub od panowania Saki. Rządy moje dobrotliwe są jako rządy Asoki, bohaterskie jako rządy Rudramana, syna Dżajadama. Połowa stąd zasługi i chwały dla ciebie, Barlaamie, boś jest odbiciem mojem sprawiedliwem...

Tak mówił władca Sagali Awenir, król i mędrzec, przechadzając się po tarasie, kiedy nagły zmrok wieczorem obsuwał się na dyszącą dziennym żarem ziemię.

* * *

Gdy dziewiąty słup kamienny przeciągano coraz to głębszym wąwozem, powrócił król Awenir z dalekiej podróży do domu, a patrząc na bogaty swój dwór, oczekujący przed bramami miasta, zapytał zdziwiony:

— Gdzie Barlaam?

Poczem nogę uwolnioną ze złocistego strzemienia stawiając na zgiętych nisko karkach niewolników, powtórzył niecierpliwie:

— Gdzie jest sprawiedliwy Barlaam, prawa ręka moja? Zali nie wie o moim powrocie?

A nie słysząc odpowiedzi, zmarszczył groźnie brwi:

— Chcę znać prawdę o Barlaamie! Gdzie jest i czemu nie wita mnie z wami?

Lecz oni ciągle milczeli, schyleni kornie w pokłonie, aż rozgniewany król zawołał:

— Wszystkich pod topór poślę, źli, niewierni słudzy, jeśli mi nie powiecie prawdy o Barlaamie! Żyw-li jeszcze, czy zmarł?!

Natenczas sędziwy Gotamiputa, wódz hufców rycerskich, padł twarzą w proch stopy królewskiej, mówiąc:

— Żyj wiecznie, najszlachetniejszy synu słońca, panie nasz! Żywie Barlaam, ale niemasz go pomiędzy nami. Nie żądaj prawdy o nim, który niegodny jest łaski i pamięci twojej...

Zamyślił się mądry król.

— Zbrodnię jakowąś popełnił, i lęka się gniewu mojego — rzekł. — O nierozsądny! Idźcież co żywo rzec mu, że miłuję go dosyć, by przebaczyć każdą zbrodnię. Niechaj przychodzi co rychlej. Nie lube mi sława i panowanie, gdy ich z Barlaamem nie dzielę.

— Barlaam chrześcijaninem został, wielki królu — wyszeptał Gotamiputa, całując sandały złociste.

— Na głowę twą, skłamałeś! — rzekł król w osłupieniu.

— O panie życia naszego, żyj wiecznie! Czyż śmiałyby wargi moje kłamać w twem obliczu?! Barlaam chrześcijaninem został, przed ostatnią porą dżdżystą. Powiadają, że opętał go stary niewolnik, którego, zobaczywszy konającego na drodze, Barlaam wnieść kazał do swojego domu. Niewolnik umarł, zaś Barlaam, wdziawszy jego szaty, poszedł z dobrawoli kuć skały na górze. Racz sam spojrzeć, najdostojniejszy nasz władco, na niewolników ciągnących kamień przy drodze, a poznasz Barlaama wśród nich.

Więc król wytężył wzrok w stronę strudzonego tłumu, a rozpoznawszy wyniosłą postać przyjaciela, zakrył lice krajem purpurowej szaty i zapłakał gorzko.

Odjął ręce od twarzy, mówiąc:

— Biada temu, kto wycisnął łzy królewskie! Idźcie i sprowadźcie tu Barlaama, niegdyś powiernika mego.

Lecz gdy przyszedł Barlaam, dawny druh królewski, zlany potem, w szarej, nikczemnej opończy, opuścił króla Awenira gniew, i rzekł z wielkim żalem:

— Tyżeś to, miły mój Barlaamie! Na wszystkie bogi gór świętych i dolin! Jakież straszliwe czary ciebie obłąkały? Zali doświadczyć chciałeś miłość moją? Bacz, byś struny nie przeciągnął!... Zaprawdę, zbyt długo trwał ten dziwny żart. Śpiesz przywdziać

szaty godowe i chodź cieszyć się wraz z nami z mojego powrotu.

Barlaam pochylił się nisko.

— Nie żart to, o wielki królu, umiłowany mój panie — odparł. — Chrześcijaninem zostałem istotnie. Uwierzyłem w Boga-Człowieka, Chrystusa Nazareńskiego, i miłuję go ponad wszystko w świecie.

— Miłujesz go więcej niźli mnie? — zapytał król z bólem.

— Tak jest, o panie. Miłuję go więcej nawet niźli ciebie.

Wtedy Awenir zasłonił sobie lica po raz wtóry.

— O Barlaamie! — zawołał, — wśród wszystkich bogów, których czczą bramini, wśród wszystkich bogów Hellady i tych, których czcili Partowie, pradziadowie nasi, niemasz jednego, któregobym nad ciebie przełożył, — ty zaś rzucasz mnie dla obcego boga niewolników, którego przed rokiem nie znałeś!

— Miłować Go będziesz i ty, panie, gdy Go poznasz...

— Zamilknij! zabraniam mówić o nim w mojej obecności! Nie chcę nic wiedzieć o twym nowym bogu, nie chcę patrzeć na twą hańbę! Miłowałem cię Barlaamie, jako nie miłują władcy. Gdybyś zechciał, byłbym oddał ci córkę za żonę. Podzieliłbym się koroną. Przebaczyłbym każdą winę... Lecz tego ci nie przebaczę! Zdradziłeś samego siebie. Poniżyłeś się. Wolejbym cię martwym widział!... Idź daleko z moich

oczu. Nie chcę, byś pracował blisko mnie, pośród nędznego tłumu niewolników. Idź precz, głęboko w pustynię, tak głęboko, bym nigdy o tobie nie słyszał. Niechaj zapomnę co rychlej, że byłeś!...

— Dziękuję ci, panie mój, najdobrotliwszy. Obdarzasz mnie po królewsku. Jakimże darem jest wolna pustynia, w której mi mieszkać pozwalasz! Tam urzeczywistnię sen o prawdziwej wielkości, który roiliśmy razem. Gdybyś pozwolił mi mówić!... Czem są te głazy, te słupy rzeźbione! Dziecinna igraszka, śmieszne kopce mrówek leśnych! Ludzie je wznieśli i ludzie obalą. Czas je rozkruszy na proch... Nie poniżyłem się królu, lecz wzrosłem. Wzrosłem, poznawszy, że to jedynie jest wielkie, co wieczne. A cóż ziemskiego jest wiecznem?! Zali ten kamień jest wieczny? zali te mury, przez Aleksandra Macedończyka wzniesione, a już spękane, — są wieczne? Nie lepiej w pogoni za chwałą oderwać się od nich najdalej i ducha zarzucić w przestworza? Dosięgnąć i posiąść pałace zaziemskie podobne wzniesionemu przez Hebrajczyka Tomasza?!.. — O jak piękną jest pustynia! W miarę jak ona ogarnia, świat maleje, człowiek rośnie, sięga nieba. Zamieszkam w grocie skalistej, w przeźroczystym mroku gwiazd. Gdy ciszy nic wkoło nie przerwie, prócz stękania lwa lub dalekiego skowytu szakala, rozmyślać będę o Bogu Przedwiecznym, i o tobie, panie, abyś Go zrozumiał. A kiedyś Bóg mój, który jest Prawdą, przyjdzie do ciebie. Jeśli ty się od Niego

odwrócisz, pozna go i ukocha syn twój jedyny, Jozafat. Bóg mój jest Prawdą, która cały świat ogarnie. Żegnam cię, miłościwy dobroczyńco mój i królu. Niech Bóg Przedwieczny czuwa nad krokami twemi i rozjaśni mroki twoje. Idę już, panie...

Gdy kroki Barlaama ucichły, zwrócił się król Awenir do stojących w milczeniu dostoiników państwa swego.

— Słyszeliście wszystko — rzekł. — Tedy wiedzcie, że gniew mój zacięży nad głową tego, któryby przy królewiczu Jozafacie wspomniał Chrystusa Nazareńskiego, Hebrajczyka Tomasza, albo też Barlaama. Śmiercią karany będzie, któryby dopuścił chrześcijanina przed oblicze królewicza. Chrześcijan pracujących przy słupach kamiennych zastąpić należy co rychlej jeńcami, chrześcijanie zaś niech rąbią drzewo w puszczy oddalonej... I jeszcze wiedzcie: gniew mój spadnie i na tego, któryby przedemną o Barlaamie, dawnym doradcy mym, wspomniał.

* * *

Minęło wiele lat, i trzydziesty szósty z rzędu słup kamienny, strojny w napisy ku chwale króla Archiriusa, stanął wzdłuż drogi królewskiej, zaś długa broda króla Awenira stała się, pod czerwienią farby, białą jak śnieg spadły w górach. Zdarzyło się wtedy, że królewicz Jozafat miał sen, który napełnił duszę

jego niepokojem, zaś kapłani i magowie nie umieli snu tego wyjaśnić. I zdarzyło się, że raz, gdy miesiąc wielki, srebrzysty, wypłynął z poza dachu świata i czarodziejskiem światłem oblał krainę Sagali, do królewiczowej komnaty wszedł znagła człek stary, o długiej brodzie i spalonej twarzy.

— Jestem Barlaam z pustyni, którego niegdyś miłował dobrotliwy król Awenir — rzekł do Jozafata. — Imię twoje, królewiczu, znaczy «Sprawiedliwy Sąd». Słuszna tedy, abyś oczy tumanem niewiedzy zamglone przetarł i ujrzał Sprawiedliwość i Prawdę istotne. Ja, który znałem cię dzieckiem, otworzę ci oczy, w imię Boga chrześcijańskiego, Jezusa Nazareńskiego.

— Nie słyszałem nigdy imienia twojego, choć prawisz, że znałeś mnie dzieckiem — odrzekł królewicz zdziwiony. — Nie słyszałem również nic o Jezusie Nazareńskim. Nieznaczny to musi być bóg, skoro imienia jego nigdy nie spotkałem.

— Opowiem o Nim — rzekł Barlaam, — gdy ci sen wyłożę. Opowiadaj twój sen, królewiczu.

— Sen mój był dziwny, zaiste. Widziałem we śnie człowieka, który nie był mną, lecz czułem cokolwiek on czuł, jakgdyby niewidzialne więzy łączyły mnie z nim. Człowiek ten chodził beztrosko nad urwistym krajem góry, gdy z ciemnej puszczy wypadł k'niemu jednorożec. A człowiek, którego lęk ścisnął lękiem moje serce, obsunął się nogą w ucieczce i leciał na dno przepaści. Sądziłem, że zginął, ale on

w trwodze śmiertelnej uchwycił ręką krzak głogu i na nim zawisnął. O, jakże straszny był los nieszczęśliwego. Wątły krzak giął się i trzeszczał, a co gorsza, odkryte jego korzenie podgryzały dwa szczury — jeden czarny, jeden biały. Widziałem ostre ich zęby, przecinające miękką tkankę drzewną w cierpliwym, ciągłym wysiłku. Gdy człowiek, oblany zimnym potem, daremnie szukał dla stóp oparcia w otchłani, — ujrzał nagle spływające po krzaku krople miodu, dobywające się z pszczelnej barci skalnej. I zapomniawszy o trwodze, jął zlizywać miód, śmiejąc się jak dziecko. Czułem w ustach słodycz miodu, jakobym sam go smakował. A w tejże chwili oba szczury dokonały swojej pracy i człowiek spadł w głąb otchłani. — Taki był mój sen, stary wędrowcze z pustyni. Wzywam cię, w imię wszystkich bogów, byś go wytłumaczył.

— W Imię Jedynego Wszechmocnego Boga Prawdy wytłumaczę ci sen twój. Jest on tak prosty i przejrzysty jak woda źródlana: Człowiek, którego widziałeś, przedstawia ród ludzki, — jest tobą i każdym, który nie zna Prawdy. Jednorożec, — to śmierć, która spotyka każdego, a otchłań, to wieczność. Krzak głogu, — to życie, nad przepaścią wieczności zwieszone, życie krótkie i znikome, które szczur czarny nocy i szczur biały dnia podgryzają powolnie, ale nieustannie. Miód, — to uciechy i rozkosze życia; człowiek nieopatrzny raduje się niemi, niedbając o przepaść, w którą runie za chwil parę... Widziałeś we

PROPERTY OF KOWARSKI SOCIETY
ST. BONAVENTURE SEMINARY

śnie obraz ludzkości obłąkanej i szalonej, — królewiczu, którego imię oznacza «Sprawiedliwy Sąd».

— Nie pojmuję dobrze tego, co mi mówisz, ale ze słów twoich bije coś, co mnie zniewala. Kto ci tę siłę nadał, stary pustelniku?

— Bóg mój, który jest Bogiem Prawdy, Jezus Chrystus... On daje siłę słabym, radość smutnym a odejmuje lęk przed śmiercią i cierpieniem.

— Powiedz mi tedy wszystko, co wiesz o nim.

Przeto Barlaam z pustyni jął opowiadać królewiczowi o Bogu Jedynym, i mówił przez noc. Czuwające na tarasie straże widziały przez rzeźbione otwory okienne tajemną ową rozmowę i dziwiły się zasłuchaniu królewicza i światłu nad głową starego wędrowca.

Nazajutrz, skoro tylko świt zróżowił niebo, odszedł Barlaam na pustynię, zaś królewicz Jozafat tak rzekł do ojca swego króla Awenira:

— Dostojny, dobrotliwy, królu mój i ojcze! Barlaam z pustyni był dziś w nocy u mnie i odkrył mi Boga Prawdy, Boga Wszechmocnego, Jedynego Pana nieba i ziemi. Wyznawcą jego zostałem. Pozwól, bym opowiedział ci o Nim, byśmy Go razem chwalili w weselu.

Lecz król Awenir zakrzyknął:

— Biada mi! Oto Jezus Nazareński, wróg, którym pogardzam, wszedł znowu do domu mego! Niebaczne są słowa twoje Jozafacie, bo wiedz, że piętna-

ście lat temu, gdy Barlaam uchodził w pustynię, rzekłem, iż raczej ujrzę ciebie martwym, niźli chrześcijaninem.

A królewicz na to:

— Królu mój i panie! Ciało moje do ciebie należy i czyń z niem według ojcowskiej twej woli. Zauważ jednak, że niełatwo jest nastraszyć wyznawcę Chrystusa. Gdyż Chrystus odejmuje miłośnikom swoim przyrodzony ludziom lęk przed śmiercią, cierpieniem, lub utratą bogactw. Czemże więc zagrozić możesz?

— Zejdź z moich oczu! — odparł król z rozpaczą. — Na wszystkie bogi Indyj i Iranu! Nie rozleję własnej krwi...

— Więc pozwól mi iść na pustynię do Barlaama, dobrotliwy ojcze. Okaż mi tem łaskę swoją. Jestem jako człowiek, który umierał z pragnienia, a ukazano mu nagle źródło wody żywej. Pragnę pić ją do sytości, pragnę się w niej zanurzyć. Pozwól mi iść na pustynię...

Ale stary król opanował już swój żal, i okazując twarz spokojną, rzekł:

— Jakże cię puszczę, synu, na pustynię, skoro jedynakiem jesteś i rządzić masz po mnie dziedzictwem? Zostaw mi tydzień czasu do namysłu. Za tydzień oznajmię ci królewskie moje postanowienie. Przez ten czas nie staraj się widzieć z Barlaamem i nie opuszczaj swych komnat.

Poczem król Awenir zwołał na Radę dostojników

państwa swego, i zasiadłszy na wysokim tronie, rzeźbionym w kości słoniowej i złocie, tak zaczął:

— Szlachetni kszatrjowie! Królewicz Jozafat został chrześcijaninem za sprawą Barlaama, niegdyś powiernika mego, i chce iść za nim w pustynię. Nazywają mnie ludy dobrotliwym, w istocie zaś jestem słaby, gdyż nie umiem siłą odwieść królewicza od tego zamiaru. Kazałem mu czekać tydzień... Radźcie, jako przez tydzień uleczyć syna mojego z obłędu.

— Królewicz jest młody — odparł sędziwy Gotamiputa — i snadno przyjdzie odprowadzić umysł jego w inną stronę... O królu sprawiedliwy, żyj wiecznie! Racz wysłuchać myśli mojej: O dwa dni drogi puszczą od Sagali, mieszka mag pewien, którego nazywają Nachor. Posiada on tajemnicę odmieniania swojej twarzy, na podobieństwo każdego człowieka. Sprowadzimy go, by się podał za Barlaama. Rzekniesz królewiczowi, że Barlaam, schwytany, będzie publicznie bronił wiary swojej. Zaś Nachor, zrazu broniąc, przed groźbami zaprze się Chrystusa i bogom ofiarę złoży. Co zobaczywszy, królewicz odejdzie z pogardą w sercu, uleczony.

— Nagrodzę cię po królewsku, sędziwy Gotamiputo — odparł uradowany król. — Poślij natychmiast gońców po maga Nachora.

Synu mój — rzekł nazajutrz król do Jozafata, — Barlaam z pustyni, który cię swoim obłędem zaraził,

jest w ręku mojem i za chwil parę będzie bronił swojej wiary wobec zebranych mędrców i kapłanów. Pójdź, posłuchamy co prawi, a może i ja, usłyszawszy go, uwierzę w naukę Chrystusa.

Gdy, wszedłszy, zasiedli na wysokich tronach, wystąpił Nachor na środek komnaty i skłonił się nisko, unikając wzroku Jozafata, ten zaś rzekł:

— Szata jest Barlaama, i broda, i rysy, a jednak nie zdajesz mi się być Barlaamem, jeno obcym, nieznanym człowiekiem.

— O królewiczu, żyj wiecznie! — odpowiedział Nachor. — Jam to jest Barlaam z pustyni, który byłem u ciebie onegdajszej nocy; czyż mnie nie poznajesz?

— Gdybyś był Barlaamem, nie mówiłbyś do śmiertelnego człowieka: «żyj wiecznie!», gdyż wiecznym jest tylko Bóg — odparł surowo Jozafat. — Mów swą rzecz, ale pamiętaj, że biada temu, ktoby oszukać pragnął syna królewskiego!

Wtedy najstarszy z kapłanów, złożywszy pokłon przed królem, jął mówić o chrześcijanach, że trucicielami są radości życia. Że czczą bezpłodność, a miłują nędzę. Odrzekają się najpiękniejszych darów bogów, a burzą państwa i nie szanują monarchów. Są umniejszycielami życia i tchórzami.

Gdy skończył, powstał Nachor, aby odpowiedzieć. Lecz oto włosy mu nagle stanęły na głowie, wzrok się zaciemnił a język uchylił się woli, i miast tego,

co chciał rzec, jął opowiadać naukę Chrystusa z uniesieniem i miłością wielką, i zrozumieli wszyscy, że kapłan był w błędzie, a że przez usta Nachora brzmi prawda.

I gdy milczeli w osłupieniu, upadł fałszywy Barlaam na posadzkę i, jęcząc, wołał:

— Oszukałem cię, synu królewski! Jestem mag Nachor, który miałem w oczach twoich zelżyć i wyprzeć się Chrystusa Nazareńskiego! Moc dziwna splątała mi wargi, że nie wiem, o czem mówiły. Naucz mnie, proszę, tego Boga, którego głosiłem, nieznając...

Gdy stroskany król Awenir zwołał dostojników państwa na nową naradę, wystąpił uczony Szandragupta, mówiąc:

— O królu niezwyciężony i sprawiedliwy, żyj wiecznie! Nie uczonemi dysputy odwróci się serce młodzieńca. Najmędrsze słowa nie uleczą go z obłędu. Królewicz jest młody i krew ma gorącą; trzeba przeto rozbudzić w piersi jego pożądanie. Ono zabije pragnienie pustyni i rozważania smutne o wieczności. Kapłan Theodas, znający wiedzę tajemną, niechaj wywoła i zaklnie demony pożądliwości, przyobleczone w najcudniejsze kształty ziemi. Nie było dotąd żywego człowieka, któryby się ich czarowi straszliwemu oparł.

W nocy, kiedy spał Jozafat, śniąc o szerokiej pustyni, zbudziło go nagle granie słodkie niby woń

magnolji. Otworzył oczy i zdumiał się, widząc komnatę pełną tęczowych płomyków, które łączyły się i znów rozdzielały. Patrzył na nie z ciekawością, one zaś rosły i przybierały kształty ludzkie, aż stały się podobne gronu urodziwych dziewcząt, pląsających nago po rannej kąpieli nad rzeką. Mleczne ich ciała miały giętkość młodych łodyg, a przeświecały jak koncha perłowa. Ciemne oczy, zamglone obietnicami rozkoszy, zdały się tkliwe jak oczy gazeli, a usta nalane ciepłą, młodą krwią drżały pragnieniem pieszczoty. Ująwszy się kołem za ręce, śpiewały o rozkoszy gajów, nabrzmiałych siłą bujną, życiorodną, o pięknie rui wiosennych i gonitwach na mchu leśnym.

Królewicz siadł na posłaniu, patrząc się w radosny korowód uważnie. I jakgdyby nagle posiadł drugi wzrok, począł widzieć nawskróś nich. Pod tem spojrzeniem ciepłe, lube ciała zjawisk jęły się wikłać i stawać niby dym mgławy, z poza którego przeglądała próżnia. Napozór jędrne, pulsujące żywą krwią, pożądające uścisku rozkoszy, jawiły się omamieniem, złudą, która kryła pustkę. Ciemne oczy, zamglone obietnicami miłości, tkliwe jak oczy gazeli, zdały się teraz pustemi jamami, przez które sączyła się nicość. Ramiona opadły bezsilne, zwiotczałe, a wskróś oparu kołujących ciał ujrzał królewicz, daleko, daleko, zalaną światłem miesięcznem pustynię, wielką, poważną, surową, i wyciągnął ku niej dłonie...

Nazajutrz, przenikliwy Gunadhya, z rodu Satakarnich, tak rzekł na nowej naradzie:

— Żyj wiecznie, niezwyciężony, sprawiedliwy królu! Królewicz oczami mędrca przeniknął nasłane demony, że uszły strwożone i słabe. Zaprawdę, nieroztropnie było posyłać młodemu bezcielesne zjawy. Człowieka człowiek najłacniej uwiedzie. Dżanala, córka Kaniszy, jest piękna jak słońce powstające z gór. Nie zna dotychczas mężczyzny, albowiem miłuje skrycie królewicza. Ochłostana była kiedyś, iż całowała ślady jego stopy w gaju. Dobrotliwy królu! Kobieta żywa sprawi więcej niźli sto demonów.

Twardo spał królewicz Jozafat, gdy zbudził go nagle cichy, rzewny płacz. Wsparł się na wezgłowiu, pytając:

— Kto płacze?

Lecz odpowiedzi nie było, więc spytał raz wtóry:

— Ktoś jest, który płaczesz?

— Jam to jest, panie, Dżanala, córka kapłana Kaniszy.

— Czego tu żądasz? — spytał zdumiony królewicz.

— Niczego, boski mój panie. Wprowadzono mnie tu nie wiem czemu przed wieczorem, i skryłam się za kotarą.

— Czemuś to uczyniła, zamiast ukazać mi się odrazu?

— Chciałam ci się wpierw napatrzeć, albowiem miłuję cię bardzo.

— A dlaczegoż płaczesz?

— Bo miłuję cię, panie, więcej niźli życie.

A gdy królewicz nie odpowiadał, zaczęła mówić z lękiem i rozpaczą:

— Nie wypędzaj mnie stąd, panie. Winną jestem, żem cię zbudziła. Ale nie wypędzaj mnie. Pozwól pozostać w bliskości twojej do świtu. Nie zbliżę się, jeśli nie chcesz... Tyś jest życiem mojem. Oczy moje tęsknią za tobą od zmierzchu do zmierzchu. Serce moje na twój widok szarpie się jak ptak złowiony. Gdy przejeżdżasz przed świątynią, patrzę na ciebie skryta za filarem. Potem zasłaniam oczy i chronię się w mroki, by nic więcej dnia tego nie ujrzeć i zasnąć z obrazem twoim pod powiekami...

— Za cóż mnie tak miłujesz? — spytał w zadumie królewicz.

— Za to, żeś jest, panie. Miłuję każde słowo twoje, każdy oddech twój. Niewolnicą twoją jestem, sługą korną, cieniem. Nie pragnę niczego, wiedząc, żeś jest syn królewski. Zbyt szczęścia dla mnie, że przemawiasz do mnie, żem w pobliżu ciebie. O, gdyby mi bogowie dali umrzeć przy tobie, zanim świt nadejdzie!

— Biedne dziecko! — rzekł królewicz. — Nic ci nie mogę dać za twoją miłość. Umiłowałem Chrystusa, i wszelkie sprawy człowiecze stały mi się obojętne i dalekie.

ELLICOTT CITY, MARYLAND

— Czemużto, panie? Wybacz mej śmiałości!... Skąd wargi moje stały się dosyć zuchwałe, by przemawiać w twem obliczu? Prochem wszak jestem, prochem którym gardzisz...

— Jakżebym mógł gardzić tobą, siostro moja! — rzekł królewicz, kładąc rękę na jej ciemnej głowie. — Gardzić duszą, którą Chrystus Pan odkupił?! Jesteś dla mnie piękna i cenna ponad wszystkie skarby. Wszakże Zbawiciel życie swoje dla ciebie położył. Prochem zaś jesteśmy oboje...

— Więc ośmielę się mówić, panie... Nie potępiał Bóg twój, Chrystus, spraw człowieczych. W domu sąsiada mej matki jest dwóch niewolników chrześcijan. Nie obce im małżeństwo, nie wzbroniona miłość. Wiem od nich, że Prorok z Nazaretu błogosławił godom między niewiastą a mężem...

— Tak jest zaprawdę. Ale powolna to droga. Niech sobie inni miłują Boga, miłując zarazem żonę i dzieci i dom. Niech dzielą Bóstwo ze światem. Dla mnie to za mało. Chcę oddać ciało z duszą moją Chrystusowi i nic nie chcę znać innego poza Nim. Gdyż nie przystoi synowi królewskiemu dać się w czemkolwiek wyprzedzić. Nato jestem królewiczem, bym innym we wszystkiem przewodził. I w gonitwie za chwałą wieczną ubiegnąć się nie dam. Nie chcę powolnej wędrówki z juką doczesności i przystankami ciągłemi. Jak goniec chyży, niosący wieść pilną, minę gospody

przydrożne, nęcące świeżością i chłodem, by spocząć dopiero u celu...

— Czy nie żal ci, panie, niczego?

— Nie, nie żałuję niczego. Gardzę ciałem mojem, tak znikomem, tak nietrwałem, które samo w sobie nosi koniec swój. Pod gładką, młodą skórą przyczaja się trupia głowa, ten kształt ponury, który straszy dzieci. Czuję ją. Widzę szkielet swój, który jest we mnie... Chciałabyś mnie objąć? Bacz, że lada chwila mogę się stać trupem. Zgniłe ciało sączyć będzie woń okropną, pustemi oczodołami wyjrzy ku tobie robactwo. Czy będziesz jeszcze tego ciała pragnąć, będziesz je miłować? Czy nie odstąpisz z odrazą? A wszakże nieunikniony to koniec każdego ciała. Nie każdy się wzbogaca, lecz każdy umiera. Nie każdego spotyka szczęście, lecz każdego śmierć. Długo starał się ojciec mój ukryć tę prawdę przedemną, lecz ukryć nie zdołał. Skoro zaś koniec podobny musi nastąpić, cóż znaczy, jeśli nastąpi za tydzień, miesiąc, lub rok? Jakaż w tem różnica?

— Nie pojmuję dobrze, panie, tego, co powiadasz, lecz wiem, że pragnę być z tobą, żywym czy umarłym. Pragnę umrzeć w cieniu twoim. Nie żyć mi zdala od ciebie!

— Możesz być towarzyszką wieczną chwały mojej... O duszo ṣiostro! Wejdź za mną na drogę biegu doskonałego, biegu ścigłego, ku świętości wiekuistej.

Miła współzawodniczko moja! Niechże cię ujrzę u progu świata zbawionego. — Idź teraz, idź w pokoju!...

— Odejdę, panie. Wielbię ciebie i miłuję bezgranicznie, nieskończenie. Pójdę za twym Bogiem, panie. Czekać będę, gdzie rozkażesz. Zali — skoro ciebie spotkam na drodze tej, której jeszcze nie pojmuję, — będziesz mnie miłował?

— Tak jest, towarzyszko moja. Ukocham cię wtedy miłością pełną, doskonałą... Idź, nie zachwytuj mi czasu, mnie śpieszno. Czas mija, chwila ucieka, a cel jakże jest odległy!... O, jakże śpieszyć trzeba mnie i tobie!... Idź już, śliczna siostro moja...

PROPERTY OF KONARSKI SOCIETY
ST. BONAVENTURE SEMINARY

LEGENDA O ŚW. JERZYM

PROPERTY OF KO
ST. BONAVENTURE

Prawy i pobożny rycerz, Jerzy z Kapadocji, zatrzymał konia przed gospodą zwaną «Rajem strudzonego», i ze zdziwieniem spojrzał po panującem na ulicy zbiegowisku. Dzień nie był targowy, ni świąteczny, wszakże tłumy ludzi dążyły śpiesznie w stronę rynku. Gruby i gadatliwy gospodarz «Raju», Domicellus, zapytany o przyczynę, podniósł wgórę obie dłonie:

— Nieszczęście! — krzyknął. — Królewna los wyciągnęła! Jedynaczka! Czterech książąt już zjeżdżało w swaty... i z darami! A ot, co!... los... Stąd taka wrzawa na grodzie...

— Ni słowa nie rozumiem z tego, co mi prawisz... Jaki los?

— Możliweż, byście nie wiedzieli, panie, o bestji piekielnej, przekleństwie Sylemy?

— Nie słyszałem.

— Zdaleka chyba jedziecie, boć już po całym świecie o tem głośno...

— Zdaleka jadę, istotnie. Powiadajże, w czem rzecz, czasu na próżne gadanie nie tracąc.

Odpiął podpinkę z zeschłego rzemienia i zdjął z głowy ciężki hełm.

— Jużci w dwóch słowach się nie da... Uroczysko tu jest niedaleko, gdzie zdawiendawna demony pogańskie się kryły. Powiadają, że w pustyni Libijskiej tyle ich nie najdziesz, wiela tutaj było. Miejsce sobie ulubione obrały. Z tej racji nikt chwili spokojny nie był. W biały dzień praczka, żona Protusowa, widziała sprośnego koźlacza pod grodem! Nieczyste dziewki wiodły przy miesiącu swoje tańce i chłopców k'sobie wabiły... Aż eremita jeden zbożny, którego zwano Fulgencjusz, na kolanach się sunąc, granicę szatańskiemu zakreślił, kopczykami kamiennemi ją znacząc, a nad kopczykiem każdym zaklęcie krzyża czyniąc. Tak, w siedemdziesiąt dwa lata, obszedł uroczysko, i spokojnie zasnął w Panu. Pokój jego pamięci! Djabły pogańskie, w ciasnym okręgu zawarte, zdechły powoli, czy uszły... Zginęły. Wprzód przecież sztuką szatańską spłodziły bestję straszliwą, trzy stajania długą, do skończenia świata trwać mającą, która kraj nęka, a ludzi do połowy bodaj wytrzebiła...

— Jakże nie chroni od niej granica pobożnego eremity?

— Chroni, i owszem. Ludzie sami szli. Podchodziła potwora pod granicę, nęcąc kto jeno tamtędy przechodził, i szli...

— Nie może to być!

— Na świętego Piotra w Więzach klnę się, że

nie łżę, szlachetny rycerzu. Wiela zginęło! Najlepszych, najświątobliwszych!... Poszedł cnotliwy biskup Makary z relikwjami, egzorcyzmować potworę... Relikwij poniechał na kopcu, sam zasię ku bestji pobieżał... Rycerstwa wiela chodziło! Samotrzeć i kupą... Żaden nie zdzierżył... Mieczów zabyli i poszli. Podobnież uczeni Maksencjusz oraz Pelagjusz. Gadali, że się jeno zdala przyglądną okropie, by ją w księgach uczonych opisać, — a poszli! A innych! Nie zliczy!

— Czemże mamiła, na Boga!

— Tego wam, szlachetny panie, nie powiem, jako że nikt, ktoby owego Lewjatana, syna djabła i sprośnej nimfy pogańskiej, obaczył, żyw nie uszedł. Nie ostoi się jej czarom nikt, i was-by zmamiła.

— Nie.

— Tak samo gadali tamci, a jeno wiatr od bestji poczuli, już ku niej pobiegli. Czem wabi, niewiadomo; co zaś z nimi czyni, łatwo pojąć, na kości bielejące zdaleka spojrzawszy.

Wrzawa na ulicy rosła.

— Miłościwy król — podjął gospodarz, — społeczność w tak żałosnym stanie widząc, w układy z bestją wszedł...

— Chrześcijański pan! w układy?!

— Ha, trza podleźć, gdzie przeleźć nielza. By ku granicy nie podchodziła, młódkę jedną szesnastolatkę w wieczyste czasy co roku dawać obiecał... Heroldy w kapturach przez trąby to ogłosiły, i bestja

przystała. Mądrze zrobił miłościwy król i cały naród go chwali. Będzie dziś piętnaście lat, jako układ trwa... Dziewek i tak rodzi się niby czego dobrego; — jedna na rok się straci, ani poznaku po tem niema w grodzie... Jeno że dziś na królewnę padł los iść ku bestji na pożarcie. Chciał król córkę od prawa uchylić, ale Rada Starszych nie przystała. I słusznie... Raczcie zdjąć zbroję i spocząć, szlachetny rycerzu.

— Czas na to — odparł wędrowiec.

— Kum Marko, któren na kastel chodził z innymi, już wraca! — zawołał gospodarz, i pobiegł.

Rycerz włożył zpowrotem ciężki hełm na młodą głowę i podszedł do konia uwiązanego przy słupie. Koń, pod srebrnemi blachami, biały był jak śnieg. Wielkie, mądre oczy przebłyskiwały przez wiziory naczółka, opatrzonego w ostry grot. — Rycerz podciągnął rozluźnione uprzednio popręgi.

— Nie pora jeszcze spocząć, przyjacielu mój. Przygoda nas czeka, przedziwna, największa jaka być może. Pójdziemy. Nie zawiedziesz mnie, przyjacielu koniu! Nie chybnie się giętka pęcina. Nie zmami nas bestja straszliwa... Czemże ona wabi? Czarem. Czar działa na tych jeno, co chcą zawczasu poddać się czarowi. Niewątpliwie wabi ona czemś, co skryte jest w duszy człowieczej. Wędkę zarzuca, zaś człowiek sam idzie niebacznie. Ty nie ulegniesz pokusie. Lepiej niż blachy chronić cię będzie uczciwa prostota zwierzęca. Bezgrzesznyś. Nie próbowałeś owocu z drzewa

wiadomości złego. Bezpiecznyś przeciw urokom. Oby pozwolił mi Bóg bodaj na ten dzień jeden stać się podobnie prostym, niewinnym, spokojnym, niedociekającym niczego...

— Królewnę wiodą! — zabrzmiało.

Podjął z piersi ryngraf miedziany z wizerunkiem Zbawiciela i ucałował gorąco. Wskoczył w wysokie siodło, ujął w rękę kopję, i nie spuszczając przyłbicy, wyjechał wolno z obejścia.

Tłum objął go, oblał falą. Wszystkie głowy niosły się w stronę, skąd dochodził jękliwy wrzask surm. Po chwili ukazał się orszak. Od długich, srebrnych trąb zwieszały się czarne opony. Za trębaczami szły płaczki, wyjąc i paznokciami drąc swoje oblicza, aż krew ściekała na ich białe obleczenie. Za płaczkami, wśród drużyny milczącego ponuro rycerstwa, niesiono złotą lektykę. W lektyce sędziwi królestwo, płacząc, obejmowali ramionami jedynaczkę. Siwa głowa króla chwiała się z bólu. Tłum wznosił na jego cześć okrzyki, których nie słyszał, nieprzytomnemi oczami patrząc w swą córkę, cud wiosny. Stara królowa zawodziła narówni z płaczkami. Za lektyką paziowie nieśli pochodnie i wieńce asfodelowe, jako za pogrzebem.

Obcy rycerz jechał stępa pośród tłumu, niezauważony przez nikogo. Szli długo. Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy ujrzano kopczyki kamienne, wzniesione niegdyś ofiarną dłonią eremity. Na ten widok

płaczki podwoiły lament. Orszak stanął. Spłakane panny służebne podprowadziły królewnę do tajemnej zła granicy. Przestąpiła ją, blada jak giezło.

Wędrowny rycerz piersiami konia rozepchnął tłum, wysunął się naprzód, i przejechał za nią.

W tłumie buchnęły okrzyki:

— Ktoś jest?

— Gdzie idziesz?... Tam śmierć!

— Nie zratujesz, a sam zginiesz! Zawracaj, nieszczęsny, co sił!

Nie odwrócił głowy. Królowa matka stanęła w lektyce, błogosławiąc mu. Nie słyszał. Orszak zawrócił powoli wśród płaczliwych dźwięków trąb.

Rycerz spojrzał na królewnę. Stała lękliwie, smukła w długiej, białej szatce. We wzroku jej dojrzał prócz lęku niewiedzącą o sobie ciekawość przed straszną, lecz, kto wie, nęcącą może tajemnicą. Nie zwracała na niego uwagi... Gdy tak stali wśród ciszy pustkowia, z pobliskiego boru doleciał szum, jakgdyby nadpływającej burzy. Koń począł chrapać, nadstawiwszy uszu, rycerz ujął krzepciej kopję i wytężył wzrok. Wydało mu się, że krzaki, poszycie lasu stanowiące, poruszyły się i idą ku nim. To pełzło cielsko potworu. Leniwie, niby omackiem, gadzinowe, nieskończone, szpetne. Wraz podniosło się łbisko olbrzymie, potworne, o małych, zapadłych ślepiach i szerokiej jak wierzeje paszczy, zakołysało się, stanęło. Tuż poza łbem toczyły się, kurcząc i rozciągając, zwały pierścienne

cielska, obłe, brzuchate, nie bronione łuską. Wydęte boki przewalały się niezdarnie i plugawie, gdy straszny łeb zwracał się w prawo i w lewo, szukając... Dojrzał, znieruchomiał, wpił ślepia w królewnę. — Stojący w pogotowiu rycerz spojrzał na nią i ujrzał w zdumieniu, że z twarzy dziewczyny znikł strach. Stała niby urzeczona. Niepewny półuśmiech drgał na rozchylonych wargach. Naraz postąpiła parę kroków naprzód.

— Stój! — krzyknął.

Nie słyszała jego głosu, idąc naprzód coraz prędzej. Ruszył koniem wpoprzek jej drogi, — jęła biec. Zerwał płaszcz z ramion i zarzucił jej na głowę. Oślepiona, stanęła jak wryta, jęcząc i słaniając się bezradnie.

Teraz sprawiedliwy rycerz stał oko w oko z potworem. Spojrzał w iskrzące ślepia i opuścił kopję mimowoli. Bo ślepia smocze, małe i wpadłe napozór, nagle rozjarzyły się, rosły, aż zapłonęły olbrzymie, przesłaniające sobą wszystko inne. Niby dwie banie ogromne z czarodziejskiego kryształu, migotały tysiącem powierzchni, z których każda jawiła się ukrytym i cudownym światem. Spojrzał rycerz raz wtóry i ujrzał w nich naraz wszystkie rzeczy ziemi, wszystkie uczucia i myśli i nieskończenie zawiłe serdeczne sprawy człowiecze. Nienazwane, nieprzyznawalne, nęcące, kuszące, tajemne, kłębiły się wirem barwnym, wyłaniały się i znowu zapadały w głębie. Rzeczy cenne, rzeczy ważkie i potrzebne, w zwierciedle oczu smoczych jawiły się błahe, bezużyteczne i śmieszne, ustępujące

miejsca słodkiej ponęcie pokusy. Za rzekomą mgłą widziadeł przebłyskiwały co moment jakoby światy dalekie, w wiecznym obrocie nieuchwytnej kolejności ukazujące się i znikające, dziwne, nieznane, ciągnące, i rycerz poczuł niezmożoną chęć spojrzenia w nie zbliska, chwycenia nici zagadki. Koń nie chciał postąpić wprzód, lecz potwór przysuwał się sam, i czarnoksięskie zwierciadła były coraz bliżej. Pochylił się nad niemi rycerz chciwie, zaciekle, badawczo. Wtem miedziany ryngraf, na piersi jego wiszący, odbił się w oczach poczwary. Z migotliwej bani wyjrzała ku rycerzowi twarz Chrystusowa zniekształcona bluźnierczo, wykoszlawiona, przesmutna. Strwożony, zasłonił twarz dłonią. Czar prysł. Znikły ułudne światy, — pozostały zwoje cielska opasujące go już kręgiem wokół. Spiął konia i runął na bestję. Świsnęła ostra kopja, przebiła paszczę straszliwą nawskróś. Przebiła raz wtóry, raz trzeci, pękła od rozmachu. Pochwycił jasnego miecza. Wielkiemi ciosami odrąbał poczwarną głowę, a gdy upadła martwa, buchająca krwią, zdjął hełm i przeżegnał się.

Obejrzał się na królewnę. Stała opodal niby skamieniała. Zsiadł z konia i podszedł ku niej.

— Jako martwe ścierwo leży — rzekł, — nie będzie już szkodził nikomu. Chrystus Pan zratował nas, wolę walki dając, bo ubić go było fraszką, godną dziecka.

Nie odpowiedziała, patrząc nań z ubóstwieniem

i miłością. Widział jej się wielki, jedyny w całym świecie obrońca i zbawca, najpiękniejszy, najbliższy, kochania i podziwu godny. W zachwyceniu wstydliwem, uroczem, słała mu duszę pod nogi, gdy, wziąwszy konia za wodze, poszli razem ku widniejącym niedaleko kopcom kamiennym, ręką zbożnego eremity Fulgencjusza przed laty wzniesionym.

* * *

— Śpi! Nie dziwota; po takiej przeprawie!... Śpi! uciszcie się mili chrześcijanie... — uspokajał gruby Domicellus tłum, cisnący się przed wrotami gospody.

Daremnie. Wiwatom i krzykom nie było końca. Połowa ludności syleńskiej zebrała się tutaj, połowa pobiegła jeszcze przed świtem oglądać ścierwo zabitej poczwary. Gród był odświętnie przybrany, radosny. Gruby Domicellus, zatknąwszy ręce za pas, opowiadał najbliżej stojącym o przebiegu walki. Słuchali z zapartym tchem.

— Wtenczas potwora podniosła łbisko, jak wieżę, i kłapiąc zębami, powiada: «Zaprzedaj mi duszę, albo cię zjem». — A zasię rycerz: «Nie przedam!» — Ona! «Przedaj!» — On: «Zgiń, przepadnij! Nie przedam, bestjo piekielna!»... Tak-ci się sobie przemawiali, aż okropa, widząc, że go nie nastraszy, smród wypuściła jak dym, przytomność odbierający. Lecz rycerz nozdrza sobie ręką zatkał i kopji się jął. Brzucha jej

rozpruł, jelita na czysto wypuszczając, a bestja, ryczący ze strachu, uciekać poczęła...

— Sam to wam szlachetny rycerz opowiadał? — spytał z podziwem poważny Gorgonjusz, bakałarz.

— Chcecie słuchać, słuchajcie, a nie przeszkadzajcie... — sarknął niechętnie gospodarz. — Wątpia gubiąc uciekał smok przeklęty, tedy rycerz za nim pognał i łba mieczem odciął. Dopieroż ku królewnie się zwrócił: «A mojaż ty perełko»! — powiada, — zaś ona, klęknąwszy, wiarę mu przyobiecała, dank czyniła i za męża przyjąć ślubowała...

— Wiadomo! życie zratował! No, ludkowie, bezpiecznie będzie żyć przy takim królu...

— Ale i twardo — zaniepokoił się Sylwester kotlarz. — Nieustępliwy. Smoka się nie zląkł, to Rady Starszych posłuchać nie zechce...

— Bogać tam!

— Ino patrzeć, jak z wieży zadzwonią i całe rycerstwo tu zjedzie bohatyra przed oblicze króla poprowadzić. Tam i tryumf, tam i zrękowiny odprawią, — będzie się na co popatrzyć... Stoły już stoją przed zamkiem, a barany i woły dworscy rznęli całą noc.

— Kto mocny w żebrach a dopchnie się bliżej, nie odejdzie dzisiaj głodny.

* * *

W ciemnej komorze, niebaczny na gwary ulicy, młody rycerz myślał o swej sprawie. Nie spał. Z otwar-

temi oczyma przeleżał noc całą, patrząc na jawie w sen, co się miał spełnić za chwilę. Oczy świetliste, modre jak toń jeziorowa, stały w pamięci, patrząc w głąb duszy miłośnie. Usta dziewczęce różane drżały tuż przy jego ustach... Na głos bijących jego chwałę dzwonów i surm prężyło się i zrywało młode ciało, sławy głodne. W glorji zbawcy-bohatera niósł go na ramionach tłum przez ulice grodu. Zasłużył sobie na to wyniesienie, mógł się niem cieszyć bez sromu. Czyn spełniony nie potrzebował się wstydzić nagrody. Jakże jest piękna ona nagroda, jak słodka! Z zachwytem przeżywał ją wprzód niźli nadejdzie. Niby przędziwo subtelne przewijał przez ręce chwile, co nastąpić miały, ciesząc się zawczasu ich czarem, przewijał bez znużenia niezliczone razy...

Aż, nasyciwszy duszę, sięgnął mimo, ku dniom dalszym. Urwało się naraz złociste przędziwo, skończyła się dola swobodnego rycerza Bożego. Jak złoty akord, bój ze smokiem wieńczył jego wolną sławę i zamykał ją. Wydało mu się, że patrzy na nią z za grobu, zamknięty w nagłym kręgu obowiązków, tak różnorodnych, zawiłych, wiążących. Jasność prosta, z jaką dotychczas rozcinał nieomylnie wszelkie sprawy niby mieczem, ustąpić miała dziwacznym z sumieniem zatargom, ustępstwom, słusznościom pozornym, zasługom wątpliwym. I z przerażeniem poznał naraz, że będąc dotychczas sługą wolnym Jedynego, Najpotężniejszego Pana świata, nie lękającym się ani słuchającym nikogo

krom Niego, zamieni ów zaszczyt i wielkość na niewolnictwo ciężkie a niewdzięczne.

Wzdrygnął się, jakgdyby czując już na karku żelazny dźwigar panowania. Z mroków izby światła oczu spłynęły blisko ku niemu, błagalne, łzami nalane. Rozchyliły się miłośnie wpół-dziecinne usta, rozdrgane serdecznem kochaniem. Wpatrzył się w nie długo, bacznie. Mocne one, — przecie nie władne do tyla, by wolność duszy rycerskiej zastąpić. Słodkie, — wszakże nie tyle, by radość dobrowolnej służby Największemu, Najlepszemu Panu wynagrodzić...

Przyodział się szybko, sprawnie, nie przyzywając nikogo. Boczną furtką, niezauważony, wyprowadził wiernego konia, z obejścia. Gdy świetny poczet rycerstwa stanął przed gospodą a dzwony grodu rozhuczały się w tryumfie, — wędrowny, nieznany nikomu rycerz Boży Jerzy daleki już był, zagubiony w przestworze swobodnych dróg.

W PUSZCZY

Tkwiące prostopadle w wodzie, długie cienie olch, przedłużające w głąb, aż ku trzewiom ziemi, wyniosłość i tajnię lasu, zakołysały się nagle, złamały, drgnęły, spłynęły rozbite na tysiączne części. Nad gładką powierzchnię czarnej wody wynurzyła się krótka, krągła głowa starego bobra, przywódcy żeremu. Rozejrzawszy się bacznie dokoła, podbił się do brzegu tęgiemi rzutami łuskowatego ogona. Wylądował, sunąc bezszelestnie ku gromadzie bobrów, ścinających cierpliwie długiemi, mocnemi zębami trzy spore drzewa nadbrzeżne. Pracowały już od paru dni, niby najbieglejsi drwale, zacinając wprzód drzewo od strony wody głęboko, wgryzając się potem drugiem podcięciem z przeciwnej strony, o pięć cali wyżej. Drzewa chwiały się już i trzeszczały. Zbadawszy stan robót, stary bóbr wpuścił się cicho zpowrotem do wody i pożeglował ku przecinającej rzekę tamie. Reszta mieszkańców żeremu uwijała się tam gorliwie, przeplatając wkopane mocno w muł pale długiemi prętami wikliny, uszczelniając szpary gliną i kamykami, wydobywanemi z dna. Tylko bańki powietrzne, pę-

kające zcicha na powierzchni wody, zdradzały obecność drobnych budowniczych.

Zakonnik, który z wygodnego rozwidlenia olchy z ciekawością śledził żmudną a mądrą pracę stworzeń leśnych, drgnął nagle i oderwał oczy od żeremu, bo tuż prawie pod jego stopami długim, kasztanowatym wężem wychynęła wydra. Spojrzała w niego beztrwożnie żółtem, przenikliwem okiem, i znikła w jamie nadbrzeżnej. W głębi wody kumkały niezliczone chóry żabie. Milkły zgodnie, by za chwilę podjąć znowu swe nawoływanie, dźwięcznie stukając w szklany pułap wody. W szuwarach gwarno było od wrzawy ptactwa wodnego. Zdala, na przeciwnym brzegu, stękały przewalające się w wilgoci mulistej łosie... Rozległ się trzask, i jedna z podcinanych olch runęła w wodę, która sczesała, zniosła wnet w jedną stronę cienkie jej gałązki, niby rozpuszczone włosy dziwożony. Ruchliwa społeczność bobrowa pokryła zwalone drzewo.

Ojciec Andrzej patrzył na nie zadumany. Smutna gorycz zbyt mądrego w swem doświadczeniu uśmiechu zasępiła jego łagodną twarz, okoloną siwiejącą brodą... Na każdym kroku mając przed oczyma tak cudowne wzory ładu, pracy, dostosowania się i współżycia, czemuż człowiek jeden w nieposkromionej chciwości i pysze staje się zbójem drapieżnym i postrachem świata, wnoszącym trwogę w struchlałe, ufne niegdyś serce przyrody? — Człowiek! Sam jeden jest

zły na świecie. Nawet walka o byt, okrutne prawo materji, nieodłączne od istnienia, zabarwione jest w świecie zwierzęcym mądrością i spokojem. Nie jest zbrodnią lub igraszką, ani zemstą, lecz koniecznością życiową. Któryż zwierz zabija bez potrzeby? Któryż jest upośledzony, pozbawiony możności obrony? Przeciw ostrym zębom żarłocznego wilka uzbraja się lękliwy szarak w ścigłość skoków, czujność nieomylną słuchów. Zwinna ryba wymyka się przemyślnej wydrze. Ćma nocna czyni się podobną liściu, by omylić pościg sowy. Nawet najsłabsze stworzenie zna radosny hymn zwycięstwa, gdy, przechytremi zabiegami umknąwszy szczęśliwie zagłady, spocznie w bezpiecznej kryjówce... A czem się ochroni poddany niewolnik przed nieludzkim biczem pana? Wydany jest na łup i bezbronny. — Wojny, jeńcy!...

Zatrząsł się cały w zielonej głębinie niewinnej puszczy, wspomniawszy drogi okropne, wysadzane — miast drzewami — ludźmi wbitymi na pal, twarze nieludzkie, zsiniałe, wykrzywione parodniową męką straszliwej agonji, z rojem much brzęczących wkoło... O Boże!...

Przesunął dłonią po oczach z rozpaczą i zapatrzył się znów w las, biorąc w strudzone serce cichość wielką jego głuszy. Była to cichość dostojna puszczy nieprzejrzanej, ciągnącej się dziesiątki mil wszerz i wzdłuż. Odwieczne bory pokrywały równinę bezkresną, senną i wilgotną. Zwalone kłody olbrzymie

porastały w mchy dziwaczne, niesamowite, podobne lasom bajecznym, skarlałym. Paproć sięgała ramienia człowieka, gdy w cieniu misternie rzeźbionych jej liści, wśród czerni jagód, giętkie pędy widłaków plątały zdradziecko nogi. Ciemniały pod wieczną kopułą gałęzi nieruchome tafle rzek, co niegdyś, pradawno, spływały bystro do Dniepru, teraz zaś ledwo sunęły lub spały, urwane, ślepe, zarosłe, nie śpieszące się nidokąd. Trzęsawiska ogłuchłe, bajora rude, rzęsą porośnięte, zjeżone cudacznie splątanemi korzeniami czarnej olchy.

Ojciec Andrzej Bobola znał dobrze ten kraj. Poznał wszystkie jego szlaki. Spłynął je łodzią na wiosnę, schodził zimą po lodzie, przebrnął latem po suchszych kępach i kłodach, w bagno przez smolarzy zwalonych. Dziesięć lat już minęło, jak w borach apostołował. Z zacisznej katedry profesorskiej, od ulubionych studjów i roztrząsań naukowych, oderwały go w te zapadłe knieje posłuszeństwo i ciekawość zarazem. Dziś dobrowolnie nie odszedłby stąd za nic. Z uśmiechem wspominał nieraz pierwsze miesiące swego tu pobytu; niezmierne zdumienie i zgrozę uczonego męża, gdy o parę godzin drogi od Pińska natknął się na pogan istotnych, zupełnych, choć niby kiedyś ochrzczonych, nie różniących się niczem od dzikusów, których równocześnie otoczeni glorją misyjną Ojcowie koledzy nawracali na dalekich, nieznanych archipelagach.

Ludzie ci, w lata niedostatku, gdy nie obrodziły bedłki, lub pożar w puszczy przepłoszył zwierzynę, stający się kanibalami, — czcili słońce, miesiąc i ogień, żaby, węże i padalce, w tajemnej głębi puszczy kłaniali się drzewom odwiecznym. Świętym był dla nich las żywiciel, świętemi rzeki karmicielki. Obwieszeni strąkami kołtunów, nosili łapcie z kory, odzież ze skóry, i wojowali drewnianym oszczepem. Żelaza nie dotykali, brzydząc się niem i powiadając, że ziemia rozpruta lemieszem stalowym przestaje rodzić, zagniewana. Wózki ich były bez okucia ni obręczy, czółna w jednym klocu smalone, siodła łyczane. Zabijali starych i chorych, będących ciężarem, topili niemowlęta-córki jak szczeniaki. Mówili mową ruską, zrzadka, w ważnych jeno chwilach, używając mowy litewskiej, dawnej, zapomnianej, przez książąt i bojarów jako pogańskiej srogo zakazanej.

Gdy misjonarz wszedł pierwszy raz do numy wkopanej w ziemię na wzgórzu, gdzie nie podmakało, — ciemnej, bez okna, nędzniejszej zaiste od bobrowego gonu, kobieta, obracająca ciężkie żarna, nuciła litewski przyśpiew, powtarzając go niby obrzęd uroczysty:

— *Mano Girnales, Dingo ne wiena malu...*

Zapytana, coby te słowa znaczyły, spojrzała z lękiem i zmilkła. Ilekroć potem dotknął pytaniem zabronionej, przecież ciągle żywej mowy, czuł zawierające się przed nim jedyne ścieżki, prowadzące w po-

ufałość i bliskość tych ludzi. Postanowił się jej nauczyć, w przenikliwym swym rozumie sądząc, że korzystniej będzie, miast niszczyć (jak to czynili panowie litewscy), przyswoić ją i orężem apostolstwa uczynić. Zbierał więc starannie pojedyncze słowa, podchwytując znaczenie ich, aż ogarnął całą mowę. Zdumiewał się, widząc jej dostojność, bogactwo i głęboką starożytność. Raz ją poznawszy, obaczył się władcą wszystkich dusz w puszczy żyjących. Gdy wchodził w obejście, witając pozdrowieniem Bożem w zaginionem narzeczu ojców, widział się owym pół-ludziom niby wysłaniec starych bogów, wielki, nieodparty, przenikający myśli.

A wraz początkowa ciekawość i zamiłowanie uczonego zmieniały się w ojcowską tkliwość, gdy pod ciepłem dobrych słów, nigdy nie słyszanych, w leśnych tych stworach budziły się dusze człowiecze, rozkwitały ku Bogu wdzięczne serca, niby kwiaty. Tkliwość przechodziła w zapał święty, w uniesienie, w miłość gorącą, żarłoczną.

Wszystkich rozbudzić! uczłowieczyć! Wszystkich ogarnąć! Smolarzy czarnych od dymu, z kształtu ledwo do ludzi podobnych, rybaków ustawicznie nad wodą żyjących, karmiących się rybą surową, nędznych rolników, drewnianą sochą zaprzężoną w żonę i dziewkę nałożną orzących szmat wykarczowanego z trudem piachu... Zrazu z przewodnikiem, potem sam, brodził po puszczy szukając nowych poddanych dla Pana

nad pany, a że umiłował ich serdecznie, przeto znajdował bez trudu słowa trafiające w serca ludzi, do których nikt dotąd jak do ludzi nie przemawiał.

Wzdychano nieraz w domach Towarzystwa Jezusowego z żalu, że taki uczony profesor, mistrz św. Teologji, świetny kaznodzieja, lingwista, mąż szlachetnie urodzony, którego w legacji choćby do najprzedniejszych słać i nie powstydzić się, — trawi wiek i umiejętność w puszczy poleskiej. Nie lepiejby odwołać go na godniejsze stanowisko, w las innego posyłając? Lecz wymowa tysięcy dusz przeobrażonych waliła zwycięsko w te względy. *Venator animarum* — mówiono z podziwem. Pod wpływem jednego człowieka całe Polesie, całe Podlasie, czyli Podlachia, przyjęły po raz drugi wiarę świętą. Nie biernie, powierzchownie, jak za pierwszym razem, lecz ochotnie, całem sercem sczłowieczonem.

W zbożnej swej pracy Ojciec Andrzej nie ustawał, pomimo że od kilku lat rozgorzała wkoło wojna, najstraszniejsza, jaką pomniał kraj. Nawet w puszczy nikt nie był bezpieczny, chyba gdzieś w błotach, zdala od gościńców. Wojna to była bezlitosna, okrutna, owoc dzikiej pomsty i ciemnoty jednych, zaślepienia i pogardy drugich, zaborczości trzecich. Zbrojne gromady, flankowe podjazdy większych sił, walczących na północy pod Wilnem i na południu pod Lwowem, zmieniały się ustawicznie, depcząc sobie wzajemnie po piętach. Władzy żadnej nie było zdawna. Luźne wa-

tahy kozackie, czambuły tatarskie, oddziały moskiewskie — wpadały, rabując, paląc i mordując tych, którzy jeszcze zostali przy życiu. Że nie było już «panów» ni dworów szlacheckich, kozacy i Moskwa z tem większą srogością tępili księży katolickich, niszczyli nieliczne kościoły. W owym to czasie zginęli zamordowani okrutnie na swoich placówkach księża zakonnicy: Rafałowicz, Wiechowicz, Butkiewicz, Hryczyna, i wielu innych. Na ogromnej połaci kraju Ojciec Andrzej pozostał sam jeden. Chroniła go dotąd miłość ludzka, lecz koło nienawiści stawało się coraz ciaśniejsze, nieprzyjaciele tropili coraz zawzięciej, i jasnem było, że lada dzień go pochwycą. Więc w przeczuciu niewątpliwem końca pracował coraz gorliwiej, rad rozdzielić się, pomnożyć i ustokrotnić, wszędzie być, przemawiać do wszystkich dusz naraz, nie zostawić odłogiem ni jednej...

A ninie siedział bezczynnie! Zgorszony własnem lenistwem, porwał się z miejsca tak nagle, że zdziwione bobry z pluskiem hulnęły do wody. Z niepokojem spojrzał wgórę, ku niewidzialnemu słońcu. Iść musi co prędzej do Perediły, gdzie oczekują nań ludzie. Chrzcić jednych, spowiadać drugich... Iść trzeba!

Ruszył drogą ułożoną z pni, skacząc z jednego bala, nurzającego się w chlupoczącej mazi, na drugi. Stado dzików, leżących podle, zerwało się z fukiem i kłapaniem. Przeszedł mimo, lecz uszedłszy parę stajań, stanął jak wryty. W lesie grzmiały głosy,

tupotały, ślizgając się po dylach ruchomych, kopyta. Ojciec Andrzej wypatrywał suchszej kępy, na którą możnaby uskoczyć i skryć się za drzewo, — gdy twarz mu się rozjaśniła; rozpoznał mazowiecką mowę. Stanął, oczekując swoich. Zbliżali się bardzo powoli, klnąc i dogadując, bo konie grzęzły po brzuchy w topieli, gdy miejscami brakło położonych bali. Wreszcie wynurzyli się z gąszczu. Był to znaczny poczet pański, dobrze uzbrojony. Przodem jechał mąż barczysty, z gniewnego lica do dzika podobny. Ojciec Andrzej poznał w nim odrazu pana Rafała Żeglickiego, starostę turowskiego.

— *Laudetur...* — rzekł radośnie, stając naprzeciwko.

Szlachcic zdumiony zdarł konie.

— Na Boga! cud osobliwszy! Ojciec Bobola żyw! Oto fortunne spotkanie! Pojedziesz wielebność z nami... Michał! sam tu konia dawaj! — huknął wtył, ku ludziom.

— Bóg zapłać, nic mi po koniu, gdy w przeciwną stronę droga... Okrutnie rad widzę waszmość pana...

— W przeciwną stronę?! — przerwał starosta. — Chyba po śmierć oczywistą... Nie wiesz-że Ojcze, jako hultajstwo inkursję nową zgotowało, a Zieleniecki z Popeńką ciągną z pod Janowa, nieprzepuszczając nikomu?...

— Słyszałem, owszem. Ano, wola Boża.

— Wolą Bożą jest cenny żywot salwować, jadąc niemieszkając z nami...

— Najpokorniej dziękuję waszmości. A skąd Bóg prowadzi?

— Zebrałem pachołków niezgorszych i doskoczyłem w te strony, gdzie substancję znaczną miałem, zobaczyć, co z nią. Daremna była fatyga, bo krescencji ni znaku, chudoby *idem*, budynki spalone, zaś chłopy zbiegły do lasu. Zapłakawszy nad tak żałosnem zniszczeniem fortuny, wracam co rychlej, by mnie plugawa czerń nie ogarnęła. *Nec Hercules contra plures*... Nie żałuję wszakże ekspedycji, skorom wielebnego Ojca spotkał...

— A co słychać *de publicis*?...

— Źle słychać. Niedarmo łońskiego roku trzy były zaćmienia, zaś jesienią widomie ujrzano na niebie kształt człowieka strzelającego z łuku do krzyża. Jedna strzała trafiła, druga się ochynęła... Choć z Moskwą rozejm podpisaliśmy w Niemieży, choć Szwedy słabną a elektor jeno się na boki ogląda, z kim nowy pakt zawrzeć, djabli nadali Rakoczego, któren z niemałą potęgą już Małopolskie zajął... Kozacy z nim... Niewiedzieć, kto sroższy: Węgrzyni, czy Kozacy? Straszno słuchać, jako idą nikogo nie żywiąc, nawet umarłych z grobów wywlekając... Ludzi na pół piłą rzną, w kotłach od piwa warzą, na rożnach pieką, niefolgując wiekowi, płci, ani kondycji... Małopolska jeden smentarz...

— Boże! Boże!... czyż mało nieszczęść?! Co Ci zawinił nieszczęsny ten kraj!

— Kto zawinił? Król! — odparł starosta z przekonaniem. — Nikt inny jeno *Casimirus* za wszelkie *calamitates* odpowiedzialność ponosi... Adwersarz szlachty, wróg narodu i wolności...

— Na Boga! Toć-że nie król ściągnął Rakoczego!

— Owszem. Któż zjadliwie sprowokował Radziejowskiego, któren spokojny człek był, skąd najazd szwedzki, zaś Szwedy zjudziły Siedmiogród... *Casimirus*! Kazi-mir! Posłuchaj Ojcze, jak ucieszne rymy o nim krążą, *instar* Modlitwy Pańskiej ułożone:

Ojcze nasz, królu polski Kaźmierzu,
Który się przejeżdżasz w niedobrym pierzu,
Święć się imię twoje w Szwecyej,
A Marji Ludwiki we Francyej,
Bądź wola twoja jako Wandalji była,
Gdzie było mało chleba, a ludzi siła...

— Wybacz waszmość panie, lecz, w puszczy przebywając, znajomość rymów straciłem — przerwał zakonnik z niechęcią. — Król winien, być może, wszakże czy nie lepiej wobec tak desperackich i ekstraordynaryjnych ewentów uraz przepomnieć, razem przykładając ręki pomocnej dla wyciągnięcia Ojczyzny miłej z opresji?

— Nie znasz, Ojcze, aktualnych konjunktur. Naj-

gorszy mi wróg, to *Casimirus*! Wroga wyżeniem prędzej czy później z Rzeczypospolitej, lecz swobód raz uronionych nie odzyskamy! Królowa kabałę potężną planuje, wodząc króla za nos, jak cygan niedźwiedzia. Stronnicy jej na sejmikach już *malitiose* poczynają, w poniżenie jakoweś *praecipites* chcąc nas strącić, swobody nasze, bez obrony zostające, *opprimere*... Bronić się trza z innemi województwami, *vires* nasze łącząc!... — wołał krzykliwie oratorskim głosem; opamiętawszy się jednak, że miast powolnego tłumu panów braci słuchają go jeno drzewa i siwiejący, ubłocony zakonnik, urwał w pół zdania. — Resztę opowiem po drodze; siadajcie, Ojcze wielebny, na konia...

— Raz jeszcze pokornie dziękuję; Bóg niech nagrodzi wspaniałomyślność waściną, ja wszakże jechać nie mogę, potrzebnym tu będąc...

— Szaleństwo czyste! Nic Ojciec nie zdziałasz, a życie postradasz... Tak srogiego hultajstwa dotąd nie widziano!... Męczą okrutnie... Wynajdą choćby pod ziemią...

— Bóg zapłać waszmości; ostanę.

— Jak wola — mruknął pan Żeglicki urażony, ruszając koniem naprzód. — Ostawajcie Ojcze w zdrowiu... *Laudetur*...

— *In saecula saeculorum*...

Mijali go dwójkami, zwolna. Gdy przeszli, ruszył w swą drogę. Było mu ciężko, nieznośnie ciężko na sercu. Sam nie wiedział, skąd ten ucisk, — od

słów usłyszanych, czy od tego, ku czemu szedł. Litosna puszcza rozesłała nad jego głową gęste podniebie zielone, przesłaniając oczom dymy wsi, podpalonych świeżo przez najeźdźców, dymy gęste, wysokie, a bliskie, wynoszące się nad lasem, obejmujące już prawie pół nieba.

— — — — — — — — — — —

O zmroku doszedł w obejście znajome smolarza, gdzie go witano radośnie. Znużony był srodze, przeto odmówiwszy z nimi pacierze, legł na barłogu, nietykając jadła. Lecz powietrze izby, pełne dymu, smrodu skór źle wyprawionych i niechlujnych ciał, dusiło go. Wziął cicho skórę łosia, na której leżał, i wyszedł legnąć na dworze przed chatą. Komary z jękliwym brzękiem obsiadły mu twarz i ręce. Odpędzał je machinalnie, nieczując prawie ukąszeń, mniej dotkliwych, niż rozsadzające głowę myśli. Z goryczą wspominał każde słowo starosty turowskiego. Na Boga! czyż jest siła, zdolna wstrząsnąć ogółem szlacheckim, zmusić do zapomnienia własnych prerogatyw i przywilei, skoro tyle lat wojny, nieszczęść, hańby i klęsk najstraszliwszych nie zdołały tego uczynić?! — A wraz za tem przyszła myśl: zali nie lepiej, nie pożyteczniej, miast iść tutaj na śmierć pewną, wrócić do kraju i sumienia budzić? Dość siedział w puszczy! Tam teraz pole do pracy! Do Warszawy! Głosem natchnionym Skargi poruszyć ludzi i poprowadzić za sobą!

Wesprzeć ojczyznę! — Niewątpliwie, stokroć lepiej.... Jeszcze zdąży... jeszcze czas...

A ludzie w Peredile czekają... czekają... Zginą bez Sakramentów, opuszczeni, daremnie go wyglądając...

— — — — — — — — — — —

Wśród męki dusznej ani spostrzegł, kiedy sen ciężki, sen widun, zwarł jego oczy zmęczone. Dziwny sen...

Oto w tajni niewiadomości, w głębokiej bezedni, słyszy uśpiony zakonnik głos nawołujący. Wzywają go po imieniu. Wypływa z głębi ku górze, ku wołającemu. Oczy przymyka ze zgrozą: trupy... trupy... pogorzel...

Głos woła:

— Dość pokory, zakonniku! Dość służby bezpiecznej wśród lasów! Rycerzów-eś syn! wstań! chwyć korda! Widzisz czerń? Palą domy, hańbią nieletnie dziewczęta, obcinają piersi matkom, dziateczki niewinne, lnianowłose, dźgają pikami... Weź szabli! Nie przystoiż ona Boboli raczej niż różaniec?! Na czele chorągwi! Ratować! bronić!... Pokora — nikczemna rzecz, gdy wróg dom podpala! Lękliwość kryje twoja suknia...

— Och, och! — jęczy śpiący w żalu.

— Nie chcesz?! Więc patrz i słuchaj: grzmi tętent kopyt na drodze. Lecą hajdamaki, wyjąc dziko, pochyleni w wysokich kulbakach. Dojrzeli starego, bez-

bronnego człowieka, idącego drogą. Idzie modlący... Gonią z wrzaskiem radosnym... Widzisz ich twarze bydlęce? Nie skrzy się w nich myśl człowiecza... Patrz! już dognali, otoczyli, obcięli mu palce, wyłupili oko, odrąbali stopę, wloką go za nogi... Patrz pilno, co z nim uczynią...

— Nie chcę patrzeć na mękę nieszczęśliwego...

— Patrz, owszem! Nie odrywaj oczu... Zdzierają pasami skórę w kształt ornatu, żywym ogniem palą boki obnażone ze skóry, plecy i piersi posypują plewą, niby złotym haftem na czerwieni ran. Garściami wtłaczają plewę w drgające mięśnie i żyły... Przekleństwo tym okrutnikom! Niechaj ich piekło pochłonie!

— Niech im wybaczy Bóg! Okrucieństwo ich jest jako dzieci, które obrywają członki muchom i chrabąszczom. Z niewiedzy jest, z instynktu krwiożerczego, a nie ze zła świadomego...

— Jakżeś pobłażliwy, mądry teologu! Jakże pełen szczytnej wyrozumiałości! Czy pozostaniesz takim? Spójrz! spójrz! Podnoszą skatowanego; patrz na twarz, niepodobną już do ludzkiej, odrąbany nos, obcięte wargi, — maszkara pociesznie potworna, wydarty język zwisa z rozdartego gardła, oko wyłupione... Któż to ten człowiek, czy wiesz?!...

— . . . . . .

— To ty, teologu!

— To ja?!...

— Nie wierzysz?! Nie wierzysz? — Patrz pilnie: ot na skroni znamię brunatne... sięgnij ręką do czoła, — nie twoje? Patrz na to oko żywe jeszcze, jedyny ślad doskonałości ciała człowieczego w straszliwej larwie oblicza... nie twoje to oko?...

— Moje...

— Patrz na brodę szpakowatą, dotknij swojej!...

— Tak, to ja... poznaję...

— To ty! to ty! Nie lepiej było chlubnie zginąć w walce, Ojczyźnie korzyść przynosząc? Ostrzeżeniem ci ten sen. Uciekaj! Znak to dany dla ocalenia twego. Jeszcze zdążysz! Uciekaj, dnia nie czekając...

— Nie przystoi nam ucieczka.

— Cóż zarobisz, pozostając? Patrz! patrz! Schwycili trzpień bezkształtny, krwawy, wieszają za nogi u belki. Żyje jeszcze, dźwiga się, oko otwiera, patrzy wokół — wołałby, gdyby miał język. Drga konwulsyjnie pień ciała. Patrz: oprawcy skaczą dokoła ze śmiechem: «Lach tańczy! Lach tańczy!». Pląsają wkoło podrygującego w śmiesznej agonji potworu, spływającego szkarłatnym ornatem ran...

— Przyjmuję, Panie, tę śmierć...

— Szalony jesteś! Uciekaj! Przyjaciel to rzecze. Wiele dusz czeka twego mądrego słowa, pobożny łowco, *venator animarum*... Stracą zbawienie wieczne, gdy ty dasz się zarznąć bezmyślnie. Dla kogo? Myślisz, że zrobiła męka twoja wrażenie na katach?

Śmieją się, odchodzą ze śmiechem. Sam jesteś i konasz... konasz... konać będziesz długo sam...

— Chrystus jest ze mną...

— Także jesteś tego pewien? A cóż z tamtemi duszami? Pomrą, nie zaznawszy światła, które tak umiejętnie im podawałeś. Wszak wiesz, że nikt cię nie zastąpi... Nikt! Jesteś jedyny, niezastąpiony...

— Nieprawda! Znajdzie się stu równie pożytecznych. Więcej uczynię dla tych dusz przez śmierć moją, niż przez życie.

— Kto ci to mówił? Jakiżeś pyszny, teologu! Przenikasz wyroki Boże?! Bacz, byś nie zgrzeszył zbytniem dufaniem w swój rozum...

— Nie zatrwożysz mnie, ty, który się mienisz przyjacielem, a kusicielem jesteś i wrogiem. Spójrz ty teraz, wzywam cię: spójrz na umęczonego człowieka! Skonał... Patrz na smugę zorzy! Oto wędruje po niej w światłość dusza jego... O Panie! Panie! wziąłeś ją do chwały Swojej!...

Ocknął się, klęczący na wilgotnej ziemi, zalany łzami, wpatrzony w wschodzące słońce. Ogarnął szybko odzież, i przeżegnawszy się, ruszył szparko ku wsi Peredile.

KRZYŻ
ŚW. FRANCISZKA KSAWEREGO

Don Faustus Rodriguez, bogaty armator czterech karaweli, trudniący się też zyskownym handlem niewolników, stał na pokładzie galery przezacnego Michała Fereiro z miną w najwyższym stopniu niezadowoloną. Zdecydował się wsiąść na statek dlatego jedynie, że miał nim jakoby jechać legat pełnomocny od Stolicy Apostolskiej, Jego Wysokość Dom Francesco Azpilcueta, Dom Jasse di Xaverio, którego dusznie poznać pragnął, — a teraz, widząc, że został wprowadzony w błąd, z coraz większą niechęcią spoglądał dokoła siebie.

Galera była staroświecka, niegdyś wojenna; potem, kiedy potężne, wypukłobokie żaglowce, zwieńczone trójcą masztów, zawiłym splotem lin, żagli i rei, zastąpiły dawne statki, pchane wytężoną pracą ramion ludzkich, — sprzedana jako prywatny statek przewozowy. Na pokładzie, w miejscu bliźniaczych armatek plujących spiętemi kulami, leżały worki z ryżem i beczułki z olejem kokosowym. Widziany z brzegu, statek przedstawiał się jeszcze niezgorzej; na spłowiałych bokach, z pod zalepy wapna, przebijała poprzednia

wyniosła nazwa: Braganza. Przód galery, kształt hełmu mający, wznosił się ponad wodą wysoko, zakończony głową Meduzy, w drzewie wyrzeźbioną. Woda słona i słońce palące spłókały z niej dawno cynober, którego ślady pozostały jeno w splotach wężonych włosów, zagłębieniach twarzy, nadając Meduzie wyraz pocieszne stroskany. — Pięćdziesiąt długich, czarnych wioseł spływało lekko z każdego boku galeru, migocąc w przeźroczystej wodzie. Drobne fale załamywały się na nich, że — nieruchome — widziały się trwające w ustawicznym ruchu, niby drgające łapki olbrzymiego stunogiego owada. — Niewątpliwie, patrzącemu z oddali statek ten mógł się jeszcze wydawać pokaźnym, — lecz zbliska!

Faustus Rodriguez, bogaty armator, spoglądał ze wstrętem na pokład, pokryty zaschłą skorupą oleju, i na niedbale połatane burty, z żalem stwierdzając, że cofnąć się było za późno. Inne statki już odeszły, — zbliżała się pora musonów, niebezpiecznych dla żeglugi... Wytężał wzrok ku miastu, w nadziei, że ukaże się może jeszcze bogaty orszak legata. Lecz port zalegała senna cisza. Dżonki krajowców chwiały się na wodzie leniwie, niby małe, czarne kaczki. «Il Reale», wspaniały żaglowiec gubernatora, stał na uboczu, obnażony z żagli, uszkodzonym silnie będąc czasu ostatniej wichury. — Miasto, wzniesione na niskim, niezdrowym brzegu Dekanu, spało zmorzone upałem. Wielki Albuquerque, zdobywca, założyciel Goy, wybudować je

rozkazał ojczystą modłą, wznosząc domy ciasne, kamienne, wysokie, o krętych uliczkach i zawile splecionych krużgankach. W domach tych, gdy kamień rozpaliło słońce, żar wypijał krew, brak powietrza dusił. — Rozłożone wieńcem wokoło właściwego miasta, stały chaty krajowców, niskie, wapnem grubo obielone, o gęstej, czubatej strzesze. Palmy rozkładały nad niemi listowie. — Z cienia ich nie wynurzał się żaden orszak.

Przepadło!... Faustus Rodriguez wytwornie zniechęconym gestem strzepnął koronki u szyi, poprawił wielkie, szamerowane wyłogi rękawów, i ziewnął, rozglądając się po pokładzie z pogardą. Wszystko już gotowe było do odjazdu. Czekano tylko, by minął najcięższy żar południowy. W cieniu długiej budy, rodzaju szopy przykrytej liśćmi palmowemi, leżeli na pokładzie wioślarze. Składali się z włóczęgów i łotrzyków przeróżnej narodowości, lub skazańców, którzy już odsłużyli swoją karę. Ci ostatni, dla zręczności w zażywaniu wioseł, osobliwie byli cenieni. — Wszyscy byli wpółnadzy, spaleni na bronz, na muskularnych barkach obnoszący twarze drapieżne, srogie, bezwstydne, sinem tatuowaniem upstrzone, pod wiechą włosów nastroszonych kryjące nierzadko piętno haniebne: G. A. L. Rozciągnięci leniwo, słuchali uważnie siedzącego pośród nich niewielkiego, szczupłego człowieczka, w czarnej, wytartej sukni. Nogi miał bose, spękane od dalekich dróg, twarz dziecinnie pogodną,

a opowiadał coś z zapałem, uśmiechając się do słuchaczy serdecznie. — W drugim końcu litościwego cieniu szopy kilku braminów, przejeżdżających na sąsiednie wyspy, drzemało, usiadłszy w kucki. Z nieba leciał żywy żar, roztapiając ołowiane spoidła luki pokładowej.

Kapitan Michał Fereiro podszedł do dostojnego gościa, zapytując z szacunkiem, czemu nie raczy zejść do cienistej i wygodnej kahity, czyli komory pod górnym pokładem?

— Czy legat już nie nadejdzie? — spytał porywczo don Faustus.

— Legat? — zdziwił się kapitan.

— Siadłem na waści galerę — ciągnął don Faustus, z urazą spoglądając na przezacnego Michała Fereirę, — gdyż powiedziano mi w mieście, że odpływa nią Jego Wysokość Legat od Stolicy Apostolskiej, Don Francesco Azpilcueta, Dom Jasse di Xaverio...

— Ktoś zażartował z Waszej Dostojności! Nigdy o tem nie słyszałem. Gdzieżby takowa persona mizerny nasz statek sobie obierała! Jego Wysokość Legat siadł niewątpliwie na «Salwatora», lub «Jana Trzeciego», które onegdaj odeszły.

— Nigdybym nie siadł na tę niechlujną skorupę, gdyby nie chęć podróżowania z Jego Wysokością Legatem — powtórzył gniewnie don Faustus.

— Rozumiem, Wasza Dostojność. Jednakże pozwolę sobie powiedzieć, że choć brak tutaj należnych

Waszej Dostojności wygód, — galjota moja daje zato rękojmię bezpiecznego dojechania, co w tej kwadrze głupstwem nie jest...

— Ejże? — mruknął szyderczo armator. — Statek waści nie widzi mi się z najnowszych...

— Wielki Ojciec jedzie z nami — szepnął kapitan znacząco.

— Cóż znów? Czarodziej pogański?

— Uchowaj Boże! Zakonnik, misjonarz, człek Boży, Wasza Dostojność. Wielkim Ojcem zowią go na wszystkich wyspach i lądzie... Cuda czyni... Szczęście przynosi okrętom; wiadomo, że przy nim włos z głowy nikomu nie spadnie. Wioślarze całkiem inaczej pracują... Nie znajdziesz Wasza Dostojność kapitana, coby od niego za przejazd bodaj obola zażądał; błogosławieństwo Boże idzie z tym człowiekiem...

— Gdzież on? — zapytał don Faustus ciekawie.

Michał Fereiro ruchem głowy wskazał czarno odzianego, bosego człowieka. Wioślarze, nieczuli na upał, grali w kości; przyglądał się temu z uwagą, żywo rozmawiając.

— Ten?! — wykrzyknął drwiąco armator. Zeszedł do komory pod podkładem, gdzie, dostatecznie zniechęcony, leżał bez ruchu w gorącem, dusznem powietrzu.

Zły był na siebie i na cały świat. Nie przez samą próżność pragnął poznać papieskiego legata. Na dworze Jana III słyszał tyle o Ojcu Franciszku Azpilcueta, świątobliwym uczonym, doktorze wielu nauk, że zapra-

gnął poddać jego zdaniu niektóre zawiłe konflikty sumienia, jakim cnotliwy handlarz niewolników od pewnego czasu podpadał. Niestety, niema legata!

— Jest zato ten obdartus — rozśmiał się szyderczo; — jak go zowią?... Wielki Ojciec!...

Ojciec Franciszek Ksawery, siedząc na pokładzie wsparty plecami o burtę, zamyślił się i zapatrzył. Pokład zalewała cisza, drgająca w świetle księżyca, świetle nasyconem, stężałem, lejącem się omal przez palce. W ciętej wyrazistości blasku zarysy rzeczy nabierały oblicza innego, jakgdyby teraz dopiero odnajdując swój wyraz i kształt właściwy, wymowny. Trzy czwarte wioślarzy spało na pokładzie. — Nieruchome wiosła ich wysuwały się z boków statku, wąskiemi strużkami wsiąkając w aksamitną czarność równie nieruchomej wody. Dwanaście tylko wioseł z każdej strony statku drgało sennie, unosząc i zagarniając czarność nieprzeniknioną głębiny. Bez szelestu przesuwały lekkie pióra, srebrzyste w blasku miesiąca po otchłani, zanurzały się, przegarniały ją ostrożnie, i z pluskiem wdzięcznym wysuwały się znowu. W rytmie ich czuć było sen, ogarniający władające wiosłem ramię. Za kanciastym kształtem rudla drżała biała koronka piany, lekka, kapryśna i cudna. Górą miljony gwiazd patrzało w uśpioną galerę... Bosy człowiek, który czuwał, ocknął się nagle z zamyśleń i odwrócił głowę: Wysoki, do widma białego podobny stary bramin podchodził bezszelestnym krokiem. Przyłożył ręce do czoła.

— Cześć i pozdrowienie wielkiemu mądrością i umysłem Ojcu białych — rzekł ściszonym szeptem.

— Cześć i pozdrowienie nierównie mędrszemu i uczonemu wielkiemu Rawi Purama Kolambi Kolabono z Chri Ragam — odpowiedział uprzejmie zakonnik.

Odsunął się nieco, by zrobić miejsce koło siebie, lecz bramin potrząsnął głową, siadając na skrzyżowanych nogach naprzeciwko niego. Światło zalewało rozumną, spokojną jego twarz, drżąc w fałdach białego muślinu. Karminem i bielą naznaczony zębaty znak boga Wisznu różowiał na bronzowem czole. Milczeli obaj, patrząc na siebie w skupieniu.

— W takie noce — rzekł Rawi Purama — na świętej górze Keilas zbierają się uczniowie, by z ust mistrza usłyszeć tajemnice prawdy...

— Zaiste, w taką noc nie ima się sen człowieka — przytwierdził Ojciec Franciszek.

— Nie ima się mędrca — poprawił poważnie bramin Rawi Purama. — Tłum ciemny śpi snem bydlęcym, jako ci wioślarze, obojętny, nieciekawy tajemnic nocy, światów nieznanych i bogów... Tłum, z którym (ku podziwieniu memu) rad, wielki Ojcze, przestajesz...

— Tłum ten jest ciemny, istotnie. Trza, by takim przestał być. Budzę w nim duszę, pouczając o prawdach wiekuistych wiary...

— Szydzisz, wielki Ojcze! Prawd wiary nie

udziela się włóczęgom bezdrożnym, bydlętom i zbójom. Istotę prawdy osiąga mędrzec w tajemnem skupieniu sam z sobą. Stanowi ona jego zdobycz niepodzielną, którą chronić będzie niby wonność bezcenną w amforze i nie ukaże jej treści, chyba przed takim, co skarb podobny już posiadł. Natenczas ich mowa pełna będzie mądrości przedziwnej... Co tłumowi po niej? Tłum prawdy nie potrzebuje. Wystarczą mu bajki dziecinne.

— Mylisz się, wielki, mądry Rawi Puramo. Każdy jednako pić pragnie. Każdy napoić się ma ze źródła wody Żywota.

— Pragnący winien być napojony, owszem. Lecz kto jest pragnący? — Mędrzec...

— Mędrzec prawdy pożąda świadomie, prostaczek zaś nieświadomie. Czcigodny kapłanie Sziwy, Rawi Puramo! Noc i samotność pobudzają do szczerości; czy zechcesz odpowiedzieć nieuczonemu twemu słuchaczowi? Byłem przed laty w świątyni Awikagam, w której drogocenne pilastry okryte są do wysokości ramion gnojem krowim a pod arkadami cuch panuje niby w chlewie. Brudne bawolice leżą przed ołtarzem, odbierając cześć przynależną bóstwu... Widziałem w wiosce górskiej człowieka, któremu sąsiad przez złość rzucił garść ryżu na strzechę. Wnet małpy leśne poszukując ryżu rozniosły dach biedakowi, on zasię nie śmiał ich spędzić... święte są pono... Czcigodny i mądry kapłanie Sziwy! Ze słów przed chwilą wyrzeczonych

wnoszę, iż niemożliwem, byś wierzył również w świętość krów lub małp, czcił bożka Hanumana i boginię Kali?

— Odpowiem ci, wielki Ojcze: Nikt z uczniów błogosławionego Mistrza ze świętej góry Keilas nie wierzy w baśnie podobne, wystarczające dla ludu.

— W cóż wierzysz zatem, czcigodny Rawi Puramo?

Stary bramin obejrzał się w przeciwną stronę, gdzie, siedząc w kucki, z głowami pochylonemi na piersi, spali jego towarzysze, — poczem odsunął z czoła białe fałdy muślinu, i patrząc w niebo, jął mówić uroczystym głosem:

— Co się przez oko widzieć nie da, lecz przez co samo oko widzi, — wierzę, że to jest właśnie Brahma, a nie to, co tu wszyscy czczą... Co się przez ucho słyszeć nie da, lecz przez co samo ucho słyszy, — wierzę, że to jest właśnie Brahma, a nie to, co tu wszyscy czczą... Co się przez myśl pomyśleć nie da, lecz przez co sama myśl pomyślana jest, — wierzę, że to jest właśnie Brahma, a nie to, co tu wszyscy czczą...

— Amen — rzekł Ojciec Franciszek. — Mówiłeś o Bogu, Stwórcy wszechistnienia, który nie jest Bogiem twoim lub moim, lecz Bogiem Jedynym, Wszechwiedzącym i Wszechmocnym.

— Tak —, przyznał bramin. — Na każdym krańcu globu, wszędzie gdzie człowiek świadomy, istota rozumna, Boga chwali i miłuje, — tego samego

Jedynego Boga miłuje. Nie może Mu nadać innych atrybucyj jak te, które Jego są... Oto zdradziłem przed tobą, wielki Ojcze, tajemnice wiary mojej istotnej, dalekiej od złoconych lub zwierzęcych bałwanków. Proszę wzamian, byś mi opowiedział swoje; nie usłyszy ich odemnie nikt.

— Opowiem ci je, ale pod warunkiem, że, przeciwnie, powtórzysz je każdemu, coby o nich wiedzieć pragnął.

— Pocóż odkrywać tajemnicę serca pospólstwu na poniewierkę?

— Gdyż Bóg chce, by wszyscy ludzie stali się dość mądrymi i czystymi, by poznać Go i umiłować w tej właśnie postaci, o której słusznie mówisz, iż od krańca ziemi do krańca inną być nie może.

— Czyż doprawdy, wielki Ojcze, niema w twej wierze niczego, czembyś się nie rad dzielić z takimi jak ci?... — ruchem wzgardliwym głowy wskazał uśpionych wioślarzy.

— Niczego, mądry Rawi Puramo. Wiara moja jest prawdziwa i Bogu najbliższa, a przeto niema w niej nic, czegobym nie powiedział dziecku.

Gwiazdy bledną i świt blisko — rzekł bramin z niechęcią. Przyłożył dłonie do czoła, i odszedł ku towarzyszom bezszelestnym krokiem.

Franciszek Ksawery został sam, zamyślony jak poprzednio. Świt zbliżał się rzeczywiście. Nagle, niby uniesiona rzutem, złocista kula wytrysła nad granatowy

ocean, zalewając oczy blaskiem. Zakonnik ukląkł, by zmówić pacierze. Wioślarze, klnąc i zataczając się od snu, schodzili w czeluść okrętu, ku wiosłom. Z kapitańskiego podwyższenia przezacny Michał Fereiro badał uważnym wzrokiem widnokrąg. Ztyłu statku bramini, sprawujący ablucję, gięli się i prostowali obrzędowym ruchem, twarzą i dłońmi zwróceni w stronę kędy płynie święty Ganges. Czerpana wiadrem uczepionym na sznurze woda pluskała wokół nich. Don Faustus Rodriguez wyszedł z pod pokładu, ziewając, i stanął przy kapitanie. Oblicze jego i strojna odzież równie były zmięte, a niezadowolenie doszło do zenitu.

— Wiosła! — wrzasnął Fereiro w drewnianą tubę, umieszczoną obok niego. — Ruszać!

Równocześnie, z zadziwiającą sprawnością, wszystkie wiosła, drzemiące dotychczas w wodzie lub drgające leniwo, — uniosły się, zesztywniały, i naraz gwałtownym ruchem wcięły się w wodę, odwaliły skibę szmaragdową, rozbiły ją na palący się tysiącem iskier pył, śmignęły nawrotem przez powietrze, muskając wodę nakształt skrzydła mewy, zapadły się znowu, — by w nieustannym tym trudzie trwać wśród dziennego żaru do wieczora. Za każdą nową skibą odmierzoną przez pracowitych oraczy wielka galera unosiła dziób wysoki, kształt hełmu mający, sadząc jak koń przez rozszumiałe zagony. Woda pluskała wzdłuż boków, bębniąc w pudło statku niezliczonemi palcami. Za rudlem szumiał tęgi warkocz piany, przewalający się

z boku na bok za każdym ruchem starego Borzo, sternika.

— Słońce jakieś mętne — zauważył don Faustus.

— Tak jest, Dostojny Panie. Niebo poszarzało, zaś na południu ukazują się już chmury... Złapiemy obcierkę monsumu, jak nic...

— Coraz lepiej — pomyślał z goryczą don Faustus. — Spotkać monsum, a choćby tylko jego obcierkę, na takiej skorupie! Ależ prawda! mamy pono na pokładzie Wielkiego Ojca, mającego nas chronić od burzy...

Postanowił go poszukać, aby się pośmiać z wesołka. Zakonnik ukończył już był pacierze i w tej właśnie chwili wychodził z pod pokładu, niosąc koszyk pełen odpadków kuchennych. Stanął przy burcie i począł je rzucać płynącym za okrętem rybom. Don Faustus podszedł ku niemu.

— Jak cię wołają, ojczaszku? — zapytał, klepiąc go po ramieniu poufale.

— Ojciec Franciszek Ksawery, *Societatis Jesu,* — odparł uprzejmie zakonnik.

Don Faustus cofnął się o krok.

— Jezus Marja! Może Ojciec Franciszek Azpilcueta Dom Jasse?

— Tak się nazywali moi rodzice... — Chwytaj maleńka, a żywo, bo ci znów inne zabiorą!

Wychylił się, śmiejąc, za burtę, i z zajęciem spoglądał na ryby, których niezwykła obfitość cisnęła

się dokoła statku. W zieleni wody ciemniały prężne, wijące się grzbiety, patrzyły uparcie bezrzęse, nieruchome oczy. Chwilami nagłym rzutem błyskał płaski bok, lub głębiej przewinął się strach wzbudzający cień morskiego drapieżnika. Ojciec Franciszek uśmiechał się ku tej milczącej gromadzie. Naraz obrócił się i spojrzał na don Rodrigueza, stojącego bezradnie, z opuszczonemi rękami i wyrazem przygnębionego zawodu na twarzy.

— Co Waszej Dostojności jest? — zapytał troskliwie.

— Ojciec Franciszek Azpilcueta Dom Jasse di Xawerio, Legat pełnomocny Wschodu od Stolicy Apostolskiej? — wyjąkał don Faustus omal z przerażeniem.

— Ojciec Święty w niepojętej swej dobroci dał mi rzeczywiście ten tytuł, którego jednak nie używam, jako zbyt nielicującego z moją z mizerną osobą...

Wytrząsnął resztę odpadków z koszyka.

— Wasza Wysokość... Legat pełnomocny... — powtarzał don Faustus zmieszany.

— Nazywajcie mnie, panie, Ojcem, jak poprzednio: Ojciec Franciszek Ksawery...

— Ja od miesiąca Waszej Wysokości szukam! — wybuchnął nagle Rodriguez. — Ja dlatego tylko na ten stary gruchot siadłem! Jeno nie spodziewałem się... w takiej postaci... — dokończył z żalem głębokim.

— Czego życzyliście sobie odemnie, Dostojny Panie?

— Czego?

Don Faustus zamilkł. Czuł się oszukanym. Innego człowieka szukał niźli ten, który stał przed nim. Powierzyć mu swoje troski? Stracił do tego ochotę w gorzkiem poczuciu zawodu. Sprawa była dość zawiła: Zeszłego roku, córka don Fausta, piękna Annunziata, oddała potajemnie serce bezporównania niżej od niej rodem i fortuną stojącemu Raymondowi Payra. Zatrwożony ojciec, chcąc ratować dziecko, postarał się, by młodzieńca cichaczem sprzątnięto. Niestety! — piękna Annunziata, źle rozumiejąc troskliwość rodzica, rzuciła się w fale Tagu. Aczkolwiek cnotliwy armator wierzył mocno w słuszność swojego postępku, niepokój nawiedzał go nocami. Wspomnienie córki spędzało sen z powiek. Spodziewał się, że mądry i świątobliwy a szlachetnie urodzony Legat potrafi roztrząsnąć umiejętną dłonią tak delikatny stan sumienia i usprawiedliwi go przed sobą samym. Wszak działał w najlepszej myśli! Nie jego winą było niepomyślne zakończenie...

Milczał i milczeć postanowił. Czuł niejasno, że działające w nim motywy (tak wszakże proste!) nie znalazłyby oddźwięku w duszy bosego człowieka, przemawiającego z równą tkliwością do ryb niemych lub do zbójów.

— Dokąd udaje się Wasza Wysokość? — zagadnął, wymijając odpowiedź na tamto pytanie.

— Do mnie mówicie, Dostojny Panie? Nie przy-

wykłem do tytułów, równie męczących, jak niezasłużonych. Jestem Ojcem Franciszkiem, nic więcej. Płynę do Maoryki, która piękną wyspą i zaludnioną jest, a nic dotychczas o prawdziwym Bogu nie wiedzącą...

— Na świętego Filemona! Słyszałem o Maoryce! Kanibale tam pono z najdzikszych, szatany szpetne, nikogo obcego u siebie nie żywiące... Noga chrześcijańska jeszcze na tej wyspie nie postała!

— Dzikusy to rzeczywiste podobno i kanibale. Tem bardziej trza ich odmienić...

— Ojcze świątobliwy! toć-że to proste szaleństwo! Nie godzi się cennego żywota na kres niechybny bezpożytecznie wystawiać! Wasza Wysokość, legatem będąc, ważniejsze ma misje przed sobą!...

Ojciec Franciszek zamyślił się, patrząc przed siebie, nim odparł:

— Mylicie się, Panie, sądząc, iż na tej wyspie noga białych nie postała. Byli tam nasi, owszem, przed kilkoma laty. Obeszli wyspę dokoła. Nie znalazłszy na niej nic godnego uwagi, uciekli przed kanibalami. Niewątpliwie, gdyby znaleźli na niej piasek złoty, bogate lasy lub inny towar popłatny, wróciliby nieulękle raz drugi i trzeci, wiodąc wślad za sobą innych, i panowaliby nad wyspą. — Czyliż więc miłosierdzie tchórzliwsze ma być niż chciwość? Mną zresztą też chciwość kieruje. Łowca-m zachłanny, nigdy nie syty dusz, dotychczas jakoby nie żyjących, — roztwierających się dopiero niby kwiaty ku Bogu i Prawdzie.

Ciemne ubogie duszęta, rozwijające się w świetle wiary przedziwnie. Mam ich wiele, wiele, na wszystkich tych wyspach, a nigdy nie dosyć. Miłuję je, jak matka swe dzieci, bo życie wieczne i Boga za mem pośrednictwem poznały... Dlaczegóż ci z Maoryki mają pozostać w ciemności? Czyż nie narodził się Chrystus i dla nich?...

Chlust słonej wody ciął ich jak biczem przez lica. — Urwali, spoglądając na morze. Toń ze szmaragdowej stała się barwy ołowiu. Cisza była, woda marszczyła się drobno, niby rękawy przy sukni paradnej, — chwilami jeno nagły, skośny podmuch wiatru niósł daleko ostre bryzgi, by znowu ucichnąć. Wiosła pracowały całą siłą, aż statek stękał w wiązaniach, prąc się wprzód przez spopielałe odmęty.

— Monsum idzie — rzekł Ojciec Franciszek.

— Kapitan przewidywał to już z rana. Jak myślicie, świątobliwy Ojcze: wytrzymaż ta galjota napór wichru?

— Wytrzyma lub nie, według tego co jej Bóg przeznaczył — odpowiedział zakonnik pogodnie, i odszedł, by wioślarzom zanieść wody z octem dla ochłody.

— W taki czas — rzekł na odchodnem — żar pod pokładem aż dusi.

Don Faustus pozostał sam, spoglądając na niebo z niepokojem. Monsum nadlatywał istotnie na porwanych skrzydłach chmur. Jak czarownice wzywane na sabat, zbiegały się błyskawicą z wszystkich krańców widnokręgu, zaległy mroczną gęstwą czyste doniedawna

niebo. Z bezkształtnego ich tułowia wychyliła się na horyzoncie chmura obła, ciemna, o jądrze niebieskawo świtającem. Wraz powietrze stało się duszne, nie do wytrzymania, — barwy sposępniały. Mewy piskały radośnie, świecąc białym sierpem skrzydeł nad nagłą szarzyzną otchłani. Już i fale poczęły budzić się z uśpienia, przeciągały się szczekając i warcząc, drażniły wzajem, wgryzając się jedna drugiej w ugrzywione, giętkie karki. Aż się zerwały do tańca, podjudzone wichrem. Wzdęły naokół galery wielkie, śliskie cielska. Niby w dolinie zacisznej pomiędzy szczytami znalazła się galjona, drobiąca śmiesznemi mackami pośród wyżętych ku niebu bałwanów. Podbiły ją wgórę, wypluły na szczyt, skąd spływać poczęła w otchłań.

— Wiosła! wiosła! — ryczał bez przerwy pochylony nad tubą kapitan, trzymając się oburącz mocnej drewnianej barjery. Stary Borzo stał przy rudlu. Galera zsunęła się wdół, i w tejże chwili z szumem przewaliła się poprzez nią fala, spłókała pokład, przebiegła, wymiotła znów statek na górę...

— Wiosła!... — wycharczał kapitan, wypluwając wodę.

Urwał z przekleństwem straszliwem: Połowa wioseł z prawej strony, wpiętych w potężny tułów fali, prysła jak drzazgi; statek począł okręcać się na miejscu.

— Zmienić wiosła!! — zakrzyknął.

Galera dygotała, rzucana niby łupina, — naraz przechyliła się na bok, ukazując drgające bezradnie

w powietrzu nogi wioseł. — Klapa zejściowa podniosła się nagle, — dwudziestu kilku wioślarzy wypadło na pokład.

— Woda na dole! — krzyczeli.

— Na miejsca! — wrzasnął kapitan. — Lukę zamknąć! Na miejsca, łotry, natychmiast!

— Sam idź! Tam wody po szyję!

— Na miejsca!

— Oliwę każ lać, oliwę!

— Czas na oliwę; do wioseł!

— Żal ci, psie chciwy! Wolisz zagubić nas wszystkich niż stracić ładunek!

— Zbóju!

— Na miejsca! Spuszczę oliwę!

Cofnęli się, uspokojeni, zostawiając czterech, którzy rzucili się, czołgając, by ich woda nie zmiotła, ku baryłkom. Między beczkami, skulony, zmoczony, tkwił don Faustus Rodriguez. Wicher zerwał mu kapelusz, następnie perukę; łysa jego głowa błyszczała. Szczękał zębami z przestrachu.

— Giniemy? — jęknął.

— Na to wygląda — odkrzyknął kapitan wśród ryku.

Tamci, pełzając, podtoczyli baryłki ku burcie. Nieludzkim wysiłkiem utrzymując równowagę, wynieśli je na kant, wybili siekierą dna. — Ciecz gęsta, żółtawa, leniwa, jakgdyby zdziwiona, płynęła powoli,

zaścielając zaskoczone fale ruchomym, lepkim obrusem. Morze naokoło statku ucichło na moment.

— Więcej! więcej! — wołał Fereiro, oglądając się na boki.

Odetchnął z ulgą. Nowe wiosła wysunęły się w miejsce złamanych, chwyciły za wodę, wygięły się w łuk pod naporem fali, uniosły się, szarpnęły. Wypadli na wierzch grani wodnej, okręcili się na niej, i stoczyli wdół.

Znowu wypadli, dźwignęli się na górę, otrząsając się z potoków wody. Znowu i znowu, przez szereg straszliwych godzin. Zmierzch niesamowity, rudo-błękitny, nadchodził, a piekielny taniec trwał.

— Przekleństwo! — warknął Fereiro.

Wszystkie wiosła z lewej strony bryznęły jak wiechcie słomy. Bezsilna, bezradna łupina wirowała, huśtała się, przewalała z boku na bok, czekając lada fali, która odwróci ją na grzbiet, jak chrabąszcza. Wioślarze wyszli na pokład, pełzając ku łodzi. Dawno porwały ją fale — więc tarzali się z dzikim skowytem wściekłości, czepiając się kurczowo ław. Bramini siedzieli rzędem, przywiązani jedną liną do burty. Twarze ich były obojętne. Wargi powtarzały formułkę modlitwy. Spoglądając wokoło z rozpaczą, Fereiro spostrzegł, że stary Borzo od rudla daje mu ręką rozpaczliwe znaki.,

— Gdzie Wielki Ojciec? — krzyczał sternik schrypłym głosem, darmo starając się przekrzyczeć

burzę. — Wielkiego Ojca! Niech się modli! żywo! żywo!

— Niech się modli! — powtórzył z rozpaczą kapitan.

Ojciec Franciszek Ksawery pracował na dole za trzech, wylewając wraz z kilkoma wioślarzami wodę. Zwołany, wyszedł na pokład, gdzie leżeli ludzie bladzi z trwogi, w lęku przedśmiertelnym czepiając się wszystkiego, co im się zdało oparciem.

— Ojcze! — zakrzyknął kapitan, — giniemy! Proś Boga!

— Proś Boga! Ratuj! Niech cię wysłucha! — wołali.

— Wskrzesiłeś czworo ludzi w Trawankorze! Zlituj się teraz nad nami!

— Jakeś ocalił Madurę od najścia Badagów!... Ratuj nas!...

— Ogień ciebie słucha, morze, wiatr!... Ulituj się!...

— O bracia, módlmy się wszyscy! Bóg jednakowo słucha próśb każdego...

— Nieprawda! Ciebie wysłucha! Wzywaj Go! wzywaj! Ubłagaj!

Skomleli ostatkiem tchu, spoglądając nań prawie z nienawiścią, bo zdało im się, że trzyma w ręku ratunek, a wahający jest, czy go udzielić. I Franciszek Ksawery, powiódłszy wzrokiem po nich, uczuł ogromną litość nad tą ludzkością nieszczęsną, wyjącą w trwodze przedśmiertelnej, przeto podszedłszy ku burcie,

ukląkł do modlitwy, nieczuły na zalewającą go co chwila wodę. Wśród straszliwego łoskotu rozpętanych fal modlił się w cichem swem sercu rozmodleniem wielkiem, aż rozpłomieniwszy nagle ducha w sobie, powstał i twarzą w twarz z morzem bluznął rozkazem:

— Ucichnij! Ucichnij!... Słyszysz?!... Krzyż jest nad tobą! Ucichnij!

Wicher zagwizdał raptownie, zahuczał, zagrzmiał, przeleciał ponad głowami wściekłym huraganem fali, wyrwał galerę ku górze, — opuścił...

Wpół martwi ludzie nie umieli nigdy później opowiedzieć, co zaszło w tej chwili. Niejasne uczucie ulgi, odprężenia, jakgdyby z piersi walił się śmiertelny ciężar. Po dłuższej chwili zaledwie pojęli, że wiatr przycichał, odchodził, tratując dalej strasznemi stopami rozbujałe tamy morza. Fale topniały w oczach, jak śnieg pod deszczem wiosennym, miękły, przewalały się z szumem łaskawym. Rozdarły się ciemne chmury i błysnęło przez nie zachodzące właśnie słońce. Ojciec Franciszek stał wciąż przy burcie, bez ruchu. Wtenczas to fala ostatnia w bezsilnej złości porażki skoczyła ku niemu, liznęła, szarpnęła, zalała oczy mściwym sięgiem wody, wyrwała z ręki krzyż, uciekła z chichotem, trzęsąc ugrzywioną głową. Spojrzał za nią z żalem, litując się zawziętości, prawie że ludzkiej, żywiołu.

* *
*

Łódka (odnaleziona nazajutrz po burzy) zarżnęła się w piasek głęboko, i Ojciec Franciszek Ksawery, pożegnawszy raz jeszcze wioślarzy, wyskoczył w płytką, ciepłą wodę. Dobrnął suchego wybrzeża, i rozejrzał się. Stał sam, na wyspie zwanej Maoryką, zamieszkałej przez kanibalów, nienawiść zawziętą noszących w sercu ku białym. Był sam jeden. Łódka zaledwie już była widoczna na morzu, dopływała galery; wioślarze jej pracowali ostro, niekwapiąc się bynajmniej do spotkania z chyżemi pirogami dzikich.

O kilkanaście kroków przed nim zaczynał się las, cienisty, zwarty, nieznany. Ruszył w tę stronę i przypomniał sobie nagle, że nie ma krzyża przy sobie. Stanął bezradny, zmartwiony, w nagłym skurczu serca. Gdy spotka tych, ku którym szedł, — cóż im okaże? Jak wyjaśni, w imię czego przybył? Nie ma krzyża... Czemuż nie pomyślał o tem wcześniej, nie sporządził sobie innego? O niedobra falo!... Iść ku poganom bez krzyża, niby herold, wysłaniec, idący bez pieczęci pana! Jakże mu mają zawierzyć?!

Osmętniały, ruszył frasobliwie wybrzeżem, między wyrzuconemi przez morze odłamkami drzewa szukając sposobnych dla zrobienia znaku Odkupienia. Gdy nic odpowiedniego nie widział, jęło coś pluskać w wodzie tuż przy brzegu. Przystanął, patrząc. Wielki, oliwkowy krab wyłaził z trudem na brzeg, rozstawiając szeroko i niezdarnie kosmate nogi. Był to krab z rodzaju grzbietonogów, na szerokim spłaszczonym odwłoku noszący

parę niby ramion, do trzymania zdobyczy przeznaczonych. I teraz trzymał w nich coś — śliskiego snadź bo osuwało się ciągle, wysokiego, bo kołysał się z boku na bok niepewnie, pośpiesznie kiwając szczypcami. To coś zalśniło do słońca tak dziwnie, że ojciec Franciszek pochylił się zaciekawiony. I zdumiał!...

Ciemny morski potworek przynosił mu zgubiony krzyż — krzyż wyrwany przez złą falę o cztery dni drogi stąd! Przykląkł, by wyjąć ostrożnie ukochaną zgubę, przycisnął ją do ust w uniesieniu. Podjął z ziemi kraba i w pieszczocie przytulił do twarzy; spojrzał serdecznie w cudaczne, niezrozumiałe, ruchome na słupkach oczy, poczem uczynił nad nim znak błogosławiący i puścił ostrożnie do wody. Teraz powstał z krzyżem w ręku i odwrócił się radosny, pogodny, promienny... Dwie małpki brunatno-szare przykucnęły opodal, patrząc na nieznanego człowieka ciekawie. Uśmiechnął się do nich słonecznie, one zaś podbiegły i wskoczyły mu na ramiona. Świetne, jak z barwnej porcelany ulepione papugi latały nad jego głową. Z zarośli wyszło kilku dzikich, szpetniejszych wiele od małp. Ukryci między drzewami widzieli kraba wynoszącego z morza amulet nieznanemu czarodziejowi, więc lęk ogarnął ich serca. A Franciszek Ksawery na ich widok rozpromienił się jak zorza i podniósł wysoko krzyż. Oni zaś, widząc, że wielki biały czarodziej idzie ku nim, padli na twarze, bełkocąc niezrozumiałe wyrazy.

LEGENDA
OPACTWA SANDOMIERSKIEGO

Opat Sadok stanął na najwyższym szczeblu trzeszczącej drabiny, i chwyciwszy rękami za kratę, wciągnął się w głęboki wnęk okienny. Teraz, ukląkłszy na szerokim, przeszło trzyłokciowym murze, mógł swobodnie rozejrzeć się po okolicy. Od kilku już dni wszystkie dolne okna klasztoru były zabite na głucho deskami, w oczekiwaniu napadu; jeno po czerwonym blasku, padającym z górnych okien, można było wnosić, że w bliskości szerzyły się pożary.

Opat wysunął z trudnością głowę poprzez kraty, i smagła jego twarz pociemniała grozą. Trzy ćwierci nieba zajmowała łuna. Trzy ćwierci nieba płonęły. Płomieniste grzywy ognia, sięgające zuchwale aż pod strop niebieski, odbijały się we Wiśle, której wody toczyły się krwawe, gorące, obce naraz i straszliwe. Stojące nad brzegiem drzewa prześwietlone były nawskróś, a czerwona obrzeż rysowała jaskrawo zarysy wieży św. Jakóba i domów rozrzuconych naokoło miasta. Nie była to łuna jednego, bodaj największego pożaru, lecz równoczesny odblask tysiąca pożarów, — całego kraju, ginącego w męce i pożodze.

Patrzącemu zdawało się, że słyszy wyraźnie huk ognia, krzyki trwogi, zgiełk i gwar nieszczęścia, nie był jednak pewien, zali jest to prawdą, czy złudzeniem. Mogło być prawdą, bo pierścień ognia nie był oddalony. Płonęły już Osiek, Dzików, Rozwadów, Zaklików, ukryte w lasach Janów i Turobin, za niemi zaś płonęła cała Polska... Serce opata spłynęło na ten widok krwią, niby woda Wisły, płynącej w dole pod klasztornemi murami.

Miserere mei... — szeptał. — Cóż ci zawinili?... Za co karzesz ten lud zbożny, pracowity, chętny? Sądziłem drzewiej, że on Ci najmilszy, a oto na stracenie jest wydany... Za cóż to, Panie? Trzysta lat jeszcze nie minęło, jak jest chrześcijańskim a miłuje Cię, prostszy jest i czystszy, niżli niejedne narody Zachodu, co od tysiąca lat i więcej Imię Twoje chwalą... Znam ich, Panie, bardzo dobrze. Pracowałem tu wiele lat, a przedemną pracowali poprzednicy moi. Dzieło, które wznosiliśmy, z Ciebie było, a nie z czarta. Dzieło to Boże rodziło owoce. — Uczyliśmy modlitwy i tkactwa, — bojaźni Twojej i uprawy roli, — poszanowania przykazań i chodzenia koło trzód. Budziliśmy do życia lud, który spał. W lasach nieprzeniknionych, w puszczach, borach niezdeptanych, gdzie żubr jeno a niedźwiedź rządziły, karczowaliśmy w krwawym trudzie, wespół z tym ludem, starodawne drzewa i wydzierali puszczy urodzajną ziemię. Gdzie się roześmiała do słońca urodzajna ziemia, wnet stawał koś-

ciół, a pod jego schronem chaty. Wyjęliśmy ze spracowanej ręki tego ludu niezdarną kamienną motykę, dając wzamian mocny rydel żelazny i siekierę z przedniej stali... Ciemnych, niby zwierz wśród boru, czyż nie uczyliśmy cierpliwie arcytrudnej i ważnej nauki czytania, nie dla innej przyczyny, lecz by Cię lepiej, umiejętniej chwalić mogli?... Od trzech niedziel czekam ufnie, kiedy gniewowi swemu kres raczysz położyć i pochód szatanów rozpętanych wstrzymasz...

— Lecz kres nie nadchodzi. Snadź już nie nadejdzie. Pozwoliłeś, by niszczyli całą Polskę wzdłuż i wszerz, by stratowali wsiane przez nas ziarno. Nic już naszego plonu nie ocali. Dziś jeszcze spalą miasto i ten klasztor, i pójdą dalej po gruzach. Gdzie ich zatrzymasz? Czemuś im aż tu dojść pozwolił? Zali to, co się dzieje, nie jest końcem świata, zapowiedzianym w objawieniu Jana?... Spodziewali się ludzie onego końca, na Apokalipsie i księgach Sybilli wiarę swoją opierając, w tysiącznym roku, lat temu dwieście czterdzieści i jeden. Widno mylnie obliczali, rachując wieki Sybilli po sto lat każdemu, gdy niektórzy mędrcy mówią, że ona dawała im miarę sto dwadzieścia trzy, lub sto dziewiętnaście. Powiadali także, że w Rzymie, pod Lateranem, zamknięty jest w lochu i przez świętego Sylwestra papieża związany Lewjatan Apokalipsy, który wyzwoli się z więzów, skoro czas jego nadejdzie, potrząśnie światem i wypluje z paszczy setki tysięcy demonów... Otóż i w tem

pomylili się mędrcowie! Nie pod Lateranem żywie Lewjatan owy, ale w Azji. Tam kędyś, w pustkach nieznanych, krył się, by teraz wyruszyć na stracenie świata. Stamtąd nasyła kohorty szatanów. — Boć szatanami, nie ludźmi, są owi straszni najeźdźcy, których żadna siła ziemska zatrzymać nie może, Ty zaś zatrzymać ich nie chcesz...

— Jam gotów, Panie! I moi będą gotowi. Nie o siebie płaczę, ale o ten kraj. Czemuś nie ulitował się nad nim? Czemuś go wydał na zagładę piekłu?...

Ocknął się z długiej zadumy i ostrożnie zeszedł nadół, gdzie stali stłoczeni Ojcowie i Bracia zakonni. Było ich czterdziestu. Stali tam czas dłuższy, nieśmiąc przerywać rozważań opata. Światła nie palono, lecz przez górne okna wpadał różowy blask ognia, oświetlając wnętrze. Przy tym blasku spojrzał opat ojcowskim wzrokiem na ich wymęczone twarze i rzekł:

— Mili moi! trza nam, nietracąc czasu, godnie się sposobić.

— Na co? — zapytał Brat Dominik, młodzieniaszek o różowej i dziecinnej twarzy.

— Na kołatanie do furty niebieskiej, by nam otworzoną była...

— Jezu, Hospodynie nasz!

— Pójdźmy najpierw do kościoła, odprawić ludzi, co się tam schronili.

Wysoka nawa kościelna przepełniona była tłu-

mem, zbiegłym z całej okolicy. Niektórzy przyszli niedawno, inni siedzieli tutaj już od doby przeszło, i spali teraz znużeni; niektórzy modlili się głośno. Niższe okna kościoła zabite były na głucho, lecz, podobnie jak w klasztorze, światło czerwone pożaru wpadało przez górne.

Opat Sadok wszedł za kratkę, a za nim Ojciec Rafał drżącemi rękami zapalał wysokie świece, — Ojcowie Sylwinus i Grzegorz uderzyli w dzwonki, opat zaś, wyjąwszy złocistą monstrancję, błogosławił lud zebrany. Schował ją do tabernakulum i, odwracając się do tłumu, rzekł:

— Mili moi! Oddaliście się w opiekę Panu, a Pan poleca wam przez moje usta chronić się teraz w bezpieczniejsze miejsce. Bóg miłosierny, Pan nasz, was powiedzie. Ten klasztor się nie ostoi. Bóg chce, byście żyli i ratowali się. Uchodźcie tedy, nie zwlekając ani chwili. Już Zaklików i Dzików w ogniu. Na Klimontów zaś, na Słupie, droga jeszcze wolna. Niemasz ani jednej łuny w tamtej stronie... Bóg nakazuje chronić życie w miarę możności, więc weźcie chleba, wiele zdołacie, i uchodźcie; w puszczy Bodzentyńskiej nawet Tatar nikogo nie znajdzie... Nie chrońcie się do lochów miejskich, bo straszno, gdy ogień wybuchnie... Lepiej w boru... Idźcie w pokoju, najmilsi... Bóg z wami...

Opat mówił, a tłum szlochał, łamiąc ręce i zawodząc. Uchodzić w nieznaną puszczę! Poniechać do-

bytku całego! Tu piekielniki, a tam zwierz srogi i zbóje!...

Wychodzili zwolna, w płaczu serdecznym, nieutulonym. Gdy kościół opustoszał całkiem, opat kazał zawrzeć mocno ciężkie, żelazne wrzeciądze u wrót.

— A myż nie wyjdziemy? — zagadnął nieśmiało Brat Paweł. Był tęgi, czerstwy i nad podziw pięknie śpiewał.

— Dokąd? — zapytał opat ze zdziwieniem.

— Chronić się... do puszczy... — wyjąkał zmieszany zakonnik.

— Insza rzecz owi ludzie, insza my — odparł opat z pewną surowością w głosie. — Oni są jako dzieci, dzieci nasze, które ratować potrzeba. Są oni jako trzody nasze, a któryż pasterz nie zapędza trzody, kiedy są wilki w pobliżu? Nam zaś, którzy stróżami nad niemi jesteśmy, nie trza ani kryć się, ani uciekać...

I z zapałem ciągnął dalej:

— Oto dom Boży, w którym zeszły długie lata wiernej służby naszej, dom, którego ślubowaliśmy nie opuścić. Któż w godzinę próby pierzchnie? — Gotujmy się, bracia, mężnie na męczeństwo i śmierć piękną!

Szloch cichy był odpowiedzią. To młodziutki Brat Dominik płakał lękliwie na myśl o męczeństwie.

Ojcowie spojrzeli na niego z niechęcią, lecz surowy zwykle opat podszedł do płaczącego Braciszka i utulił iego strwożoną głowę serdecznie.

— Synaczku mój, Bóg z tobą, nie lękajże się. Wiele ludzi życie całe trapi się i męczy, by osiągnąć to, co ty w jednej godzinie otrzymasz. Chrystusowy-ś wojak, a przed bitwą drżysz? Bój dla nas może być tylko chwałą i zwycięstwem! Cóż ci śmierć? Zali prędzej czy później nie umrzesz? Zaliś się nie narodził poto, aby umrzeć i chwały wiecznej dostąpić?

Długo jeszcze prawił opat, ku podniesieniu serc braci, zaczem poszli do refektarza spożyć ubogą wieczerzę, z bobu i placków jęczmiennych złożoną. Nie mieli serca do jedzenia, lecz opat jeść im rozkazał, by ciało osłabłe nie zdradziło ducha.

Od przewozu powrócili Bracia Serafin i Maciej, których opat raniej posłał zobaczyć, czy miejscy nie zapomnieli porąbać i wyciągnąć na brzeg promu. Powiadali, że owszem, prom rozrąbany z wodą jest puszczony, miasto zaś puste, jakoby wymarłe. Jeno że do puszczy mało wiele ludzi uszło. Co przedniejsi mieszczanie zostali w grodzie ukryci. Powiadali, że wojska książęce przyjdą pewno miastu w pomoc i piekielników odeprą, a wtedy — wojsko jak wojsko: ciury wnet zaczną opuszczone mieszkania rabować. Pod miastem w skale wykute znajdowały się długie, poplątane lochy. Tam się oni schronili, wejście suchym chróstem dla niepoznaki założywszy.

Opat kiwał smutnie głową, nierad tym wieściom. On wiedział, że wojewodowie, krakowski Włodzimierz i sandomierski Pakosław, cofnęli się z rycerstwem

za Chmielnik, niekwapiąc się bronić miasta, zaś płochliwy książę Bolesław ujechał już z dworem na Węgry. — Nie uratuje miasta nikt...

Odśpiewali modlitwy i legli spać w kościele, pokładając się blisko jeden drugiego. Pod sklepieniem drżało różowe światło od łuny, i sen nie imał się powiek. Kunsztowny zegar na wieży, przez biskupa Gedeona z Niemiec sprowadzony, łomotał głośno wśród ciszy, niby warsztat tkacki, a co godzina, zgrzytnąwszy, wydzwaniał powolne zbliżanie się przeznaczenia. — Noc jednak przeszła spokojnie. — Gdy słońce zeszło na niebie, opat z braćmi odśpiewał jutrznię, poczem co rychlej z Ojcem Sylwinusem wdrapali się na okienny wnęk wieży, by stamtąd wyjrzeć na świat.

Łuny zgasły wobec wspaniałości słońca, ale, jak okiem zasięgnąć, ze wszystkich stron widnokręgu ścieliły się dymy. Wlokły się gęstym pierścieniem, unosiły ciężką chmurą, zaciemniały krańce nieba, z każdą chwilą stawając się bliższe. Tuż ponad ziemią drżał pasek dymu białego, przetykanego skrzącemi ogniami. Tak czasem w łanie dostałego żyta rozpleniony mak zakwitnie i przebija gorącą czerwienią poprzez biel źrałego zboża... Wał ten, mieniący się ogniem, sunął szybko naprzód; to płonęło zboże na pniu i, gdzieś okiem wyjrzał, stały w ogniu sandomierskie urodzajne łany. Ogień doszedł do wilgotnych łęgów nadbrzeżnych i przygasał z sykiem. Duszący biały dym napełnił mury. Gdy opadł, na szarem popielisku zbóż

zaciemniały chmary jeźdźców. Widzieli się zdala podobni do stada szarańczy lub myszy. Z niezmierną szybkością zbliżali się ku rzece, i w kilka pacierzy obaj zakonnicy mogli już rozróżnić poczwarnych jeźdźców na poczwarnych koniach, pędzących z dymem wskróś zwęglonych pól. Tak, to oni byli, piekielnicy, Tartari, słusznie takimi nazwani... Na spustoszenie i nieszczęście świata w bezludnych stepach azjatyckich wyrojeni. Bicz Boży... koniec wszystkiego...

Obaj Ojcowie spojrzeli na rzekę, jedyny wątły ratunek. Po świętojance wody jej już spadły i płynęła pośród dymów obojętna i niegroźna. Nie powstrzyma ta Wisełka przeznaczenia! Nie wzniesie się nagłą przeszkodą...

Zeszli nadół, gdyż zbliżała się pora modlitwy. Gdy śpiewać kończyli, straszliwe wycie uderzyło w okna. Tatarzy przeszli przez rzekę. Nie bacząc na to, opat włożył ornat koloru purpurowego, gdyż taki na tę niedzielę wypadał, i wyszedł z mszą świętą przed ołtarz. Potem komunikowali się wszyscy, a Ojciec Rafał jął odprawiać sumę. Tak zeszło południe. W okna bił żar i swąd. Z otworu wieży ujrzeli widok straszliwy: miasto zdobyte było i w płomieniach, zaścielone gęsto trupem. Wśród płonących domów uwijali się Tatarzy, przetrząsając domy, wyciągnięte z nich przedmioty składając na jeden stos poza granicą pożaru. Mieli sine, drapieżne wargi upiorów, żółte, posępne lica zmory, a cali w kosmatej odzieży, zdali się podobni straszliwym

wilkołakom ze snu. Nieopodal stosu zagrabionych rzeczy stał żałośliwy tłum jeńców, związanych i pilnie strzeżonych. Opat żegnał ich krzyżem z okna, błogosławiąc głośno, choć słyszeć tego nie mogli. Dojrzeli jednak dłoń wysuniętą przez kratę Tatarzy i wnet kilkadziesiąt ciężkich strzał pierzastych syknęło zjadliwie przy oknie. Nie bacząc na to, kończył opat błogosławić, poczem zesunął się nadół, bo już czas był na nieszpory. Śpiewali litanję, każdej chwili oczekując wrogów, ale wrogowie nie śpieszyli się, chcąc wpierw zniszczyć docna miasto. Jakoż pod wieczorem nieludzkie krzyki wstrząsnęły murami. Skoczyli do okien na wieży: to Tatarzy odkryli podziemia i rozpalili u wejścia wielki ogień. W ogniu tym dusiły się i piekły setki ludzi. Niektórzy, oszaleli z trwogi, przedzierali się przez płomień i z palącemi szaty wypadali na świat boży, gdzie Tatarzy wśród chichotów przebijali ich spisami lub wpychali w płomienie zpowrotem.

Z podziemi dobywał się przeciągły krzyk konania, śmiertelny, mrożący krew w żyłach, po nim zaś zapadła cisza, stokroć od krzyku straszniejsza. Noc zeszła zwolna nad obrazem piekła. W kościele żar panował nie do wytrzymania i widno było jak w dzień. Wrzeszczeli, kłócąc się o łup, Tatarzy, płakały gdzieś zabrane do jasyru dzieci. Godziny sunęły się zwolna, nieskończenie długie, odbierając zakonnikom odwagę i moc. Trzymali się cały dzień, sprężeni wolą opata

w jedną wolę niezłomną i wiarę, lecz wysiłek był zbyt długi i sił im już nie stawało. Więc jedni zcicha płakali, a drudzy głośno mówili, że lepiejby było samemu sobie śmierć zadać, niżli potem w płomieniu lub wymyślnych mękach ginąć. Opat Sadok klęczał na stopniach ołtarza, pełen śmiertelnego żalu. Zali nie utrzyma do końca tej garstki? Nie o sobie myślał, ale o nich. Chciał pospołu z nimi wejść do dziedzictwa wiekuistego. Pragnął dla tych wojów swoich chwały i zwycięstwa, a oto, zamiast mocy, widział w nich rozterkę i nikczemną ludzką słabość. Przeliczył oczyma otaczające go głowy i ujrzał z bólem, że połowa zaledwie została. Gdzież reszta? Skryli się za konfesjonałami, w zakątkach i lochach klasztornych. Wyszukiwał ich, pełen wstydu, strofując odnalezionych łagodnemi słowy.

— Także to przyjmować będziecie wrogów Chrystusa? — mówił, — takiemiż to bojownikami jesteśmy? Zali Tatarzyn nie odnajdzie was, choćby pod ziemią, jak odnalazł tamtych nieszczęsnych pod grodem? O, jakże piękną i pełną chwały jest śmierć, dla chwały Bożej mężnie poniesiona, — a jak haniebną i lichą śmierć tchórza, wyciągniętego przemocą z ukrycia!

Zgromadził ich wszystkich przy sobie, że zaś już świtało, wyszedł przed ołtarz ze mszą świętą. Lecz poza sobą czuł blady lęk braci, mocniejszy niż jego słowa, i nieugięte serce zaskomlało z bólu. Nie da rady, nie utrzyma: Nie był już zdolen zagrzać

ich i podnieść. On, opat, zda z tego sprawę Chrystusowi...

Odwrócił się od ołtarza, przenikając bystrym wzrokiem klęczących wokoło. Dygotali jawnie, z oczami utkwionemi we drzwiach, gdyż właśnie krzyki tatarskie otoczyły klasztor i ciężkie wrota zajęczały pod uderzeniami. Blade twarze zakonników okrył gęsty pot, a usta drżały bezradnie. Z niewymowną rozpaczą i bólem opat odprawiał mszę dalej. Odpowiadali mu bezmyślnie, całą duszą podani ku wejściu, gdzie drżały, hucząc, potężne odźwierza, ogarnięci jedną myślą: siła czasu drzwi strzymają?

Opat przewracał karty mszału, szukając lekcji na ten dzień wypadającej. A mszał był stary i piękny, z Francji przywieziony na cienkim pergaminie spisany. Całe życie strawił nad nim cierpliwy Benedyktyn, co minjaturami karty pięknie zdobił. Znalazł opat kartę poszukiwaną i chciał czytać, lecz głos urwał mu się przy pierwszych wyrazach. Od wściekłych razów leciał tynk ze ściany, on zaś przecierał oczy niby we śnie, nie wiedząc gdzie jest i co się z nim dzieje. Zdało mu się nagle, że jest kędyś w innym świecie, o wieki całe odległy, i czyta o niejakim Opacie Sadoku, od pogan zamordowanym...

— Ojcze Rafale — rzekł cichym, strwożonym głosem, — przeczytaj lekcję, gdyż mgła przesłania mi oczy.

Ojciec Rafał przemógł lęk, z którym nasłuchiwał rąbania wrzeciądzów, i pochylił się nad mszałem.

— Na dzień... — zaczął, i urwał, spoglądając na opata ze zdumieniem, poczem upadł na kolana i w głos się rozpłakał.

Drzwi jęczały, puściła już jedna zawiasa.

Lecz opat, widząc, że zjawa nie była złudą ani snem, chwycił mszał oburącz i grzmiącym głosem tak czytał:

— «Na dzień Błogosławionych Opata Sadoka i Czterdziestu Braci Zakonników, umęczonych w Sandomierzu, czyta nam Kościół Święty lekcję zapisaną u świętego Pawła»...

. . . . . .

Porwali się z kolan osłupieli zakonnicy. Nierozumiejąc, otoczyli kręgiem ołtarz, a opat z twarzą radosną ukazał im kartę mszału, nad którą Bóg cud uczynił. Na cienkim pergaminie purpurą i złotem mieniły się słowa one, pełne chwały.

Przeto na widok zaszczytu i łaski, jakie im Bóg chciał uczynić, wezbrały w nich serca wstydem i dumą zarazem, radością i uniesieniem. Stłoczyli się oglądając zapowiedź przyszłej swej chwały, a żałując, że jeno jedno życie każdy z nich ma do oddania wzamian za taką nagrodę, której nie czuli się godni. Rozdrgały w nich dusze miłością Bożą, o nic nie dbającą, spłonęły męstwem walecznem, radosnem, a opat, szlochając głośno z uniesienia, skończył Ewan-

gelję, i przechodząc na środek ołtarza, zakrzyknął zwycięsko:

— *Credo in unum Deum!*

W tejże chwili Tatarzy wpadli do kościoła.

* * *

Od dnia owego minęło wiele, wiele lat. Minęło więcej niż 280 lat. Trawą porosły groby męczenników, a w potężnej, możnej Rzeczypospolitej matki straszyły dzieci wieścią o Tatarach niby bajką, co jeno hen, kędyś na kresach, może być jeszcze żywą i krwawiącą zmorą. I zdarzyło się raz, że przesławnej pamięci król Zygmunt, pierwszy z rodu Jagiellonów, wznosił na chwałę Bożą nowy kościół, a nie mając dla niego relikwij, tak pisał do Ojca Świętego, Klemensa VII:

«...Chwałę Boga Najwyższego i splendor świętej wiary katolickiej mając zawsze na uwadze, zapragnęliśmy pomnożyć ilość kościołów w ziemi naszej, jako że każdy kościół jest źródłem nowych łask Bożych i twierdzą, serca ludzkie od szatana zasadzek broniącą. Wznosimy zatem świątynię, ozdobną w miarę wszystkiej możliwości naszej. Pod jesień będzie gotowa. Wzniesione już są mury z dobrej cegły i zwiezionych dwadzieścia filarów z przedniego marmuru. Dach kryty będzie miedzią pozłacaną. Zwracamy się do Waszej Świątobliwości z najpokorniejszą supliką o udzielenie

temuż kościołowi, z niewyczerpanego skarbca rzymskich świętości, dostojnych szczątków Męczenników, Świętych Pańskich, Orędowników niebieskich.

«Waszej Świątobliwości wierny syn, sługa, Zygmunt, z Bożej łaski Król polski, Wielki Książe litewski, ruski, pruski, mazowiecki itd. itd. pan i dziedzic».

Papież Klemens VII wiekowy był i leżał złożony niemocą. Kardynał sekretarz, Antonio del Monte, odczytywał głośno Ojcu świętemu Zygmuntowy list.

— Król polski chrześcijańskim jest i wspaniałym monarchą — zauważył; — sądzę, Wasza Świątobliwość, że prześlemy mu co najcenniejsze relikwje.

— Tak jest, mój synu. Prześlemy mu świętości, któreby miały moc ściągnąć niewyczerpane źródła łaski Bożej na ten chrześcijański kraj. Obmyślę to, a jutro damy odpowiedź poselstwu.

Gdy kardynał wyszedł, a Ojciec Święty pozostał sam, spadło nań zachwycenie, niby sen przedziwny. — Ocknąwszy się z niego, ujrzał, że już dzień, i posłał służbę co żywo po kardynała del Monte.

— Gdzie są posłowie z Sarmacji? — zapytał wchodzącego.

— Czekają w krużganku na posłuchanie u Waszej Świątobliwości.

— Idź do nich co rychlej i spytaj, czy jest w ich kraju miasto, co się zwie Sandomierz?

A gdy kardynał wychodził zdziwiony, papież dorzucił:

— Jeno nie pomyl, mój synu, tej dziwnej nazwy: Sandomierz.

Nie minęły dwa pacierze, gdy kardynał wracał.

— Wasza Świątobliwość, jest gród taki w Polsce.

— Czy nic o nim nie mówili?

— Owszem, Wasza Świątobliwość. Gród to warowny, nad Wisłą, mówili, srogiemi bojami pamiętny.

— Tedy wróć do nich i rzeknij im odpowiedź moją: Miłemu synowi naszemu, Zygmuntowi królowi, pozdrowienie nasze i apostolskie błogosławieństwo. Z ojcowskim sentymentem i czułością udzielimy żądanych relikwij, wszelako nie wcześniej aż posłowie wrócą do swojego kraju i przywiozą nam stamtąd w mieszku skórzanym miarkę ziemi z grodu zwanego Sandomierz.

Zdumiał się niepomału kardynał del Monte.

— Wasza Świątobliwość — szepnął, — zali to istotna i całkowita odpowiedź?

— Całkowita i istotna. Idź, powtórz ją posłom. Za sześć miesięcy winni być zpowrotem, a otrzymają relikwje.

* *
*

Niemałe było zdumienie w Krakowie, kiedy wróciło poselstwo. Dziwił się i troskał król Zygmunt, dziwili się z nim senatorowie, a piękna królowa Bona zauważyła zgryźliwie, że w rodzie Medyceuszów umysły słabną na starość. Nikt jednak nie podniósł niestosow-

nego żartu, a król po namyśle tak rzekł do sędziwego kasztelana krakowskiego, Krzysztofa Szydłowieckiego:

— Dziwne to są rzeczy i niezrozumiałe, wszakże głęboka racja może być w nich utajona. Pewnikiem nie dopuściłby się Ojciec Święty swawolnego żartu. I skądże znał nazwę Sandomierza? Mizernyż to gród! Baczmy, waszmościowie, aby niewczesnem szyderstwem woli Bożej nie wypaczyć.

— Zda mi się przystojnem wolę Ojca Świętego wypełnić najściślej — odpowiedział pan Szydłowiecki, gdy królowa roześmiała się złośliwie.

— I mnie się tak zda — przytaknął król, nie zwracając na to uwagi. — Pisz waść niemieszkając do wojewody sandomierskiego, by w jego obecności zagarnięto w nowy, tęgi mieszek ziemi, koniecznie w obwodzie grodu. Niech sam położy na mieszku pieczęcie i co rychlej dostawi go nam gońcami rozstawionymi... A któż pojedzie z poselstwem?

— Waszmościowie Górka i Jarandz z Brudzewa proszą Waszą Królewską Mość, by im pozwolono jechać po raz wtóry, gdyż są nad miarę ciekawi, co będzie z tą ziemią. Przytem nijako im jest, że, bywszy w Rzymie, papieża nie oglądali.

— Niechże jadą — uśmiechnął się dobrotliwie król, — jeno konie i wozy trza im nowe dać. Nie dziwno mi, że ciekawi, ile że podobny *casus* jeszcze się nigdy w kraju nie wydarzył...

* * *

Nie minęło sześć miesięcy, gdy poselstwo polskie wjeżdżało zpowrotem do Rzymu. Ojciec Święty naznaczył uroczyste posłuchanie. Wielka bazylika św. Piotra pełna była ludzi, gdyż wieść o dziwnem żądaniu papieża rozeszła się już szeroko. Niepohamowana ciekawość rozpierała gadatliwy lud włoski. Jeden drugiemu opowiadał nieustannie, iż posłowie przywieźli ziemię, zwykłą, prostą ziemię, ze swego dalekiego północnego kraju. Na co ta ziemia? Co z nią zrobi papież?

Rozstąpił się tłum przed barwnym polskim orszakiem, co szedł z powagą, dostojnie a strojnie. Dzwoniły szable o marmur, lśniły bogate zapięcia. W pośrodku orszaku panowie Górka i Jarandz z Brudzewa nieśli między sobą niewielki mieszek skórzany z pieczęcią.

Podeszli do Ojca Świętego, który, w biel odziany, siedział na wysokim pozłocistym tronie, i całowali, przyklęknąwszy, jego stopy. On zaś pobłogosławił ich i zapytał zaraz:

— Gdzie ziemia?

Oderwali pieczęć z worka i rozsupłali wiązania. Zaczem wytrząsnęli worek przed stopy Ojca Świętego. Posypała się ziemia sandomierska, czarna, pszeniczna, rodzajna. Za plecami posłów cisnęły się tłumy ciekawych, wspinających się aż na filary, by lepiej widzieć co będzie. — A Papież pochylił się nisko, i białą, drżącą dłonią, co, wyschła ze starości, szeleściała jak

pergamin, jął przegarniać leżący przed nim kopczyk ziemi.

— Ona to... — szepnął w zadumie. Wyciągnął ręce, modlił się i błogosławił krainie, z której została przywieziona ziemia.

Poczem nachylił się znowu, ujął garść ziemi, i podniósłszy wgórę, zacisnął mocno szeleszczące jak pergamin palce.

Kardynałowie, posłowie i ciekawy tłum patrzyli z oddechem zapartym, i oto ujrzeli, jak z ziemi ściśniętej powoli zaczęła kapać żywa krew...

Kropla po kropli, rubinowe, wielkie, spływały po białych palcach, zbiegały u dołu, wisiały drżące przez chwilę, grając purpurą w promieniu słonecznym, i ciężko padały na stopnie papieskiego tronu. Wśród ciszy, która zaległa wielką bazylikę, słychać było jeno kołatanie serc strwożonych i ciężkie, powolne kapanie.

Plam na stopniach przybywało...

Papież zaś rzekł:

— Krew, którą widzicie, to krew Męczenników świętych. Zaprawdę, nie potrzebuje posyłać daleko po relikwje polski król. Powiedzcie panu swojemu, że cenniejszej relikwji nad tę niemasz w Rzymie. Niechaj umieści tę ziemię w ołtarzu, a kościołowi da miano świętych Męczenników.

PERŁY ŚW. ORSZULI

Ilekroć stara Erlenda zaczęła opowiadać, zasłuchane dziewki przerywały pracę. I teraz wrzeciona zamarły nieruchomo w ich rękach, gdy prawiła podniesionym głosem:

...A ma ci on Attyla, syn Mundzuka, głowę wielką, grzbiet garbaty, nogi krzywe, nos perkaty, skórę żółtą i kose oczy. Kobyle mleko pija, surową koninę żre, po sześć palcy ma u nóg. Kiedy tupnie w złości, dym smrodliwy idzie z pod murawy. W dymie demony się kłębią, Mundzukowemu synowi posłuszne. Nie zdzierży im nikt... Ma zaś ci on Attyla swój stolec daleko, w stepie gorącym, równym. Cztery wieżyce strzegą jego domu. Po cztery razy waruje wokoło częstokół. Na każdym palu częstokołu wbita głowa wroga. Z wygniłych oczu kapie trupi jad, grozę niesie nawskróś stepu. Nie zdąży ich słońce wybielić, już wiatr pędzi cuch nowych głów. Drży z trwogi ziemia dokoła. Dyszy ciężko z lęku step... Za czterokrotnem opasaniem głów ucztuje rad Attyla, syn Mundzukowy. Z nim pięćdziesięciu jego synów i stu hetmanów przedniejszych. Ellak o srogiem obliczu, Dengitzik

drżączkę mający, wielki Emnedzar góry przenoszący, Uzindur trądem dotknięty, Uto, Iskalm i Ernak... Ze złotych i srebrnych czar piją Attylowe syny i woje; on sam zaś z czary drewnianej, zaklętej. — Podle pałacu jego stoi pomieszkanie żon. Jest ich dziewięćdziesiąt i dziewięć. A najpierwsza jest Cerka, którą zwą też Helgą, jasnowłosa, z północy branka przywieziona. Ta ma swój pałac osobny. Słuchają się zachcenia Attyli, Mundzukowego syna, cesarz rzymski Walencjusz, w wielkiem Bizancjum siedzący, i wszyscy królowie Wschodu. Straszny on. «Trawa nie porośnie, gdzie mój koń przeleci», — taki jest jego zaśpiew. We śnie ludzie z trwogą powtarzają jego imię. Gorszy jest niźli wilkołak...

— Nie przyjdzie tu zaś? — zapytała z przerażeniem Gulda, spoglądając mimowoli w zakryte zaworą okno.

— Nie przyjdzie, nie; nie strachajcie się dziewczęta. Daleko on, daleko, do Armoryki drogi nieznający. Nad wielką rzeką Dunajem jego czaty stoją. Tam ci się kończy panowanie przeklętnika.

— Jeśli z czarami w zmowie?... — dopytywała niezupełnie uspokojona Gulda.

— Prawcie o czem innem — przerwała im Marga (wesoła była, nieznosząca strachów). — Prawcie nam o królewiczu, co po królewnę przyjechał.

Siedząca między dwórkami królewna Orszula spłoniła się i żywo zaprzeczyła głową, lecz stara pia-

stunka, której temat podany dogadzał, pośliniła palce, i puszczając w ruch wrzeciono, zabrała się do nowego opowiadania.

— Przyjechał, oho, ho! przyjechał — skandowała półśpiewem, — przyjechał z Brytanji, z za morza złego, Ethere, Arturowy syn. Po królewnę naszą do Armoryki przyjechał. Piękny jest królewicz. Niby oszczep prosty. Uda mocne ma jak dzik, stopy chyże jako jeleń, oczy błyszczące jak żagwie. W dłoniach krzepki jest jak tur, wyrosły bujnie jak smrek. Niema w nim słabości mdłej. Chluba być jego druhem, biada wrogiem. Mąż to, przy którego boku rozkwitnie małżonki cześć. Zazdrościć jej będą wszystkie białogłowy. Ułożą dla niej pieśń skaldy....

Królewna spuszczała jasnowłosą głowę nisko, nisko, pod zachwyconemi spojrzeniami dwórek. Stara piastunka umilkła, patrząc w nią z dumą i miłością wielką. Na kominie strzelały jałowcowe karpy, tryskając czerwonemi skrami. Chwilami wiatr wbijał dym zpowrotem; izba osnuwała się wtedy błękitnym pomrokiem, w którym majaczyły zatlone łuczywa, różane twarze dziewcząt, i drżały miesięcznym blaskiem perły na szyi królewny. Wrzeciona warczały sprawnie.

— Prawcie jeszcze o czem, Erlendo! — zawołała błagalnie Iwona.

— O mocnym bogu Belenusie wam opowiem, i świętym kwiecie werbeny...

Królewna podniosła żywo jasną głowę:

— Wolej opowiedzcie nam o wielkim bogu Jezu Krystu — szepnęła nieśmiało; — toćże nam teraz panuje...

Stara Erlenda zacisnęła wargi. Nie znała żadnych opowieści o nowym bogu.

— Pater Gildas ci opowie — rzekła niechętnie.

— Ho, prawił mi on już nieraz o królu Herodzie i o trzech mędrcach ze Wschodu, przecie radabym znać więcej... Co lubi, kogo najbardziej miłuje? Prawią niektóre, że najbiedniejszych i słabych?...

— A jużci — przyznała Erlenda. — Zawdy powiadam, że nie królewski to bóg, ale rybacki.

Wrzawa ludzi, skomlenie psów, tupot koni po grudzie, buchnęły nagle za ścianą.

— Z łowów wrócili — rzekła piastunka, rada z przerwania rozmowy, a złożywszy starannie kądziel i wrzeciono, zabrała królewnę, by ją w komorze godnie do uczty przystroić.

* *
*

W obszernej, choć niskiej, świetlicy króla Nothusa, pana północnej części Armoryki, pełno było ludzi i gwaru. Wielkie sosręby poprzez szerokość izby leżące — z jodeł nad morzem wzrosłych ociosane, pokryte rzeźbą misterną, — ciemne były od dymu, wiszącego chmurą u pułapu, i dźwięczne od wrzawy. Przed potężnym ogniem na kominie naganiacze,

odziani w dwie skóry baranie, łykiem lub struną zeszyte, rozwieszali parujące sieci, chciwie zerkając na jadło. Psy warczały, obgryzając rzucane przez jedzących kości. W rzeźbionych stołkach dębowych siedzieli przedni goście króla Nothusa: królewicz Ethere, niezrównany łowca, ze swą świtą, oraz cała starszyzna miejscowa, wierne tyerny i mactyerny. Stosy mięsiwa zalegały stoły, przegrodzone konwiami wina i brzozowego słodkiego soku. Królewicz brytański i rycerze jego żegnali się przed jedzeniem według nakazu świętego Patryka, uważnie podglądając jeden drugiego, by się w zawiłym znaku nowego boga nie pomylić. Poczem ukradkiem strząsali na ziemię pierwszą pianę wina z czary, bogom starym na ofiarę. Toż samo z westchnieniem ulgi czynili miejscowi. Już też ważniejsze wino, niż jałowy znak na piersi! Nie mogą poczuć urazy potężny Hezus, Tentales, lub uwięziony w jemiole Taranus.

W głębi izby, na połowie wysokości ściany, tuż pod ciemną chmurą dymu, ciągnęła się cudnie rzeźbiona galerja, dla białogłów przeznaczona. Tam siedziała, nieruchoma, w wąskiej sukni ze złotej lamy i wysokim rogatym kwefie, dobrotliwa królowa Daria, otoczona czcigodnemi żonami mactyernów i służebnemi dziewkami. Przy boku matki Orszula, córka Nothusa, patrzyła ze znużeniem wdół. Poprzez dym, niby przez mgłę, widziała czerwone od trunku, spotniałe oblicze narzeczonego, jego długie ciemne włosy

z których w gorącu izby buchał opar mrozu, i błyszczące oczy. Na początku uczty spoglądał dwornie ku niej przed spełnieniem każdego kielicha, lecz teraz, oszołomiony ciepłem i winem, walił bezmyślnie ręką w stół, nie dbając o nic. Mogła mu się przyglądać uważnie. Był taki sam jak ci wszyscy inni, którzy od dziecka napełniali ją mimowolnym lękiem. Srodzy woje, surowi sobie i drugim, groźni, nieustępliwi, gwałtowni. Trwoga ścisnęła jej serce. Poczuła się małą, słabą i bezbronną; niezdatną na żonę rycerza. Wolałaby miłować Pana Jezu Krysta, co rad jest nawet biedakom, niż silnego Etherę o dłoniach krzepkich jak tur...

Stary skald stał przed kominem, śpiewając pieśń o mężnym Beowulfie, synu Ellara, i walce jego ze smokiem duńskim Grendelem. Trzeźwiejsi wtórowali pieśni, dzwoniąc nożami do taktu; inni, zmorzeni całodziennym trudem łowieckim i winem, spali, oparłszy bezwładnie głowy na leżących na stole rękach. Korzystając z nieuwagi panów, służba, sietnicy i naganiacze ściągali reszty mięsiwa ze stołu, racząc się niemi po kątach i odganiając natarczywe psy.

Królowa Daria wychyliła się, by zobaczyć, czy król małżonek nie zauważy jej odejścia. Lecz król Nothus spał w swem poręczowem krześle, z głową odrzuconą wtył, chrapiąc donośnie. Wstała z miejsca i wysunęła się cicho do swego alkierza. Królewna nie poszła za nią. Gdy kroki matki ucichły, przesunęła

się jak cień między drzemiącemi czcigodnemi żonami mactyernów, zbiegła z galerji do sieni i pchnęła ciężką belkę, zawierającą główne wrota domu.

Owionęło ją mroźne, czyste, przeczyste powietrze. Śnieg obfity leżał na wzgórzach. Biały, cichy, miękki, do niczego innego na ziemi niepodobny, niby gość z innego świata. Biały, jak biały jest Chrystus, nowy bóg Armoryki... W oddali huczał ocean. Fale przypływu targały rumowiskiem zwietrzałych głazów z chrzęstem niby ciągnionych łańcuchów. Za wzgórzami wschodził miesiąc. Pokryte śniegiem menhiry zdały się postaciami wielkoludów, schodzących w uroczystym pochodzie z wyżyny ku morzu... Uchodzą przed białym bogiem... — przemknęło przez głowę królewny. Nie zatrzymując się, przebiegła dziedziniec i uchyliła skrzypiące wrota szopy Ojca Gildasa.

Tu mieszkał stary apostoł Armoryki. Grzał się on teraz przy roznieconem na nalepisku ogniu, — skąpym ogniu, kupce błękitnego żaru i śnieżystego popiołu, bo nie chciał dymem dokuczać współmieszkańcom swoim, ptaszętom. Siedziała ich chmara na belkach, krokwiach, występach ścian, i wprost na klepisku. Gile, sikorki, zięby, trznadle, wróble i moc innego drobiazgu porwały się z piskiem, spłoszone skoro drzwi skrzypnęły.

— Chwała Imieniu Bożemu — rzekł stary ze zdziwieniem. — Czy zachorzał kto we dworze, królewno?

— Chwała — odparła ze czcią. — Nie, nie zachorzał nikt.

Siadła naprzeciw niego, z leciutkim podźwiękiem pereł. Rozbudzone na chwilę ptaki zasnęły znowu. Ponad dogasającym ogniem Orszula spojrzała nieśmiało na Ojca Gildasa. Ze swym długim nosem i dobrotliwą twarzą, osadzoną na chudej szyi, podobny był do starego, łysego dzięcioła. Jak dzięcioł w drzewo, tak on kuł w jej duszę przenikliwym, pytającym wzrokiem.

— Prawcie mi, ojcze, o bożcu Jezu Krystu — szepnęła, zdobywając się na odwagę.

Uśmiechnął się szczerze, radośnie.

— Cóż chcesz, by o Nim ci prawić?

— Prawcie mi dzisiaj, kogo miłuje najbardziej?

Stary zamyślił się chwilę.

— Najbardziej miłuje dzieci i tych, co jako dzieci są, niewinne, bezbronne i białe...

— Tych miłuje... — przywtórzyła zcicha.

— Miłuje wszelkie stworzenie swoje, które ostało piękne i czyste, jako On je stworzył, nie popsowało się... Wodę, ogień, wiatr i ziemię... Zboża i kwiaty wszelakie... I ptaszęta, jako te... I ludzi, którzy dobrymi ostali, serca niewinne i pogodne mając... Dzieci, dziewczęta, młodzianków... Ludzi cichych i zła nie życzących nikomu... I starców odejść w spokoju gotowych, choćby grzeszników, jak ja...

Urwał na chwilę i spojrzał wgórę z ufnością.

— Wszystkie, którym krzywda jest — podjął, — u Niego zachowanie i opiekę mają... I te, któremi świat gardzi... Bezdomne, pokorne jak badyl przydrożny; które uchodzą z gościńca szybko, szybko, by je pędzący poczet rycerstwa nie roztratował jak mrówek, zgoła ich nie dostrzegając... Tych wszystkich bardzo miłuje...

Dorzucił parę małych drewienek do ognia.

— Nie mają u niego takiego zachowania, jako u dawnych bożyców miały, ludzie hałaśliwe, orężne, głośne, wojujące; bo w walce łatwo skrzywdzić niewinnego, On zasię prawi, że barziej Go to mierzi, niż gdyby Jego skrzywdzili...

Królewna przycisnęła ręce do mieniącej się perłami piersi.

— Chciałabym — szepnęła — dziewką niewinną ostać i Jego całe życie miłować...

Ojciec Gildas pokiwał głową pobłażliwie.

— Gadanie! — mruknął. — Toć-że już jest we dworcu przyszły Nothusowy zięć. Rychło już białką ostaniesz. Za morze pojedziesz. Bacz chociaż, byś w onem życiu a kłopotach pacierza, któregom cię wyuczył, nie przepomniała!

Rozpłakała się cicho, lecz rzewnie, że łzy perliste spadały na wiszące na jej piersi perły i po nich spływały, jakgdyby zerwała się nić którego z dwunastu sznurków.

— Nie płacz — pocieszał ją stary, — ojców wola

święta jest... Co twoje zachcenia dziewczyńskie! Teraz płaczesz, a za rok będziesz rada pląsać na weselu.

— Za rok? — spytała radośnie zdziwiona.

— Ano. To ci mogę sprawiedliwie rzec, bo wiem. Nothus z twoim przyrzeczonym na wojnę jadą i wcześniej jak za rok nie wrócą. Miecze ich świerzbią, tedy im pilno we frankońskie winnice zajechać. Wina, prawią, na wesele sto beczek zwieźć...

— Skąd wiecie?

— Kazał-ci mi Nothus król wróżbę sprawić, zali się wyprawa na konunga frankońskiego uda. Ale ja nie wieszczek żaden! Pan mój Jezus Krystus dla siebie przyszłość zachował, wieszczyć nie pozwala. Takem rzekł. Zaś Nothus srodze mię sklął, od darmozjadów wyzywał i do puszczy po druida słał. Przyszedł wnet, wróżbę z jelitów koźlęcych uczynił; wyprawa uda się pono, co daj Boże, Amen — opowiadał stary pogodnie.

— Za rok!... — powtarzała z ulgą królewna. — Co dnia tu przyjdę i będziecie mi o Panu Jezu Krystu gadać.

Posmutniał, dokładając znów drewienek.

— Co ci mam rzec? Prostak ja, nieuczony. Miłuję Go, wiele sił, ale prawić nie potrafię. Co wiem, tom ci już powiedział... Do Rzymu trzaby jechać, by usłyszeć... Hej! Rzym! Tam biskup rzymski, następca Piotrowy, siedzi! Wszystko wie... Aniołowie mu służą i wieści przynoszą. Gdy co nie zna, jak rozsądzić, sam

Pan Jezus Krystus jawi się w nocy u niego: Tak a tak uczynisz, prawi...

— Sam Jezus Krystus? — złożyła ręce w zachwycie.

— Jak ci mówię. Sam w Przenajświętszem Ciele Swojem. Biały jak śnieg, cichy, jasność wkoło Niego... Nie raz, nie dziesięć, widział Go biskup rzymski, któremu Leon na imię. Jegoż się uląkł Attyla, syn Mundzukowy, za Leonem, na oślicy siedzącym, stojącego Go ujrzawszy...

Patrzyła weń zachwyconemi oczami.

— Rzym! Rzym!... — powtarzał stary. — Kościoły tam stoją z kamienia, większe niż wasze kromlechy, a kamień cudnie rzeźbiony, jak belki we dworcu. Od świec jasno jak na polu... Księży, biskupów, diakonów, dziewek Bogu poświęconych tłum, mnogość... Śpiewają pięknie okrutnie... Biskupy zaś o Panu Jezu Krystu nauki prawią, że słuchałbyś dzień i noc... I Drzewo Krzyża świętego tam jest. I kosteczek świętych męczenników mnóstwo. Ej, raz jeszcze to obaczyć swojemi oczami!... Ale niegodnym tej łaski...

— Gdzie jest Rzym?

— Daleko, daleko na południe, gdzie Longobardy i Wizygoty siedzą. Przez frankońskie ziemie trzaby iść... Potem góry srogie... Nielza tam od nas się dostać.

— Żadną miarą?

— Żadną, niżadną, bo i Attyla, Mundzukowy syn,

wprzecz stoi... Chybaby morzem, galerą... Przyjeżdżały tu kupcy, co morzem z Rzymu przybyły. Wzdłuż Frankonji, potem zasię przez wrota skalne na morze inne, ciepłe, modre, ludziom od naszego przyjaźniejsze... Ale to sroga podróż; z pół roku jechaćby trza...

Milczeli chwilę oboje.

— Idźcie już spocząć, królewno — rzekł stary, wstając, — bo późno.

* *
*

Królewicz Ethere, syn Arturowy, położył rękę na głowicy bronzowego miecza i chętnie przysiągł na bogi nowe i dawne, że żądanie przyrzeczonej swojej spełni, choćby pragnęła, by rzucił się konno w morze, lub zawojował pół świata. Zaczem czekał z ciekawością, co też ta drobna, nieśmiała dziewka wymyśli. Podobnież przysiągł król Nothus, jeszcze więcej zadziwiony, bo pierwszy raz słyszał o jakowemś zachceniu Orszuli. Ona zaś stała przed nimi strwożona i stanowcza zarazem, cisnąc oburącz kołaczące w piersi serce, to blednąc, to się rumieniąc, że wyglądała ni to miesiąc, ni to zorza.

— Powiadajże więc, miła moja, czego chcesz? — rzekł wesoło Ethere, biorąc się pod boki.

Otworzyła z wysiłkiem usta.

— Chcę pojechać do Rzymu — szepnęła.

Spojrzeli po sobie, nierozumiejąc.

— Co to jest Rzym? — zapytali równocześnie.

Ściskając mocno dygocące z trwogi kolana, opowiedziała wszystko, co od ojca Gildasa słyszała o Rzymie i drodze doń, błagając kornie pana ojca, by jej zezwolił dziesięć dziewek towarzyszek ze sobą wziąć i galerę przysposobić kazał.

— Na Belenusa i wszystkie bogi! — zakrzyknął król przerażony.

Zaczem obaj jęli ją prosić, by odmieniła żądanie, przekładając, niby dziecku, że niepodobnej rzeczy zapragnęła. Ofiarowywał jej wzamian Ethere sto sztuk chińskiego hatłasu, co mieniący jest jak skrzydło kraski; jeńców do obsługi czarnych, z gorącego dalekiego lądu, z kolczykami kościanemi w nosach; korzec bursztynu, co niemoce leczy, uroki odgania, a w każdej bryłce, słońcem przeświecającej, zaklęta jest muszka maleńka; pałac z kamienia, jako Rzymianie stawiają; koszule białe lniane; instrumenta nieznane muzyczne i inne rzeczy przedziwne. — Lecz ona stała uporczywa i milcząca, niechcąca słyszeć o niczem.

Ethere stuknął mieczem o polepę.

— Nie będzie powiedziane — rzekł gniewnie, — że Ethere, syn Arturowy, złamał słowo, choćby białogłowie dane! Niech jedzie ta dziewka szalona! Zwólcież jej, miły panie teściu...

— Galerę mi jeno dajcie, przewoźników i dziesięć dziewek towarzyszek — szepnęła królewna, drżąc całem ciałem z radości.

— Nie dziesięć ci dam, ale sto, boś królewską córą — odmruknął posępnie Nothus.

Patrzył na nią zły i strapiony. Przywołał królowę Darię, by jej o szaleństwie córki opowiedzieć. Królowa wybuchnęła płaczem i objęła Orszulę rękami. Nazwała ją słońcem swego życia, radością i kwiatem najmilszym. Ciężkie łzy, toczące się po brózdach twarzy, ocierała białym rąbkiem podwiki. Zabrała córkę do swojej komory, tam nad nią głośno zawodząc.

— Nie płaczcie tyla, pani matko — prosiła królewna; — wrócę bezpiecznie jesienią.

— Jakże tam trafisz, dziecino?

— Żeglarze nas powiozą, wiatr skórzane płachty wydmie, ojciec Gildas drogę pokaże, zaś Bóg mój i Pan, Jezus Krystus, uchroni od zguby. Jeśli nie wrócę, znaczyć to będzie, że umiłował mnie jak ja Jego, i za oblubienicę wziął... Nie płacz matko, szczęśliwsza bowiem byłabym w Jego świecie, niźli jako żona Etherego...

Daria płakała coraz to rzewliwiej.

— Dowiem się skoro — mówiła przez łzy, — zaliś już nie z tego świata a twoje drobne kosteczki, które-m w żywocie nosiła, bieleją gdzieś na dnie morza. Bo jeśli zemrzesz, dusza twoja wolą Belenusa przejdzie w żywot inny i powróci ku mnie. Pewno gołąbką się wrócisz, boś gołąbką była, — albo biedronką czerwoną, co wpełznie cicho na okno mojej komory. Poznam cię zawsze odrazu...

— Nie, pani matko moja. Nie Belenus mną rządzi, ale Jezus Krystus, któren nie kazał, by ludzie mozolili się w nowym żywocie. Zabiera ich prosto do siebie. Gdy umrę, tam będę się z Nim weseliła.

— Jakże więc wiedzieć będę, czyli żyjesz?

— Zaczaruję perły, co na szyi noszę, by, skoro umrę, wróciły do ciebie. A gdyby mnie opuścił wielki bożyc Jezus Krystus i opuściła mnie cześć, wrócą ściemniałe i mętne. Lecz jeśli jasne będą jako teraz, pomnijcie, że tak ja błyszczę przy boku Boga mojego.

Więc przez dni, co nastąpiły, stara Erlenda, świadoma najtrudniejszych nawet czarów, warzyła w tyglu perły, mocne odmawiając nad niemi zaklęcia, zaś król Nothus galerę kazał rychtować i złocić, żagle ze skór nowych poszyć, by młódki mogły wyruszyć, gdy tylko minie zła pora.

* * *

(...W tymże samym zaś czasie, o setki mil stamtąd, nad rzeką Cissą, co do Dunaju wpada, Attyla, syn Mundzuka, zebrał w pałacu swym, czterema drewnianemi wieżycami górującym nad stepem szerokim, — synów i hetmanów swoich, by nową wyprawę obwieścić. Szczękając krótkim bronzowym mieczykiem prawił, że mu zbrzydło być panem tylko Gepidów, Markomanów, Kwadów, Ostrogotów, Swewów, Herulów, Rugijów, Chazarów, Wandalów i Wizygotów. Radby

jeszcze Longobardów i zuchwałych Gallów ugiąć, do morza Gallję opływającego dojść, gdzie Hunny jeszcze nie stały...)

* *
*

Stary druid, z puszczy zwiedziony, rzekł prawdę, bo wyprawa na konunga frankońskiego powiodła się wielce szczęśliwie. Sławą i łupami okryci, pędząc przed sobą stada jeńców i pięknego bydła, wrócili Nothus i Ethere do kraju. Słusznie też Nothus pchnął do puszczy dziesięć byków starym wróżom na ofiarę. Mniej w tej sprawie zasłużony bóg ojca Gildasa winien był zadowolić się żółtym krążkiem wosku.

Teraz robiono we dworcu przygotowania do weseliska, z dnia na dzień oczekując powrotu królewny. Król z królewiczem jeździli na łowy, i przy wielkich ogniach rozetlonych na dziedzińcu wędzono góry mięsiwa. Królowa Daria piekła placki i kołacze, raz wraz spoglądając ku morzu. Wychudła i posiwiała, a na ślubną szatę królewny, którą haftowała, łzy gęściej padały niż ściegi... Wiatr jesienny, ostry, gwizdał wkoło węgłów domu. Morze huczało złe i zestroszone, i rybacy bali się odpływać dalej od brzegu.

— Spójrzcie, pani! — zakrzyknęła jednego ranka Erlenda, odsuwając zaworę okienną.

Królowa Daria wyjrzała... Całe błonie wokół zamku, hen po brzegi morza, zasłane było białemi perłami. Pokrywały całą ziemię, lśniły jak miesiąc

w mglistym pobrzasku ranka, drżały świetliście — drogocenne, czyste, wielkie...

...«Pomnijcie, że tak ja błyszczę przy boku Boga mojego...» — szepnęła królowa struchlałemi od żalu wargami.

Wzięły z Erlendą radno szerokie, białe, jako te, w które spowija się zmarłych, i zeszły nadół, aby pełnemi rękami zbierać rozsute perły królewny Orszuli.

SZALEŃCY BOŻY

Młody rycerz, Donato Bongiovanni d'Arezzo, na szelest chrzęstliwy jedwabiu odwrócił z pośpiechem głowę. Przeczucie go nie zawiodło. Czcigodna Ortolana Scifi z rodu Fiumich zasiadała w stallach, kładąc przed sobą na pulpicie wielki, ciężki modlitewnik. Trzy jej córki szły ku ołtarzowi, niosąc do święcenia palmy. Ta, której czekał, szła pierwsza. Donato zapatrzył się w nagłem olśnieniu na widok wiecznie świeżego cudu jej urody. Jakgdyby widząc pierwszy lub ostatni raz, chłonął ją oczami, od brzegu złotolitej sukni, wzdłuż smukłej kibici, aż ku głowie, co wykwitała z ramion niby kwiat. Złożywszy na ołtarzu palmę, wracała do stalli, zwrócona twarzą ku niemu. Jak zwykle, miała dumnie podniesioną głowę a spuszczone skromnie oczy. Długie rzęsy rzucały cienie na policzki. Drobne usta, dziecinne a zarazem dostojne, zamykała pieczęć skupionego zamyślenia. Uklękła przy siostrach pobożnie. Urzeczony wzrok rycerza przywarł do jej rąk, splecionych przy twarzy. Jest-że w kościele druga, równie uwielbienia i zachwytu godna, porównaną być bodaj mogąca? Jest-że druga w całym świecie?...

Niema — ale cóż mu z tego? Żal gryzący, gorzki, przypomniał wnet myślom beznadziejne szaleństwo miłości. Nie otrzyma nigdy ręki pięknej Klary Scifi, — obiecał ją zdawna ojciec Petrowi Mazancolli, i zręko-winy pono rychło odprawione być mają... Cóż stąd, że ją umiłował jak Tristan Isoldę, cóż stąd, że nie było dlań poza nią życia ni radości? Favorino Scifi, pan na Sasso Rosso, cenił jego ród, waleczne czyny, i rad w domu swoim widział, ale postanowienia nie zmieniał. — «Klara przyrzeczona — mawiał; — toć bierz Beatryczę, jeśli nie wolisz czekać na Agnieszkę. Dziewczyna rychło lat dojdzie, a gładsza bodaj od star-szych»... — Ale uparty Donato miłował tylko Klarę, pragnął tylko Klary, i teraz, miotany żalem i zazdro-ścią, spoglądał to na nią, to na stojącego nieopodal wśród rycerzy szczęśliwego Petra Mazancolli. Uro-dziwy był, barczysty, i wszystkiemu rad. Chwilami rzucał na przyrzeczoną wzrok spokojnego posiadacza. Cieszyło go przyszłe małżeństwo. Taka żona ozdobą być może nawet książęcego dworu... Gdy czasu tur-nieju zasiędzie w babieńcu, zaćmi urodą wszystko dookoła.

— Ale ona go nie miłuje... nie miłuje — powta-rzał sobie Donato z niejaką cierpką pociechą. — Nie miłuje równie Petra Mazancolli, jak i jego, Donata. Nie miłuje nikogo. Zapewne jest zbyt dumna, by miłować kogokolwiek. Podda się woli ojcowej, lecz pozostanie wyniosła i obca, jak jest. Milczące jej usta

nie rozchylą się dla słów tkliwych, cichych, od których dusza topnieje a serce czyni się drżące jak złowiony ptak... Nie będzie go miłowała...

Oderwał z trudem oczy od zamyślonej twarzy, bo ludzie wstawali z miejsc by z rąk celebranta — którym był sam biskup Gwido — odebrać święcone już palmy. Kościół zakwitł, jak wiosną, gałęziami palm, oliwek, wierzby i bukszpanu... Ona jedna nie powstała. W zadumie głębokiej, oderwana od spraw świata, nie widziała, nie zauważyła... Sędziwy biskup spojrzał ze zdziwieniem na pozostawioną na ołtarzu wieź zieleni, tkwiącą w złocistem ujęciu, szytem w herby panów na Sasso Rosso, i przeniósł wzrok na dziewczynę. Uśmiechnął się dobrotliwie, podając jej zapomnianą własność. Spłonęła nagłym rumieńcem. Petro Mazancolli przybliżał się, podając przyrzeczonej swojej wodę święconą na palcach, bo już wychodzono z kościoła. Przyjęła ją, nie patrząc na niego, przesunęła się koło Donata — nie patrząc również. Gdy wyszła z pod cieniu portyku na światło, złocista jej suknia roztęczyła się w słońcu, zalśniła, zmieniła ją całą w jeden punkt słoneczny, jasny, migotliwy.

Donato zatrzymał go pod powiekami i poszedł, nie wiedząc dobrze, dokąd idzie. To było jego życie obecnie, życie niegodne rycerza krzyżowca! W głowie i sercu obraz pięknej dziewki, w dłoniach próżniacza omdlałość, kroki bezwolne, bezpańskie. Dzień wydłużał się w rozpacznej jałowości nudy. Każdy dzień

wydłużać się będzie podobnie, dopóki nie potrafi zgarnąć struchlałych sił i wyrwać się stąd... Oddać się na usługi jednego księcia, przeciw drugiemu! Któremu? — mniejsza! Byle iść! Lecz kiedy to zdoła uczynić?

Gdy zmrok zapadł, kąsająca jak zły pies tęsknota pędziła go z kąta w kąt bez odpoczynku, dopóki po długiem kluczeniu i wykrętnych manowcach nie wyszedł przez wrota miejskie, zwane Bramą Starą, pod obronny zamek Scifich, gdzie snuł się wokoło murów tam i sam, niby włóczęga. Srogie boje z poganami, uciążliwe pochody pustynne, wydały mu się — wspomniane — igraszką, wobec tych zapasów z samym sobą. Noc zeszła na świat, pogasły światła w grodzie, a on tkwił jeszcze pod murem, wzywając ją myślą. Szukał w pamięci słów godnych, by ją niemi nazwać w szepcie modlitewnym, lecz nic piękniejszego niźli jej własne imię nie wynalazł: Klara — Jasna... Jakąż przedziwną domyślnością wiedzeni byli rodzice, dając niemowlęciu to imię właśnie, nie inne... O Klaro! Jasności duszy!...

Ocknął się z zamyśleń, posłyszawszy poza murem stukot mozolnie odsuwanej belki. Ledwo widoczna, kryła się w murze w tem miejscu mała, zardzewiała furta, do wycieczek czasu oblężenia używana. Odsuwano belki, któremi założona była, jak zwykle, od wewnątrz. Donato cofnął się w cień drzew, czekając. Jasnem było, że wartownik dojrzał jego uparte krążenie, i chciał nieznajomego włóczęgę pochwycić. Teraz szczękały od lat wielu nieotwierane wrzeciądze; przez

uchyloną furtę wyjrzała głowa w wielkim czarnym czepcu. Cofnął się śpiesznie w cień głębszy, poznawszy damę Bonę Guelfucci, duegnę Klary. Jejmość niemłoda i przysadzista wysunęła się ostrożnie z furty i stała chwilę nieruchomo, rozglądając się wokoło. Cofnęła się, snadź uspokojona, ale nie zamknęła furty. — Chrzęstliwy szelest jedwabiu i... serce zamarło w piersi rycerza, bo oto z wąskiego obramienia wyszła — Klara. Donato pomyślał, że tęsknota jego wywołała widziadło, podobne tym, jakie w Ziemi Świętej wzrok utrudzonych wojowników mamią. Przymknął oczy i otworzył znowu: Zjawa nie była snem. Klara Scifi stała o kilkanaście kroków od niego w pełnym blasku miesiąca. Suknia, ta sama, którą miała w kościele, lśniła jak drogocenny, zatrzymany w biegu strumień. Z głowy zrzuciła białą podwikę, i złote jej włosy błyszczały zdala jak srebrne... Obłąkana szczęściem myśl, że Klara zeszła do niego, błysnęła w duszy Donata, i zgasła. — Nie wiedziała o nim. Nie sądziła, by ją ktokolwiek podglądał. Stała z podniesioną głową, nie spuszczając oczu jaśniejących wyrazem natężonego zachwytu. Wyniosłe usta rozchylały się radośnie.

Bona Guelfucci zamknęła z trudem furtę i obie zaczęły schodzić w dolinę. Donato oderwał się od pnia i szedł za niemi niepostrzeżony. Piersi rozsadzał mu szloch i zły śmiech zarazem. Trząsł nim w furji bezlitośnego szyderstwa: oto — Klara! Jasna, — Dumna!... Dokąd idzie?... Do kochanka! Dość przecie spojrzeć

w jej twarz!... Uśmiech bolesnej rozkoszy na wargach płonące oczy... Śpieszy się... ach, jakże się śpieszy, prawie że zbiega ze wzgórza!... Nurza się w chłodnej mgle doliny, pokrywającej winnice. Płyną nad mgłą barki jej i jasna głowa. Do kogo?... Do kogo?!...

— Śpiesz się! śpiesz! Kogokolwiek pragniesz widzieć, ujrzysz go ostatni raz. — Zmacał puginał przy boku.

Zeszli z winnic w pola oliwne cieniste, i biegł teraz prawie równolegle z niemi. Bona Guelfucci z trudem zdążała za Klarą, sapiąc i potykając się. Donato po ruchach ramion jej i głowy wnosił, że płakała cichym, urywanym szlochem. — On nie płakał. Oczy miał suche, zapiekłe nienawiścią gardło, skulone drapieżnie ręce. ...Tego, do którego szła, jakże musiała miłować! Lotne jej nogi niosły ją ponad kamienistą ścieżynę, jak skrzydła. Zebrał się w sobie, by nie zastąpić jej drogi i nie krzyknąć: stój!... Musi wytrzymać, zobaczyć... Tamtego wpierw... Dłoń ścisnęła znów puginał niby rękę jedynego przyjaciela, brata.

Teraz z ogrodów oliwnych weszli pod sklepienie lasu, w głuchą, ciemną tajnię gąszczu. Wysilał wzrok, aby nie stracić jej z oczu. Chwilami przez kopułę drzew padało światło miesiąca, i piękna jej suknia lśniła wówczas jak kryształowy wodospad. — Szli długo, aż poprzez drzewa zamajaczyła jasna, odkryta polana. Na polanie stała niezmiernie stara kaplica, pono przed pięciu wiekami za czasów papieża Libe-

rjusza stawiana, pod wezwaniem Matki Boskiej Anielskiej będąca. O parę kroków od kaplicy wznosił się szałas, sklecony z gałęzi przysypanych liśćmi i ziemią. Przed szałasem stał młody mężczyzna z odkrytą głową, w ciemnem, prostackiem odzieniu. Do tego człowieka śpieszyła, wymknąwszy się nocą z ojcowskiego kastelu, urodzona Klara Scifi...

— Żebrak! Syn Bernardona!... Do niego?!...

Donato zachłysnął się zdumieniem. Widział tego szaleńca onegdaj. Szedł ulicą grodu, śpiewając pod nosem, a dzieciaki ciskały za nim błotem i krowieńcem. «Dobrze, dobrze robicie, bo niema na świecie większego łotra niż ja» — mówił, i śpiewał dalej.

— Do niego?!...

Stał przed szałasem, czekając. Miesiąc oświecał wyraziście jego młodą głowę, smukłą szyję, wychylającą się z niezgrabnych, grubych fałd odzieży. Twarz miał radosną, weselną, i promienne oczy.

Ona szła ku niemu, przycisnąwszy obie dłonie do serca. Szła wolno, podobna w świetle czarodziejskiemu zjawisku, z promieni utworzonemu. Donato zasłonił sobie twarz z cichym skowytem rozpaczy. Poco czekać dłużej? Dość już widział... Czekał jednak, ukryty za drzewem, i patrzył. — Nie ujdą mu przecież, ani go ręka nie zawiedzie... — Rozległ się płacz: Klara żegnała duegnę. Przysadzista jejmość zawróciła z łkaniem i zniknęła w lesie. Oni poszli ku kaplicy, której

drzwi się przed nimi otwarły. Oświetlona była jasno, ubrana kwieciem i zielem. Brat Sylwester, Brat Leon, Brat Juniper i Brat Rufin czekali na idących w progu.

Teraz Donato wyszedł z poza drzewa i ruszył śmiało naprzód. Lecz oni nie myśleli drzwi zawierać. Nie spostrzegali jego obecności, szelest kroków biorąc widno za kroki zwierza leśnego, zwabionego światłem. Nie odwrócił żaden głowy, by spojrzeć uważnie w ciemność. I Donato, zawiedziony miłośnik Klary Scifi, stał parę kroków zaledwie od niej, okryty płaszczem cienia i nienawiści zarazem. Czekał... Czekał w męce. W szumie napełniającym oszalałą głowę nie słyszał co mówił Francesco, syn Bernardona, do Klary, ani co mu odpowiadała ona. Co po słowach? Mniejsza o nie. Bezmierna szczęśliwość, miłość wzajemna, wielka, doskonała, biła z ich oczu, drgała na ustach, gdy Klara składała ślubowanie. — Naraz wstała, szybkim ruchem zrzuciła kosztowną suknię z genueńskiej lamy i naciągnęła szorstką brunatną opończę, którą jej podał Brat Rufin.

— Zrobimy piękne antepedjum z twojej ślubnej sukni, Klaro — rzekł Francesco, a ona skinęła głową z uśmiechem.

Wyjęła z uszu długie zausznice, zdjęła z palców pierścienie, manele z przegubu rąk, kosztowny kanak z szyi, i pas kamieniami drogiemi sadzony; złożyła je w ręce Brata Leona, by posąg Matki Bożej ozdobił, i opasała się sznurem konopnym. Teraz podniosła

ręce, wysuwające się z ciężkich rękawów opończy jak dwa białe kwiaty, rozplotła kosy i strząsnęła. Sypki, promienny płaszcz oblał jej plecy; odrzuciła wtył głowę, czekając. Francesco, Szaleniec Boży, podszedł. W ręku miał długie nożyce. Czekała cierpliwie, gdy tępe ostrze ślizgało się w niewprawnem ręku po giętkich promieniach włosów. Powoli osuwały się z płynnym szelestem, zostawiając złote nici na szorstkiem suknie ubrania. Już osunęły się wszystkie. Obwiązała ciasno skronie prostą, czarną chustą... Francesco podjął snop włosów.

— Jakże są piękne i miękkie — rzekł, — lśnią się jak złoto i jedwab. Złożymy je na ołtarzu... Będzie to najpiękniejszy twój podarek, Klaro...

Uśmiechnęła się do niego radośnie.

— Zapalcie, bracia moi, pochodnie. Odprowadzimy Pannom Benedyktynkom w Isola Romanesca najmilszą siostrę naszą...

Donato stał bez ruchu, wypuściwszy oddawna puginał. Nie drgnął, gdy wyszli śpiewając, — nie odwrócił głowy, kiedy ginęli w oddali...

Świt zbudził go z odrętwienia. Na posadzce pustej kaplicy błyszczały gdzie niegdzie długie, jasne nici. Rosa ranna osiadała na nich jak rząd pereł. Wsunął się na klęczkach, aby pozbierać ostrożnie złote włosy Siostry Klary.

LEGENDA
O ŚW. HIERONIMIE

PROPERTY OF KONARSKI SOCIETY
ST. BONAVENTURE SEMINARY

Nadchodziła pora łowów wieczornych, i stary samotnik, wielki lew o ciemnej grzywie, wyszedł nad wysoki brzeg wyschniętej rzeki, co przed wiekami płynęła tu u stóp Hedżasu. Zachodzące słońce malowało krwią pustynię, aż zapłonęły różowo odległe, ginące w chmurach szczyty Makli i Dibbagu. Samotnik przeciągnął się leniwo, i znieruchomiał naraz w zadziwieniu. Przerwane ziewnięcie odsłoniło gorącą czeluść paszczy i połysk zębów straszliwych.

Na przeciwległym brzegu pustego «w a d i» (rzeki), na wzgórzu, ujrzał kształt nowy, postać nieznajomą, nigdy dotychczas na pustyni nie widzianą. Choć nieruchoma, nie była ani skałą, ani krzewem, — nie była także zwierzęciem. Skąd przyszła? czem była?... Cichym, sprężystym krokiem lew-samotnik przeszedł kamienne koryto rzeki i, przystając za głazami, zbliżył się do wzgórza. Postać trwała nieruchomo, brunatna i wąska jak opalony pień drzewa, dziwnie drobna i maleńka w kamienistem bezdrożu pustyni. Wiatr tchnął żarem nad skałami; lew podniósł nozdrza i roztworzył je na wiew. Gniew zmarszczył skórę na wy-

pukłem czole, bo wiatr przyniósł woń człowieka. Samotnik przypadł za skałą, opierając brodę w piasku, gdy potężne lędźwie drżały jak do skoku, a brwi zbiegły się w jedno nad płonącemi ślepiami. To był człowiek!... Sprężysta kita ogona wiła się w piasku jak wąż. Nigdy dotąd stwór człowieczy nie dotarł do tej kotliny, wolnej dziedziny lwa i sępa, nie skalał jej swoją obecnością przebiegły drapieżnik, pozbawiony potężnych kłów i pazurów, lecz chytrze walczący ze stworzeniami bronią innych, przyjaznych im stworzeń. Łagodny, płochliwy koń udzielał szybkości jego pogoni, — przyjacielskie błogie drzewa, stworzeniu przyjazne, zmuszał, by jako włócznie albo strzały godziły w żywot zwierzęcy. Zasłaniał się wałem z cierni przed sprawiedliwym gniewem ludu puszczy. Gdy z rykiem bólu i złości lew wyrywał z rany strzałę, widział na końcu jej pióra. Poznawał kształt ich i zapach. Były to pióra sępie, a ród sępów nie był nigdy wrogiem rodu lwów. Oto jak przebiegłość ludzka kazała lotkom sępim nieść śmierć w biodro lwa! Wszystko, czem człowiek chełpił się, groził, uderzał, wszystko, czem stawał się strasznym, było cudze, wydarte podstępem, zapożyczone od innych. Sam przez się czemże był? Najnędzniejszem ze stworzeń, bardziej bezsilnem i niedołężnem niż szakal.

Przyczajony za skałami lew wpatrywał się badawczo w widniejącego na wzgórzu człowieka; pierwszy raz mógł dokładnie przyjrzeć się podstępnemu

wrogowi. Wróg ów klęczał z głową wzniesioną ku niebu, a zachodzące słońce kładło smugę różowego światła na jego głowie łysej, wypolerowanej jak kość. Dokoła tej połyskliwej wypuklizny rzadkie kępki siwych włosów otaczały się glorją słoneczną, barwnem obrzeżem tęczowem. Z luźnych rękawów odzieży wysuwały się ręce stare, o pomarszczonej skórze, pozbawione mięśni i giętkości. Lew pogardliwie zmrużył żółte ślepia i patrzył dalej. Wróg był bezbronny. Nie leżała przy nim włócznia, ani łuk; odzież, zwisająca z chudego grzbietu jak worek, nie kryła w sobie zasadzki. Co uczyni, gdzie ucieknie, zobaczywszy pana puszczy?

Lew-samotnik nienawidził ludzi od chwili, gdy z dawnej, sprzyjającej łowom okolicy uszedł przed obławą, strwożony jazgotem dzwonków, wyciem trąb i wrzaskami. Uszedł z godnością, podobnie jak się uchodzi bez hańby przed kolumną białych mrówek. Przeniósł swe leże w głąb pustynną, nieznającą ludzkiej stopy. A oto wróg-człowiek przyszedł za nim!

Zapragnął spojrzeć mu w oczy, nasycić się lękiem zaskoczonego, usłyszeć skrzek przerażenia. Obszedł wzgórze miękkim, bezszelestnym krokiem i wysunął się znagła z pośród złomów skalnych. Wzniósł groźnie wielki, ugrzywiony łeb, wpierając ślepia w twarz wroga. Wtedy człowiek klęczący zwrócił wzrok ku niemu. Oczy jego błękitniały w suchej, pomarszczonej twarzy jak pogodne niebo. Wyglądały one oczy niby

dwa bliźniacze kwiatki, porzucone na kamiennym stepie. Nie ruszył się z miejsca, patrząc niebieskością źrenic w straszliwego zwierza. Uśmiech roztworzył zwiędłe, wąskie wargi, gdy ciało zachowało poprzednią nieruchliwość.

Więc chyba nie był to człowiek, choć wiatr przynosił odeń zapach ludzki! Nie nacierał z bronią, ani nie uciekał?... Nie ruszał się, nie wydawał głosu... Lew zadziwiony odszedł, człowiek zaś pozostał. Miał na tem wzgórzu pozostać na stałe, sypiając w wydrążeniu skalnem, żyjąc szarańczą oraz daktylami, które wraz z wodą w tykwie przynosił sobie raz na trzy dni z pobliskiej oazy. Odtąd w kotlinie kamiennej, nad poszarpanem korytem wyschłej dawno rzeki, żyli dwaj samotnicy: człowiek i lew. Nikt więcej. Czasami, rzadko, zaglądały do nich sępy. Szakale zawodziły za skałami, ogryzając resztki zdobyczy, upolowanej i zostawionej przez lwa. Nad skałami, nad legowiskiem lwa, nad łysą głową starego człowieka, wisiało przepaściste niebo, nabite gęsto złotemi głowicami gwiazd lub rozżarzone słońcem do białości. Przechodziły pory suche, pory dżdżyste, przelatywały z szumem i poświstem wichry...

Co czynił samotnik-człowiek? Jakie były jego łowy? Na jaką czekał zwierzynę? Czujna przytomność nieustannej jego obecności dla kogo kryła zasadzkę? Na co czatował? — Ciekawość żarła samotnika-lwa.

Z krótkim, urywanym rykiem krążył wkoło wzgó-

rza, a ryk ten był podobny do grzmotu w czas burzy. Ze skał odpowiadało groźnie echo, lecz stary człowiek spał spokojnie w swoim wnęku skalnym, bezbronny, wydany na łup. Cóż łatwiejszego, jak, dniem czy nocą, jawnie czy skrycie, powalić go jednym rzutem, roztrząsnąć zeschłe kości w podartym worku odzienia, ze słabego gardła wygryźć dech życia? Zbyt łatwe i nie nęcące. Ciekawości to nie zaspokoi... Ciekawość lwa rosła. Kulejąc — bo cierń akacji, wbity w łapę, przeszkadzał mu w chodzie, — wspinał się śmiało na wzgórze, spoglądając prosto w twarz towarzysza-samotnika. Starzec obracał wówczas ku niemu modre oczy i uśmiechał się łagodnie.

Nieodparta chęć obwąchania zbliska dziwnego człowieka ogarniała zwierza. Przystając za każdym krokiem, podszedł jak najbliżej, a wtedy starzec wyciągnął dłoń, która nie drżała, i położył ją na grzywie odwiedzającego. Przesunął po niej z pieszczotą. Spojrzał w rozwartą gorącość paszczęki i pokiwał dobrotliwie głową: «Dobre zęby dał ci Pan Bóg, przyjacielu...»

Wzrok jego z upodobaniem przesuwał się po kształtach zwierza, dziwiąc się jego krasie wspaniałej i mocy. W bacznem spojrzeniu dostrzegł obolałość nogi, uniesionej zlekka wgórę.

— Cierń pewno wlazł ci do nogi... Patrz, takiś wielki, a ciernia nie umiesz wyciągnąć... Ot, co jest siła!... Pokaż-no tę łapę.

Schylił się i, przysiadłszy na ziemi, odwrócił łapę

podeszwą nazewnątrz. Lśniły w niej pazury stalowe, potężne, zdolne jednem uderzeniem rozerwać grzbiet wołu. Pochylonego owiewał oddech gorący, a kolczasty ozór dotykał rzadkich kłaków siwej brody. Nie zważając na to, wyciągnął ostrożnie cierń długi i ostry i podniósł z uśmiechem wgórę.

— Nie będzie ci już dokuczał!

A lew położył się przy nim, garnąc pod siebie nogi, niby kot domowy. Starzec przysiadł obok, gładząc dłonią bok zwierzęcia.

— Jakiż jesteś piękny, jaki mocny, przyjacielu lwie... Któż cię uczynił tak giętkim, tak rosłym?... Zali wiesz o tem?... Bóg cię uczynił, — Bóg, który stworzył cały ten świat... Każde zwierzę zaopatrzył ponad miarę i zasługę, nawet cuchnącą hienę, — nawet szakala, wiecznego tchórza, — żadne jednak nie jest obdarzone tak hojnie, jak ty... Z jaką lubością obmyślał twój potężny kształt! Postawił cię królem zwierząt... Masz-że za to wszystko wdzięczność? Miłować Go powinieneś...

Szeptał do siebie raczej niż do zwierza, który przymykał ślepia, poddając głowę pieszczocie. Czar nieznany, czar słodki ludzkiego głosu serdecznego działał... I tak widnieli obaj zdaleka na wzgórzu, brunatność swoją i płowość roztapiając w blaskach słońca.

* *
*

Niemało czasu minęło od tej chwili aż do dnia, w którym Ojciec Hieronim (bo tak się zwał samotnik-człowiek ze wzgórza) odchodził z pustyni, odwykłą od długiego chodu stopą. Kolana, zesztywniałe w długim nawyku klęczenia, gięły się pod ciężarem kościstego ciała. Zrudziała opończa zwieszała się w strzępach. Szedł przecież raźno, niebacząc na ostrość kamieni i obojętny na żar słońca. Na widnokręgu, w rozdrganych tęczach powietrza, nieznane duchy rozwieszały widma cienistych gajów, tak rzeczywistych i bliskich napozór, że, zda się, w godzinę niespełna dobiec do nich można. A gdy wiatr powiał, ginęły, ukazując za swem oszukańczem pięknem spaloną szarość kamiennej pustyni bez końca. Czciciele gwiazd zwykli byli mawiać, że to gród Iremu, z kraju Hadramant, który za sprawą bogów stał się niewidzialnym; czasem jeno ukazuje się oczom pielgrzymim na chwilę. Pustelnik myślał, że w podobnym kształcie ukaże się oczom zbawionych Jeruzalem niebieskie, Gród Boży, i uśmiechał się cudnym majakom, śpiewając zcicha ulubiony psalm: «...Wezmę sobie skrzydła zorzy rannej...» Śpiewał zaś, by zagłuszyć w sobie żal serdeczny za porzuconą pustelnią.

Z dobrawoli wracał w rojowisko ludzkie, w gadatliwą krzątaninę ziemskich zabiegów i spraw, przynaglony do powrotu siłą proroczego snu. Nawiedził go ów sen onegdajszej nocy, gdy spał błogo w twardem łożu skalnej rozpadliny. Ukazał mu zakonników

z położonego na wschodnim krańcu pustyni klasztoru, rozprószonych i bezradnych niby owce bez pasterza. Widział ich w rozdwojeniu po nagłej śmierci przeora, nie mogących zgodzić się na wybór drugiego. Aż oto umyślili odnaleźć jego, Hieronima ze Strydonu, i prosić, by ład u nich zaprowadził i ustanowił zwierzchnika. Starej głowie, spoczywającej na chłodnem wezgłowiu skalnem, ukazał ich sen-jasnowidz, sfrasowanych, krążących po zgiełkliwych ulicach miasta Damaszku, dopytujących się wszędzie o głośnego z nauki i wymowy męża. Ukazał ich, siadających w wielkie, czterorzędowe statki, płynących Eufratem wdół, ku grodom nadmorskim, w nieustannem poszukiwaniu. Niech szukają, — uśmiechnął się niby dziecko, wspomniawszy jak to niegdyś, po śmierci Liberjusza papieża, uciekł z Rzymu w hańbiącem przebraniu niewiasty, byle uniknąć narzuconej mu przemocą godności Biskupa rzymskiego. I tym razem nie odnajdą go tutaj, w sercu pustyni!

Lecz barwna płyta snu drgnęła pod roześmianemi wspomnieniem oczami, ukazując wnętrze klasztoru, porzuconego przez szukających go zakonnych braci. Panował tam brud i nieład. Pozostali waśnili się pomiędzy sobą. A w pustej kaplicy opuszczony Chrystus Pan wisiał bolesny, samotny. Gdy użalał się pustelnik nad opuszczeniem Boskiego Majestatu, podniósł Chrystus Pan oczy i popatrzył nań. Pod tem spojrzeniem, gdy tylko świt nadszedł, starzec wstał, i przy-

wiązawszy tykwę łykiem do pasa, poszedł na wschód, ufając, iż doprowadzi go Pan tam, gdzie obecność jego jest potrzebna.

I szedł szereg dni, układając się do snu w miejscu, gdzie go noc zaskoczyła, ruszając dalej o świcie. Szedł przez kamienne rumowiska, złożone z płyt wielkich, spękanych na tysiączne części, wyglądających jakoby zruszony bruk miejski. Ostre kanty brył kaleczyły stopy. Zrzadka spotykał oazy, obok kępę palm daktylowych, mannodajną tamaryndę i wiklinę zwaną «negil». Zrobiwszy zapas daktyli, dążył niestrudzenie naprzód. Gdy nocą słyszał ryk lwów, krążących w pobliżu wspominał z żalem towarzysza-samotnika, pozostałego na szczęśliwem wzgórzu. W serdecznem uczuciu przyjaźni dla przyjaciela-zwierza otulał ciepłem dumaniem cały świat zwierzęcy. Myśl jego rącza, skrzydlata, z górnych rozmyślań o Istocie Przedwiecznego schodziła snadno na ziemię roztrząsać zagadkę maluczkiej braci człowieka i użalić się jej krzywdzie.

Jakże nielitościwi są ludzie dla zwierząt! Z jak pogardliwą wyższością narzucają im swą przemoc! Uśmiechnął się starzec żałośnie, wspomniawszy, że dla niewolników, dusz nieśmiertelnych, męką Chrystusową równo z innymi odkupionych, świat sroższy jeszcze jest, niżli dla zwierząt. Pókiż tego będzie? Czy długo pozwalać będzie na to Pan? Wytężył oczy w głąb czasu i ujrzał z pociechą, że przyjdzie dzień, w którym niewolnictwo zginie. Poznają ludzie ohydę

targów na człowieka. Czy dzień podobny nadejdzie dla zwierząt? Nie umiał go dojrzeć w oddali... Przed zasmucone oczy ciągnęły sznurem obrazy: oto stromą ścieżką wspina się cierpliwie bezpłodny, smutny muł, uginający się pod zbyt ciężkiemi jukami. Na oku wyciekłem czerni się rój much, niby żywy plaster. Poganiacz w szarej płachcie okłada dyszące boki kijem, w który wprawił ćwiek, by uderzenie było boleśniejsze. A oto wół-oracz, ciągniony przez rzeźnickich pachołków do bójni. Jaskrawo czerwone opończe cuchną krwią, silne włochate ramiona są bezlitosne i lepkie. Ciągną, bijąc. Czuje wół krew, i wie, gdzie go wiodą. Czerwone opończe to śmierć. Przeżyje swój zgon sto razy, nim padnie nareszcie pod razami pałek. Łagodne oczy, obłąkane z trwogi, zachodzą łzami rozpaczy. Z gardzieli rwie się ryk krótki, bolesny jak szloch. Nie wzruszy nikogo, boć to zwierzę... Zwierzę! Cóż z tego? Prawda, nie odkupił ich Swą śmiercią, nie uświęcił Swoją Krwią Zbawiciel, ale stworzone zostały przez Boga. Były w raju. Dzieliły straconą szczęśliwość człowieka. Bóg oddał je człowiekowi w opiekę i służbę, lecz nie w poniewierkę. Czy nie zażąda w dniu ostatecznym rachunku z każdej nieużytecznej męki i krzywdy zwierzęcej?

. . . . . .

I podnosząc ku niebu oczy, które w starej twarzy wyglądały jak dwa modre kwiatki porzucone na brunatnej zgorzeli ugoru, modlił się Ojciec Hieronim,

by odmienił Pan Bóg serca ludzkie, iżby dobremi stały się dla ludzi i zwierząt. Niech nie męczą bez potrzeby! Niechaj ocenią zasługę. Niech uznają i wywyższą zwierzęcą wierność, uczciwość, odwagę. Niech uszanują w najmniejszem stworzeniu dostojność myśli Bożej i Wszechmocnej woli...

* *
*

A po wielu dniach podróży strudzony wędrowiec dojrzał z pagórka zabudowania klasztorne. Leżały one na krańcu pustyni, jedną stroną poglądając w jej niezmierzoną jałowość. Klasztor stanowiło kilka niskich domków, z grubych pni palmowych skleconych, wapnem pobielonych. W pośrodku górowała wysokim dachem kaplica. Zabudowania otaczała tęga palisada na półtora człowieka wysoka, z mocnych pali, ostro zakończonych, zbita. Ciężka furta była zawarta od wewnątrz, i pustelnik, stanąwszy pod nią, kołatał długo, zanim przez małe okienko wyjrzała opryskliwa twarz brata furtjana.

— Jestem ten, którego szukacie, Hieronim ze Strydony, syn Euzebjusza — rzekł do niego starzec.

Okienko zatrzasło się szybko, zaklekotały po piasku sandały. Brat furtjan pobiegł snadź z tą wiadomością. Pustelnik czekał. Nareszcie otwarła się furta; grono braci stało na dziedzińcu w zdumieniu wielkiem, patrząc na przybysza.

— Witajcie w Panu! — rzekł do nich.

— Pan z tobą! — odparli.

Niepokój wyzierał z ich oczu. Stojący przed nimi żebrak miałżeby być Hieronimem, filarem Kościoła, doradcą papieża, wykwintnym wielbicielem Cycerona, powagą, zatwierdzającą kanony śpiewów kościelnych? Nie w tej postaci spodziewali się go ujrzeć!

— Tak, to ja — odparł, zgadując ich ukryte myśli. — Wysłańcy wasi szukają mnie pośród miast, ja zaś byłem na pustyni. Tam powiadomił mnie Pan, że jest na jej krańcu klasztor, w którym zakonnicy, rozprószeni jako stado bez pasterza, poniechali służby Bożej.

Milczeli zmieszani, on zaś mówił znowu, wodząc oczami dokoła:

— Jakoby w więzieniu mieszkacie za takowym grodem...

— Konieczna to rzecz, bo okolica srodze dzika i pustynna — odrzekł śpiesznie brat Symforjan, rad z odwrócenia rozmowy; — zdarza się nawet, że lwy podchodzą w pobliże! Strasznie wspomnieć one noce pełne trwogi, gdy zagrodzenie jeszcze nie było gotowe i cisnęliśmy się w lęku przy ogniach, hamując struchlałe serca...

— Zali taki groźny lew?...

— O, Wasza Wielebność! Dość raz usłyszeć ryki onych bestyj, krążących jako demony wkoło ludzkich siedzib! Toć-że już Pismo Święte szatana do lwa ryczącego porównuje, skąd jasno wynika, że lew i zły

duch — to jakby jedno. Potworne to smoki, na zgubę rodu ludzkiego zażarte! Nawet za tem zagrodzeniem, wielkim wysiłkiem wszystkich braci wzniesionem, nie byłoby dość bezpiecznie, jeno z pomocą Bożą udało się nam jednego schwytać w nakryty gałęziami dół i tam włóczniami zadźgać... Odtąd przestały podchodzić...

— Jezu Nazareński! — wrzasnął naraz brat Paschalis i z przeraźliwym skowytem porwał się biec w stronę domu. Zawtórowali mu inni.

Hieronim drgnął, zadziwiony. Wśród ogłuszających krzyków nie rozumiał, co się stało. Bracia pierzchali, krzycząc niby opętani. Jeszcze chwilę klaskały chyże sandały o piasek — i pozostał na dziedzińcu sam. Zgrzytały zawierane śpiesznie drzwi domostwa, zaś w pozostawionej otworem furcie ukazał się łeb grzywiasty. Z godnością władcy, schodzącego w niegodne jego majestatu miejsce, wszedł na dziedziniec drugi samotnik ze wzgórza. W zamkniętej ciasno przestrzeni wydawał się jeszcze większym. Podszedł do starca i kudłatą głowę wsparł o jego dłoń.

— Co tu robisz? — zagadnął żółtem, mądrem ślepiem. — Chodź, powrócimy na wzgórze.

Za zawartemi wrotami domu panował hałas i zgiełk. Ściągano ciężkie przedmioty pod drzwi. W chwilę potem zaszeleściało poszycie dachu i uniosło się w jednem miejscu, ukazując głowy brata Symforjana, bladego z przestrachu, i brata Paschalisa, czerwonego z nagłej trwogi.

— Żyw, żyw jeszcze! — krzyknęli obaj radośnie. — Ojcze Przewielebny, odstąpcie na Boga! Będziemy godzić włóczniami w tę zuchwałą bestję!...

— Nie włócznią! kuszą! Puść mnie, bracie Paschalisie! — wołał zduszonym głosem z pod poszycia brat Nicefor, znany z biegłości łowieckiej.

— Niechajcie broni! nie wróg to, ale przyjaciel! — wołał ku nim Ojciec Hieronim z dziedzińca. A lew lizał jego rękę ogromnym, szorstkim ozorem.

Lecz oni nie słyszeli słów starca, szamocąc się w ciemnym otworze i przepychając łokciami. Każdy z nich pragnął dostąpić rozkoszy zatopienia ostrza włóczni w cielsku wroga. Oczy im płonęły radością bliskiego tryumfu, upajała myśl o wściekłości bezsilnej zwierzęcia.

— Odstąpcie, Ojcze Wielebny, odstąpcie! — wołał teraz brat Nicefor, i silnie odepchnąwszy pozostałych, wysunął się do połowy ciała z pod poszycia. Zazgrzytała ciężka proca, gotowa do strzału.

— W imię zakonnego posłuszeństwa rozkazuję-ć, bracie, opuścić kuszę natychmiast! — zakrzyknął zdołu pustelnik. — Przyjaciel to, który przyszedł za mną; nie dotknie żadnego z was!

Cisza zaległa pod dachem. Bracia cofnęli się z żalem. Dwaj samotnicy stali na dziedzińcu.

— Chodź — powtarzał uparcie lew wzrokiem. A starzec wzdychał, spoglądając przez otwarty kwadrat furty w swobodny bezmiar pustyni

Tak trwali, gdy znagła znak zadźwięczał z klasztornej kaplicy, a wraz rozległ się chóralny śpiew. Pustelnik odwrócił głowę zadziwiony. Z za węgła domu wyszli bracia w uroczystej procesji, niosąc rozpięty spłowiały baldachim.

— Błogosławiony mąż, którego upodobał sobie i uświęcił Pan! — wołał potężnym głosem brat Symforjan. — Oto niegodne nasze oczy widzą cud! Idzie mąż święty, poskramiając srogie bestje... Większy jest niźli Daniel i Prorocy... Straszliwy lew idzie przy nim jako jagnię... Bądź uwielbiony Świątobliwy Panie! Racz stanąć pod baldachimem i wejść do naszej ubogiej świątyni...

Lecz Ojciec Hieronim, który z początku nie mógł pojąć, czegoby chcieli, uniósł się gniewem, po raz pierwszy od lat wielu.

— Odnieście co rychlej baldachim za ołtarz! — rzekł ostro. — Nie pod nim miejsce grzesznika! Czego chcecie? Dziw wam, że zwierz swobodny obcuje z człowiekiem przyjaźnie, nie czując ku sobie złej woli, a ja wam powiadam, że dziwne i żałosne jest, iż nie może obcować tak z każdym! Nie z kuszą trza iść do stworzeń Boskich, ale z sercem!

— Zaś stworzenie Boskie pożre ochoczo serce razem z ciałem — westchnął zcicha brat Paschalis, spoglądając z odrazą na lwa.

* *
*

— Bracie lwie, czas popędzić osła na pastwisko — rzekł Ojciec Hieronim, skończywszy ranne pacierze.

Stary samotnik, leżący u jego stóp, podniósł się zwolna i chlasnął ogonem giętkie swoje boki. Szary kłapouch stał już przy furcie, z uwiązanym u szyi dzwonkiem z refektarza. Wyszli razem. Osioł podreptał naprzód niefrasobliwym truchcikiem, samotnik z godnością szedł ztyłu. Brat Paweł zamknął za niemi furtę i poszedł do swoich zajęć. Od dłuższego czasu weszło bowiem w zwyczaj, że lew pilnował osła na pastwisku, odprowadzając go wieczorem do klasztoru. Sarkali na to bracia początkowo, zły koniec wróżąc przyjaźni lwa z osłem, — lecz gdy dnie mijały, a kłapouch o tej samej porze wracał szczęśliwie pod furtę, uznawać zaczęli zalety osobliwego pachołka. Szczególnie rad był brat Placyd, który poprzednio miał sobie powierzony dozór nad osłem. Zaś zachowanie i powaga Ojca Hieronima rosły. Bracia skwapliwie odprawiali modły, zachęcając się gorliwie do większej jeszcze pobożności.

— Zaprawdę, nie zwykły to człek — powiadali, — któremu lew z dobrawoli stał się powolnym pastuchem. Biada, ktoby go rozgniewał!

Iście też, po krótkim czasie, nie znalazłbyś klasztoru, gdzieby służba Boża gorliwiej odprawiana była, a posłuszeństwo ściślej przestrzegane. Umilkły waśni i swary, odbiegło lenistwo, najpiękniejsze zaś cnoty zakonne zakwitły cudnie wśród braci.

Aż zdarzyło się oto, że w miesiącu przez pogan, czczących gwiazdy, kamienie i źródła, zwanym Dulka-de, osioł nie wrócił o zwykłej porze pod furtę. Gdy noc ciemna, gorąca, zapadła, Ojciec Hieronim usłyszał znajome stęknięcie i poszedł śpiesznie otworzyć. Lew zawstydzony, z opuszczonemi nisko głową i ogonem, drapał się za progiem, sam.

— Gdzie osioł? — zapytał przeor.

— Niema — odpowiedział lew wymownem wstrząśnięciem grzywy.

— Gdzież jest?

Okrągła i rumiana, jak wschodzący księżyc, twarz brata Nicefora wykwitła nad ogrodzenie.

— Gdzie jest? — powtórzył z urągliwym śmiechem. — Pytasz się, Ojcze Wielebny?! Pożarła ta bestja osła, nic lepszego dziś nie upolowawszy! A toż to jasne jak dzień! Jutro pożre kogo z nas, lub uczciwszy uszy, roztrzęsie stare kości Waszej Wielebności... Początek z osłem zrobiony... Jedna rada: zabić go, póki jeszcze czas...

Ojciec Hieronim patrzył się na lwa badawczo.

— Ręczę, że jutro odnajdziemy kości. — Pożarł, pożarł! Nic innego!! — dojadał zaciekle brat Nicefor z wierzchu ogrodzenia.

— Nie pożarłem osła samotniku — mruczał żałośnie lew, liżąc stopy przyjaciela.

— Nie pożarłeś, bracie-lwie. Rozdarła go pewno pantera. Lecz ty nie dopilnowałeś. Zaniedbałeś obo-

wiązku — najważniejszego, bo przyjętego na się dobrowolnie...

— Aoch! aoch! — wzdychał lew.

I darmo wyglądał go przyjaciel nazajutrz z rana, wieczorem, i następnych dni. Odszedł w pustynię i nie wracał więcej...

* *
*

Dzień chylił się ku schyłkowi, gdy brat Placyd, który na dachu przesypywał warstwami soli wysuszoną na słońcu szarańczę, wpadł do refektarza z okrzykiem, że coś niezwykłego dzieje się w pustyni. Skoczyli wszyscy do drabin, by wyjrzeć ponad palisadę. Zrazu ujrzeli tylko rudy tuman kurzu, lecący w oddali. Wśród tumanu przebłyskiwały kształty pędzących wielbłądów, migały płaszcze białe i brunatne. Dokąd dążyli ci jeźdźcy? W chmurze pyłu miotali się to tu, to tam, zawracając zbitym kłębem, to pędząc znowu naoślep.

— To karawana! Wielbłądy objuczone są i powiązane! — wołał brat Paweł w zdumieniu, bo szlak karawan nie leżał w pobliżu. — Pierzchają przed czemś!

— Lwy! lwy ich gonią!...

— Lwy w biały dzień? Nie może to być!...

— Słyszałem wyraźnie ryk...

— Nie pędziłby ich lew przed sobą, jeno, dognawszy najbliższego, niechał reszty...

— Na Boga! co im się stało?! Chyba ich demon pustyni opętał?!

Rozpędzony kłąb kurzawy przeleciał przed oczami patrzących i już, zdawało się, znikał w oddaleniu, gdy naraz zawinął się w sobie, zawrócił na miejscu, i gnał zpowrotem niby oszalały. Teraz, jak trąba powietrzna, sadzili prosto na klasztor. Słychać już było obłąkane z trwogi głosy i śmiertelne rzężenie wyczerpanych do ostatka zwierząt.

— Schronienie trza im dać! Otwórzcie bramę!

— Ojcze Wielebny... jeśli demony złośliwe siedzą im na karku?...

— Pierzchną przed krzyżem. Otwierajcie żywo!

Wraz i pędzący na przedzie przewodnik ręką rozpaczliwie błagał o ratunek. Otwarto szeroko bramę, w którą runęła lawina uciekających. Wierzeje zawarto szybko. Oszalałe wielbłądy stłoczyły się na dziedziniec, sapiąc i plując ze strachu; konie przysiadały na zadach; płatami spadała z nich piana. Jedynie mały, szary, na końcu pasma wielbłądów uczepiony osioł nie okazywał żadnego wzruszenia. Wierzgał, szarpiąc sznur uprzęży i spoglądając ku opuszczonej, znajomej zagródce.

Lecz w tejże chwili ludzie zawyli znów z trwogi, zaś bracia schronili się w domu z pośpiechem, bo, z rykiem straszliwym, wielki, ciemno-grzywy lew przesadził jednym skokiem ogrodzenie i wpadł na dziedziniec. A wpadłszy, stanął, waląc się po bokach

ogonem. Płonące ślepia szukały twarzy znajomej. Już śpiesznym krokiem szedł ku niemu stary przeor.

— Nasz osioł!! — krzyknął nagle z poddasza brat Placyd.

Roztropny kłapouch bowiem, nie tracąc ani chwili głowy wśród zamętu, uwolnił nareszcie łeb z uprzęży i drobnym kroczkiem podążył na dawne swe miejsce. Lecz w opuszczonej zagródce bracia składali drwa do kuchni, przeto, widząc mieszkanie zajęte, zaryczał urażony.

— Zejdź nadół, bracie Placydzie, uprzątnąć miejsce dla osła — rzekł Ojciec Hieronim, któremu błękit oczu rozbłysnął w uśmiechu słonecznym. Objął ramionami szyję przyjaciela-samotnika, wspierając swe wyschłe ciało o jego drgającą łopatkę.

Ciemnolicy przewodnik karawany, czyli Agida, ruszył od stłoczonego w przeciwnym końcu dziedzińca kłębowiska ludzi i zwierząt, bijąc pokłony i dłonie przykładając do czoła.

— Panie! ach panie! — bełkotał, stając w oddaleniu.

— Skradliście osła, przejeżdżając tędy na Wielki Targ w dolinie Okadu? — zapytał przeor surowo.

— Tak jest, o panie! — i znów uderzył w pokłony. — Nie wiedzieliśmy, o panie, że osioł należy do potężnego władcy, któremu lwy są posłuszne... O panie, zali darujesz nam życie i polecisz swemu słudze, by raczył nas puścić spokojnie?

— Puścisz ich spokojnie, bracie-lwie? — rzekł zcicha Ojciec Hieronim. Dłoń, szeleszcząca ze starości jak liść suchy, pieściła paszczę straszliwą.

— Możecie jechać — rzekł do przewodnika.

Lew ułożył się przy jego nogach, opierając głowę na przednich łapach, nie patrząc w stronę ludzi. Ale strwożone wielbłądy i konie nie chciały przejść mimo, prychając i bijąc ziemię kopytami. Musiano im pozasłaniać oczy i siłą przeciągać za bramę. Osioł w zagródce gryzł z zadowoleniem suche gałęzie palmowe, a zakonnicy schodzili ostrożnie z poddasza.

Skinąwszy im dobrotliwie głową, Ojciec Hieronim odszedł wraz z samotnikiem w pustynię.

POWÓDŹ W KROŚNIE

Roku 1240 wiosna przyszła tak wcześnie i znagła, jak najstarsi ludzie nie pomnieli. Marzec ledwo się zaczynał, i śniegi leżały jeszcze na wysokości chłopa, gdy jął dąć południowy, ciepły wiatr, nadleciało ptactwo, a wślad za niem lunęły deszcze rzęsiste, wiosenne. Śnieg poszarzał i ginął z każdą godziną, tysiącem huczących potoków spływając ku rzece. Szerokie nadodrzańskie łęgi pokryła woda, znosząc do brzegu zeszłoroczne sitowie i żółtą pianę. Rybitwy krzyczały drapieżnie nad rozlewiskiem, a ostra woń szlamu i powodzi przenikała wilgotne powietrze.

Gościniec rozgrzązł głęboko, i sześciokonna kolebka Jadwigi księżnej śląskiej, Brodaczowej, parła się przezeń z trudem. Konie z wysiłkiem wyciągały nogi z chlupiącej gliny, a woźnica, pachołkowie i dwaj zbrojni, na schlastanych błotem podjezdkach towarzyszący pani, z ulgą poglądali na bliskie już mury grodu.

Siedząca w głębi kolebki sędziwa księżna-opatka nie zdała się jedna troszczyć o trudy tej drogi, o dalszy czy bliższy ich koniec. Stare jej oczy błądziły po niebie, nie widząc wędrujących nisko chmur ni mew.

Znużył ją docna długi żywot w troskach ustawicznych. Nie tak ciążyła włosiennica sztywna, ani twardy pas druciany, jak zaciężyło jej życie i stare, mdłe ciało. Nie dbała już o nic, obojętna sprawom świata, trawiona tęsknotą za światem lepszym, wieczystym. Teraz z ulubionego klasztoru w Trzebnicy jechała do Krosna, by u grobu męża, Henryka Brodacza, westchnąć za jego duszę pobożnie, — a wsłuchując się w miarowy, tępy skrzyp kolaski, z otuchą myślała, że może to jej doczesne podróżowanie ostatnie.

Zatopiona w dumaniach, ani się spostrzegła, kiedy podjechali ku murom i echo kopyt zagrzmiało pod sklepieniem bramy. Wnet jeden ze zbrojnych podniósł do ust róg i długo, donośnie trąbił, by miastu obwieścić dostojnego gościa. Lecz nikt nie wypadł z witaniem. Nie było nawet straży powinnej na bramie.

Miasto i mury zdawały się niby wymarłe. Brzęcząc łańcuchami, kolebiąc się na nierównym bruku, potoczyła się kolasa zwolna w stronę rynku. Ulica była wąska i mroczna, bo wysokie szczyty trójokiennych domów omal że się stykały misternemi wykuszami, mostem rynien o paszczach rozwartych i lasem dziwacznie wyrzeźbionych z kamienia lub drzewa postaci, siedzących na gzymsach. Dołem były ganki i podcienia, między któremi droga szła, niby w parowie. Żelazne godła kupców i cechowych chwiały się na wietrze, zgrzytając.

Domy stały otwarte i puste, gdyż cała ludność

była zebrana na rynku, stłoczona w jedno trwożne kłębowisko. Wiatr wiosenny przelatywał z hukiem nad głowami milczącego tłumu, łopocąc w drewniane okiennice domów. Rozstąpiła się ciżba z szacunkiem przed sześciokonną kolasą, — co przedniejsi mieszczanie otoczyli ją kołem, kornie Jej Książęcą Wysokość witając, a przyczynę trwogi ogólnej tłumacząc:

...Że wielkie deszcze stopiły nazbyt szybko śniegi, wezbrały okrutnie wody, wcześniej niż kra spłynęła. Zasilona niezliczonemi strumieniami pędzącemi z gór, stara Odra rosła, potężniała i dufniała w sobie, aż porwawszy się z miejsca, miast przełamać zator lodów, rzuciła zwykłe koryto i dolinami parła niepowstrzymanie, zataczając łuk szeroki. Miasto leżało w kotlinie, na drodze wód zbuntowanych. Przeto od doby cała młodzież miejska wznosiła wały ochronne na wzgórzach, osłaniających z tej strony kotlinę, ściągając głazy, nawóz i pnie drzew. — Co będzie, jeśli nie zdzierżą?

— Uciekać trza wam, co rychlej.

— Łacno to rzec, Miłościwa Pani! Uciekać?... chyba w puszczę, na stracenie? Ni przytuliska, ni jadła. Tu woda a tam głód, albo i zwierz luty.

— Burmistrzów Jasiek jadzie! — rozległy się głosy.

Zdyszany, utytłany w błocie pachołek wpadł na rynek, trzymając się grzywy mierzyna.

— Ludzie! uciekajcie! Przerwało!! — krzyknął schrypłym głosem.

— Panno Najświętsza! A tamci?!...

— Zalało ich. Ani się spodzieli.

Buchnął lament aż do nieba. Oszalały z trwogi tłum zakołysał się jak łan na wichrze. Jedni rwali się uciekać, drudzy padali na klęczki w modlitwie, lub, stojąc bezradnie, wyli niby obłąkani.

— Na wieżę! na wieżę! — wołano.

— Podmyje wieżę!... Na mury! Mury podnosić!

— Hej, tyle one zaważą, ile kretowina. W puszczę, póki czas!

— Uciekajmy, Miłościwa Pani! — zakrzyknął jeden ze zbrojnych.

— Stój! — odparła księżna z mocą.

Dała znak pacholikowi i zeszła z trudem, podpierając się swą długą laską opacichy. Patrzano na nią w zdumieniu. Ona zaś, słowa nie mówiąc, zeszła w ulicę, którą nadjechał tylko co zwiastun nieszczęścia, i podążyła ku bramie zwanej Zachodnią albo Książęcą. Tłum ruszył za nią, niby urzeczony. Minęła bramę i wyszła na rozległe błonie, skąd nadejść miała zaguba. Szła wolno, opierając się mocno na lasce-krzywuli. Leciwa była. Stare nogi, odwykłe zdawna od chodzenia, gięły się i potykały. Sukienne miękkie ciżmy przesiąkły błotem wiosennem. Szła, nie widząc i nie słysząc nic, — całą siłą wielkiej duszy modląc się o zmiłowanie.

— Przez moją wierną miłość ku Tobie, Panie — szeptała, — nie daj im zaginąć!... Przez moją tęsknotę

ku Tobie, nie daj im zaginąć!... Niech wieki całe będę jeszcze odsunięta od oblicza Twego, lecz nie daj im zaginąć!!...

Nagły krzyk targnął powietrzem: Wyrwą między wzgórzami pędziła woda z szumem i rykiem w dolinę. Rósł las na zboczu, — położyła go jak kosiarz zboże, jednem cięciem, i leciała, tratując powalone pnie. Rozdzieliła się na dwa, na trzy, na cztery ramiona żarłoczne, — rozesłała je szeroko, skupiła je znowu, pędząc jedną wielką falą, nieubłagana, straszliwa. Napotkała kępę drzew, porwała je, strąciła, ujęła wgórę, miotnęła o ziemię i poniosła na grzbiecie. Przewalały się, ukazując skamieniałym ze zgrozy ludziom to konary, to korzenie, jakoby wołając ratunku. Teraz już pomiędzy grodem a pędzącą falą nie było nic, — jeno puste błonie, a na tem błoniu samotna, szczupła postać starej kobiety w zakonnem ubraniu... Ona zaś poczuła, że nogi wrastają jej w ziemię jak głazy, a ciało całe staje się jakby słupem kamiennym mocarnym, — i podniósłszy krzywą laskę, uczyniła znak krzyża na prawo i lewo, i rozpostarła ramiona, czekając.

Nadleciała pierwsza fala, wirując drzewem wyrwanem, zgrzywiona, schrypła od ryku, zajadła, i — stanęła niby wryta... Nadleciała za nią druga, wskoczyła pierwszej na kark, zezłoszczona, i stanęła również... Pchnęły się za nieni rozjuszone wały, niosły murem, sięgającym wyżej głowy, i hucząc, kołując — stanęły.

Niby koń spięty ostrogą, podniosła woda zapieniony łeb, by niewidzialną zaporę przesadzić i zwalić. Zerwały się, rozhuśtały, rozkolebały i runęły fale... Dopadły ztyłu świeże napastnice, podjudziły wrzącą wodę, wzdęły się, wzmogły, — porwały... Wał wodny stanął aż pod niskie chmury i zlał się w jedno z niemi... Wygięła się ściana z pluskotem i świstem, zatrzęsła groźnie wgórze ubieloną pianami głową, — wyskoczyła jeszcze wyżej, plunęła wodą ku niebu, — lecz wyższa jeszcze była niewidzialna tama, zakreślona znakiem krzyża ręką starej kobiety.

Przycichła woda na moment, skupiła się w sobie zdumiona, — i w owej ciszy nawpół żywi z lęku ludzie usłyszeli słowa księżnej:

— W imię Boga wszechmocnego, Boga miłosiernego, nie postąpisz piędzi dalej!!

I wzniósłszy rozpostarte ramiona do góry, zaczęła iść zwolna ku ścianie, jakgdyby chciała w nią wejść. Rozległ się raptowny szum: woda z łoskotem zwaliła się na bok, żłobiąc sobie poprzez pola ujście do dawnego łoża, zawracając coraz szybciej, coraz to potężniej. Malał wał wodny, niknął, aż opadł całkiem. Nad wykopaną przez wściekły nurt wyrwą klęczała księżna w modlitwie, zaś woda z szumem i pluskiem rwała błoniami ku rzece.

LEGENDA O ŚW. ANDRZEJU

Pozdrowiony bądź Krzyżu, męką Pana uświęcony, członkami Jego, jak klejnotami, zdobiony... Idę ku tobie radośnie spokojny, przyjmij mię i oddaj Panu... O piękny, o dobry Krzyżu, o umiłowany»...

Stojąc w drewnianej, rzeźbionej stalli, ojciec Sylwester odczytywał te słowa z Martyrologium patrona dnia, którym był św. Andrzej Apostoł, wyjęte. Czytał zwolna, nie iżby był nieukiem, lecz że ozdobne litery powikłane były w księdze aż nadto misternie, a dmuchający przez szczeliny okien wiatr chwiał płomieniem zatkniętego za jego plecami łuczywa. Wokoło w ławach siedzieli ojcowie, słuchając czytania w milczeniu. Słowa ślizgały się wedle ich uszu, nie przenikając do wnętrza, jak dźwięki znajome, powszednie. Niektórzy drzemali cicho, radzi ciepłu idącemu od komina. Za wysokiemi oknami szafirowe niebo malowało świeżo spadły śnieg, co pokrył grubym kożuchem równinę. Po całodziennej śnieżycy wicher wytrząsał jeszcze nad ziemią ostatek swej złości, a w oddali, za pasmem wzgórz, bezkresne oceanowe roztocze, niestrudzone walką z wichrem, biły o brzeg, wy-

żerając skały, hucząc i grzmiąc, nierade nastającej nocnej ciszy.

— «Panie, nie pozwól, abym żywy zeszedł z tego drzewa... Czas już, czas, by nędzne ciało moje wróciło do ziemi. Dźwigałem długo ciężar ciała mego w utrudzeniu, postach i czuwaniu... Starałem się wedle mych sił opierać jego pokusom, lecz upadałem co krok... Bez Twej pomocy pochłonęłoby mnie i pożarło... Upraszam Cię więc pokornie, odbierz już ciało ode-mnie... Niech je skryje matka ziemia i strzeże do zmartwychwstania... Niech duch mój, wolny nareszcie, wzleci swobodnie ku Tobie»...

Tak, w dalszym ciągu, odczytywał jednostajnym głosem ojciec Sylwester. Wielki duch polatał nad głowami słuchających, którzy jego skrzydlatego powiewu nie czuli. Zadrzemali w spokojnem bytowaniu, złożywszy ręce na kolanach gestem spokojnej bierności. Minęły czasy, gdy Bóg od wyznawców swoich wymagał służby straszliwej, uniesień i ofiar męczeńskich, gdy trzeba było śpiewać wśród płomieni, nieulękle stać wśród bestyj... Dzisiaj wystarczy odmówić pacierze i przykazania co główne zachować. Dzisiaj dość ciężkim wydaje się chłód korytarza, gdy na jutrznię z twardego snu zbudzić się trzeba i do zimnej kaplicy podążyć. Sobotnia dyscyplina w refektarzu, obojętnie, bezboleśnie opadająca na grzbiety, dostatecznym jest przymusem. Wystarczy to umartwienie, wystarczy aż nadto. Siedzieli nieruchomo, rzędem, po-

chylając łyse, siwe, albo młode czaszki. Każdego z nich w pewnej chwili wywołała z rodzinnego domu, oderwała od pługa, od miecza, od wagi — duszna potrzeba zgruntowania tajni, w której skryta jest przyczyna i racja wszechrzeczy. Odeszli w mury klasztorne, by tam nierozproszoną myślą cel swój osiągnąć w skupieniu i dumaniu nieomylnem. Lecz oto napięta uwaga rozprężała się powoli, jak łuk zbyt długo nagięty, i zatracała się w myśli pamięć o otchłani, w którą zejść zamierzał nieulękły duch. Z przed oczu ginęła wyżnia, na którą dusza zamierzała wzlecieć skrzydłami wybielonemi w zaciszu klasztornem. Roślinne bytowanie ogarniało niespokojnych, na wytężone sumienia schodziło błogie lenistwo umysłu i ducha. Godziny sunęły za godzinami, dnie za dniami, tygodnie za tygodniami. Lata zatracały treść, bliźniaczo sobie podobne. Przestawał istnieć, przestawał być zagadką dręczącą, bolesną — czas. Ustom, szepczącym pobożnie codzienne pacierze, w dobrotliwym, przyjemnym nawyku obce się stały uniesienia, trwogi, owe zmagania, wśród których rozrasta się dusza. Owszem, dusze ich skurczyły się i ścieśniły, stając się raczej podobne duszy zwierzęcia lub drzewa.

Siedzący pośród nich opat klasztoru podniósł głowę ponad rzeźbioną poręcz wysokiego krzesła. Był to mąż w sile wieku, o rozumnej, chłodnej twarzy. Sam nosił imię Andrzeja i do patrona swojego osobliwe miał nabożeństwo, przeto z poczucia obo-

wiązku nasłuchiwał słów gorejących ogniem, któremu żaden odblask z serc słuchaczy nie wtórował.

— Zaprawdę, był to jeden z najprzedniejszych Świętych — rzekł z uznaniem, gdy ojciec Sylwester, skończywszy czytanie, zamknął z hałasem księgę na grubą klamrę miedzianą i zeszedł ostrożnie z katedry.

— Powiadają — przytwierdził ojciec Inocenty, — że w grobie tego Apostoła, w szczęśliwem mieście Patras znajdującym się, pokazują się rok rocznie manna i wonna oliwa, z ilości których wróżą, czyli rok będzie urodzajny, czy jałowy...

— Ongiś tak było, bo wszakże ciało Apostoła przeniesione zostało z Patras do Konstantynopola...

— Ciało zabrano istotnie, lecz oliwa i manna zostały, o czem obszernie napisał patrjarcha Metody...

Ożywili się, radzi rozmowie.

— Wielki to Święty, nie większy wszakże chyba od świętego Mikołaja z Myru, który niemowlęciem będąc, wstrzymywał się od ssania matczynej piersi w środy i piątki — jako historja zapewnia..

— To inna rzecz, a to inna — odparł żywo ojciec Rafał, któremu nieobyczajnem się zdało stawianie drugiego świętego wyżej opatowego patrona. — Andrzej Apostoł, dojrzałym już mężem będąc, napotkał Chrystusa Pana, jakoż tedy mógł pościć w wieku niemowlęcym? Nie zliczyłbyś cudów Andrzejowych! Wiadomo, jako raz przeprawiali się ku niemu ludzie, by światło wiary otrzymać; czem rozgniewany szatan

wzdął fale morskie i czterdziestu młodzieniaszków zatopił. Lecz Apostoł kazał morzu oddać trupy, a ułożone posłusznie na brzegu przez fale, powołał znowu do życia...

— Niektórzy prawią, że wskrzesił ich wtedy nie czterdziestu, ale czternastu...

— Niesłusznie prawią... Nie śpiewamyż w hymnie:

Quaterdenos juvenes
Submersos maris fluctibus
Vitae reddidit usibus?

— Wiatr ucichł pod wieczór, a ninie zrywa się znowu, jakby szatan i dzisiaj chciał łodzie jakowe zatopić...

— Hej, zatopi on niejedną!... Djabelski to brzeg!

— Pono za czasów pogańskich mieszkały na wyspie dziewice, które czarami zaklinały morze, iżby było łagodniejsze. Teraz zasię nikt morzu niczego nie wzbrania. Trzaby tam na skałach relikwję wmurować, albo figurę świętego Krzysztofa postawić...

— Myż tu jesteśmy, by trzymać w postrachu złe moce — zauważył zcicha opat.

Rozeszli się, zegar bowiem bił godzinę siódmą. Opat zasiadł w swojej celi przed wielkim pulpitem, i wziąwszy pędzel do ręki, umaczał go w brunatnym tuszu. Naokoło rozwartej księgi stało kilkanaście miseczek z farbami. Niecierpliwie odsunął drewnianą podstawkę, służącą do wspierania ręki, pozo-

stawioną przez któregoś z ojców. Jego dłoń nie drżała. Był opanowany, rozumny i silny. Na rozłożonej karcie u góry zrobił starannie sztrych linją, poczem ująwszy lekko pendzelek bobrowy, pisał, splatając kunsztownie litery: «Ku chwale wiecznej Boga Najwyższego i Andrzeja Apostoła, doskonałego Jego sługi»...

Krzepka dłoń wiodła niezachwianie ostrze pendzla bobrowego przez misterne zawiłości inicjałów, gdy myśl, zostawiając oczom pieczę nad rysunkiem, szła gościńcem słyszanych niedawno słów:

«Bez Twej pomocy pochłonęłoby mnie ciało i pożarło... Błagam Cię, Panie, zabierz już ciało odemnie... Niechaj nie zejdę żywy z drzewa krzyża»...

— «Pochłonęłoby mnie i pożarło»... Ejże — myślał rozważny przeor, — zbytnia to chyba była skromność doskonałego sługi Bożego? Ciała pokusy są wiotkie i duch męski snadnie sobie z niemi daje radę... Czyż nie opanowałem ich zamłodu i żywię od lat bezpieczny?... Czyli istotnie doskonały Sługa podlegał stawianym przez ciało pokusom?... Dziwi mnie to i zdumiewa... Jakże są one słabe i nietrwałe, jak mało pożądany owoc ich — grzech! Pogański mędrzec Marek Aureli słuszniejsze miał o tem pojęcie, określając w swych księgach rozmyślań istotę i marność pokusy... Umysł, doszedłszy pewnej wysokości, z pogardą patrzy na to, co pożądanem może się zdać jedynie młodzieniaszkowi...

Zmienił pendzel i umaczał go w złocie, drobniutkim brzeżkiem rozjaśniając brunatność napisu. Dwie świece chybotały przed nim płomieniami, płonąc to żółto, to znowu błękitno. Barwista otęcz drgała naokoło, wsiąkając brzegiem w mrok wypełniający celę. Cela była wysoka, niekształtna, o trzech ścianach półokrągłych, z których wyrastały kolumny, niby drzewa z gęstwi lasu. Była to część rzymskiej budowli, stawianej w czasach, gdy pobliskie miasto Vannes zwane było Dariorigum. Według twierdzenia jednych budowla ta była łaźnią, a według drugich świątynią bogini Diany. Uczony opat zbadał już tę sprawę i spór pogodził. Były to termy, owszem, do których przytykała mała świątyńka, nie Diany, ale Wenery, bogini miłości i żądzy. Za panowania Gradlona, wnuka Meriadeca, przerobiono te mury na klasztor. Ślady epistylionu znaczne były jeszcze, wmurowane w ścianę, a tryglify wsiąkały w powagę wyniosłych pilastrów-lizen. Cegły, przesiąknięte wonią i gorącą parą dymiącą z ciał odpoczywających w termach, weszły w skład łuków, które unosić miały duszne modlitwy i nieść je ku niebu. — Było to wiele lat wstecz, i mało kto o tem wspomniał... Teraz, gdy opat barwił złotem szlak cieniutki, za plecami jego uniósł się cień wątły, jakoby westchnienie mary. A on, nie czując obecności niczyjej, snuł dalej swe myśli rozsądne, misternie barwiąc napisy.

— Nie ulega wątpliwości — dumał, — że w po-

kusach opisywanych przez pustelników i świętych niemało jest przesady... Nie tak straszne one boje, jako powiadają... Umysł przenikliwy zwalczy je łatwo ścisłością rozumowania jasnego... Bogata wiedzą, chłodna myśl mędrca nie wzruszy się żarem pokuszeń, ani powierzchowną krasą stworzeń, przez szatana osobliwie wybranych za narzędzie pokusy...

Brat Sylwin zakołatał do drzwi. Opat odwrócił głowę z niechęcią, nierad, że mu pracę przerywają.

— Wasza Przewielebność, jakowaś niewiasta stoi u furty, dopraszając się, iżby jej otworzyć...

— Niewiasta?! — obruszył się opat. — Rzeczcie-ż jej, że tu niewiasty nie wchodzą, zaś schronienie może znaleźć w klasztorze Panien Benedyktynek, za wzgórzem...

— Brat furtjan już to powiedział, ona wszakże nie odchodzi, twierdząc, iż gdyby Wasza Przewielebność wiedziała, kto ona, wnetby ją puścić kazała...

— Choćby była małżonką króla Childeberta, to nic tu po niej w klasztorze...

— Królową ona nie jest, wszakże, Wasza Przewielebność, kto wie, czy nie Księcia Miłościwego córka?...

— Nie zawracajcie mi głowy baśniami — odmruknął opat; ale brat nie ustępował:

— Ojciec Adaukt ją poznał, któren był w zamku po kweście...

— Nie może być! — zafrasował się opat, za-

chwiany; tarł głowę, niewiedząc co począć. — Wpuścież ją do rozmównicy — rzekł wkońcu, z żalem spoglądając na zaczętą stronę księgi. Fałdą habitu starannie wycierał pendzel, gdy brat Sylwin odchodził śpiesznie korytarzem.

— Z nobilów ona, to pewne, zaś Ojciec Adaukt... — dosłyszał głos jego opat.

Obtarłszy pendzle, nakrył ostrożnie miseczki, aby kosztowne farby nie wysychały, i przeszedł do rozmównicy. Surowym wzrokiem zmierzył smukłą postać, stojącą pośrodku izby. Twarz jej zasłaniał gęsty, czarny kwef. Z pod płaszcza ręce białe wysuwały się gestem błagalnym. Uklękła przed opatem, przyciskając do ust fałdy habita. Różane, długie palce spoczęły na brunatnej szorstkości sukna, przepojonego wieloletnim kurzem. Opat usunął się wbok; krucyfiks zawieszony na ścianie zabłysnął.

— Nie klękaj przed sługą w obecności Pana — rzekł sucho.

Lecz ona nie podniosła głowy, trwając na klęczkach.

— Wysłuchać mnie racz, Wasza Przewielebność — (głos jej był cichy i słodki, jak daleki śpiew) — i nie odmawiaj ratunku. Jestem córką księcia Erispoe, pana Armoryki. Uciekłam z zamku, gdyż ojciec mój przymusić mnie chciał do złamania ślubu dozgonnej czystości, oddając w związki małżeńskie...

— Na Boga! Powstańcież Wasza Dostojność...

Uszom się wierzyć nie chce... Córka Miłościwego Księcia w naszych biednych progach... Siadajcie, Szlachetna Pani... Dziad wasz, wielki Nomenoe, dobroczyńcą był tego klasztoru... Wierniśmy poddani Miłościwego Księcia Pana... Czego życzysz sobie Wasza Dostojność?

— Przytułku, choć na tę noc! Wysłańcy mego ojca szukają mnie wszędzie... Ja zaś przysięgłam, iż raczej rzucę się w morze, niżli zatracę dziewictwo... Gdy pogoń ustanie, znajomi rybacy przeprawią mnie na Belle Isle, gdzie znajdę schronienie w klasztorze.

— Rozporządzaj Wasza Dostojność nami i tym domkiem naszym — rzekł opat, coraz bardziej sfrasowany.

Powód ucieczki księżniczki godzien był wszelkiej pochwały, lecz gniew porywczego księcia Erispoe mógł klasztorowi dać się srodze odczuć. Wahał się, niepewny co począć. A że w tej chwili zadzwoniono na wieczerzę, zwrócił się do niespodziewanego gościa:

— Niezwyczajna to rzecz, wszakże racz Wasza Dostojność przełamać chleb razem z nami.

Zasiedli przy długim stole, w którym wyrobione były miseczkowate wgłębienia, wybite cynową blachą. Brat Rufin, któremu na ten tydzień przypadała gospodarska służba, obchodził stół, do każdej miski nalewając warzącwią gęstą zupę z bobu, kraszoną olejem. Kawał placka jęczmiennego leżał przy każdem nakryciu. Ojciec Inocenty stanął na małem wzniesie-

niu przed pulpitem, i gdy skończono modlitwę wzywającą błogosławieństwo Boże na posiłek, jął monotonnym głosem odczytywać medytacje, na dzień owy wyznaczone. Ojcowie wyciągnęli łyżki z za pasków habitów, lecz nie zabierali się do jedzenia ze zwykłą skwapliwością. Krusząc bezmyślnie placek, zerkali cichaczem, rychło przybyła niewiasta odrzuci z lica zasłonę. Ona zaś siedziała z pochyloną skromnie głową, aż nagłym ruchem podjęła długi czarny kwef i powiodła spojrzeniem po twarzach obecnych, zatrzymując wzrok na każdym, póki zmieszany nie utonął oczami w gęstej zupie, dymiącej z miski cynowej. Twarz jej była olśniewająco biała, a źrenice złotożółte, jak dwa topazy. W skąpo oświetlonej sali refektarza źrenice te fosforyzowały niby oczy kota. Wydała im się bardzo piękną, piękniejszą nad wszelkie pojęcie. Ojciec Inocenty monotonnym głosem odczytywał medytację, ale mało kto go słyszał. Nie śmiejąc podnieść znów oczu z nad stołu, widzieli obraz jej chwycony pod powiekami i wpatrywali się weń w lubem pomieszaniu. Jeden opat nie czekał na chwilę, kiedy gość odrzuci zasłonę; pochylony nad miską cynową, rozmyślał posępnie, jakby uniknąć książęcego gniewu. Równocześnie zaś mądry jego umysł, nigdy nie leniwy, snuł nić piętnastodniowych zjawisk, mających poprzedzić Sąd Ostateczny, które to zjawiska w spisywanej przez się księdze jasno chciał wyłożyć.

— ...Pierwszego dnia morze wzniesie się czter-

dzieści łokci wyżej niż najwyższe góry i wstrzyma się, nieruchome... Drugiego zasię opadnie tak nisko, że zginie z przed oczu... Trzeciego dnia wyjdą z głębi nieznane potwory... Czwartego, woda morska zamieni się w ogień...

Siedząca naprzeciw księżniczka utkwiła uparcie wzrok w jego pochylonej głowie, aż drgnął niecierpliwie, bo ciężar bacznego spojrzenia przeszkodził mu w myślach. Już pomylił mu się dzień dwunasty, w którym spadną gwiazdy, z dniem dziewiątym, dniem zrównania powszechnego gór i dolin. Podniósł oczy, napotkał jej oczy jarzące, i spuścił głowę ponownie. Przestał jeść. Dziesiąty dzień splątał mu się w umyśle z piętnastym i szóstym. Już ich nie mógł logicznie rozmieścić. Między straszliwe zjawiska natury mieszała się groźna twarz księcia Erispoe i huczny, książęcy dwór, a ponad ten chaos myśli, poprzez skłócone rozmysły, wykwitała istotna przyczyna zmieszania: biała twarz o złotych oczach. Przedziwna, tajemnicza i kusząca. Już w rozegnanych na boki myślach królowała sama jedna. Przyglądał się jej w niemem zadziwieniu. Ciągnęła ku sobie, jak głębia wodna oceanu. Nie jest-że w niej rozwiązanie dręczących bytu zagadek, nie jest-że ona sama najcudniejszą tajemnicą, godną, by nieśmiertelność za jej zbadanie narazić?

Wśród ciszy, która zalegała refektarz, nikt nie zauważył, że Ojciec Inocenty przerwał czytanie i, utkwiwszy oczy w pulpit, zamyślił się martwo, jak inni. Trzaskało łuczywo, a zakrzepła dawno zupa prze-

stała dymić z misek. Minuty mijały i ginęły w pustce, gdyż każdy z obecnych nieobecnym był, błądząc myślami daleko. Ona jedna tylko, Pokusa, siedziała za stołem zakonnym, bursztynowemi oczyma połyskując w cieniu. Biała jej twarz miała blask opalu, a długie palce wyciągały się na stole ruchem pieściwie drapieżnym. Siedziała, wodząc dziwnemi oczyma po wieńcu schylonych głów. Pod strasznym czarem tych oczu brat Rufin uczuł, że źrenice napełniają mu się łzami na przypomnienie nagłe niezaznanej rozkoszy domu, ojcostwa, rodziny... Przeciągnął ręce, aż chrzęstnęły stawy, barczysty ojciec Witalis, wspomniawszy znojne, piękne trudy rolne. Z zapomnianych kątów myśli uderzył ojca Sylwestra daleki tętent zwycięskiej gonitwy za wrogiem, rozkosz potyczki rycerskiej i męskiego boju... W oczach ojca Adaukta migotały barwne stroje, wygodny dwór rodzicielski... Wszystkie dobra, porzucone niegdyś dla klasztornego cichego żywota, stanęły im teraz nagle przed oczyma, mieniąc się, drżąc, barwami tęczowemi grając, coraz cudniejsze, coraz pożądańsze i tęsknoty godne. Szukająca schronienia kobieta zdała się być jednemu słonecznem dniem winobrania, drugiemu sławą wojenną, trzeciemu domem i żoną... Zaś mądry opat o chłodnym umyśle zapatrzył się w twarz jej, w głębinie czaszki odbitą, — twarz drażniącą, pełną czaru, twarz tej, której poganie stawiali świątynie, i w nagłem osłupieniu zapytywał się, zali istotnie dobrze czyni czło-

wiek, odrzucając precz owoc życia, nie skosztowawszy go wprzód? Zali nie sięgnąć jeszcze do drzewa poznania? Póki czas... póki czas...

Podniósł głowę, by znaleźć odpowiedź w złotych oczach nieznajomej, lecz w tejże chwili gwałtowne kołatanie do drzwi szarpnęło ciszą uroku. Ojcowie drgnęli, zbudzeni. Księga z medytacjami upadła z pulpitu, Ojciec Inocenty zmieszany pochylał się po nią.

— Bracie Rufinie, spytaj, ktoby tu kołatał — rzekł opat, głosem wyrwanego ze snu.

— Otwórzcie w imię Chrystusa! Jestem Andrzej, sługa Boży — odpowiedział głos za drzwiami.

— Przez litość! — krzyknęła księżniczka. — Nie pozwól otwierać, Wasza Przewielebność!! Poznaję ten głos! To wysłańcy mego ojca aż tu przyszli za mną! O, ja nieszczęsna!... Nie otwierać! nie otwierać!!

Głos jej miał brzmienia chrapliwe, a szczupła postać gięła się w lęku, jak trzcina; długie palce chwytały powietrze rozpacznie.

— Otwórzcie w imię Chrystusa! — dopominał się pielgrzym za drzwiami, kołacząc coraz zawzięciej.

— Nie otwierać! Śmierć to moja! — jęczała dziko kobieta.

— Nielza zawierać wrót, gdy wzywa w imię Chrystusa — rzekł opat nieśmiało. — Nie trwóżcie się tak, Wasza Dostojność, gdyż prawo azylu tu jest, a przeto...

— Nie pozwalam wam otwierać! — zakrzyknęła groźnie. — Ja tu rządzę! ja tu pani!!

Spojrzał na nią ze zdumieniem i drgnął: Olśniewająco biała twarz miała teraz barwy trupie, spalone wargi ciemniały, a żółte oczy stały się nieruchome i zimne jak sowie.

— Święty Andrzeju! — szepnął bezwiednie, strwożony.

— Przyszedłem, nimeś mnie wezwał — odpowiedział z za wrót pielgrzym. — Ocknijcie się, póki czas!!

— Póki czas... póki czas... — szeptał opat zbladłemi wargami.

Odwrócił się ku kobiecie i zimny pot okrył mu czoło, albowiem nie było jej już w refektarzu. Ojcowie, zbici w gromadę, stali dygocąc z trwogi i żegnając się raz po raz. Raptowny wicher zatrząsł murami klasztoru, aż ramy okienne szczękały.

Drżącą dłonią przesuwał opat po zbladłej jak chusta twarzy.

— Na Boga! — zawołał nagle, — otwierajcie żywo temu, co nas od pokus szatańskich uwolnił!!

— Niema nikogo u wrót! — krzyknął brat Polikarp.

— Nie może być! Daleko nie odszedł, biegnijcież za nim, prosząc, aby raczył wrócić...

Lecz dwaj ojcowie wrócili po chwili, zmieszani.

— Wasza Przewielebność! Śnieg, co w dzień upadł, leży podle furty gładki, nieruszony... Niemasz na nim śladu stopy, ni pielgrzyma ni niewiasty... Nie przychodził tutaj nikt...

PIERWSZE DARY ŚW. MIKOŁAJA

Dom ubogiego Symforjona kamieniarza stał przy głównym placu Myry, górującym wysoko nad płaskowzgórzem licyjskiem. W oddali błękitniało morze. Białe żagle, podobne motylom, skupiały się wokoło błyszczących w słońcu portowych ramion Andrjaku. Plac był duży, nieustannie wypełniony tłumem ruchliwym i gwarnym, wieczną radość dla oczu dziecinnych stanowiącym, przeto Prakseda, Sekundus i Abdon nędzne potomstwo ubogiego Symforjona, przesiadywali całe dnie przed domem, sycąc oczy, by oszukać głód żołądka. Nagie ich ciałka wystalizną kości jaskrawo wyrażały zadawnioną biedę. Zapadłe głęboko oczy wpierały się pożądliwie w nieosiągnięty nigdy przedmiot marzeń: gorące placki miodne, maczane w oliwie, grubego handlarza Gorgona, sąsiada. Gdy na cienkim trójzębie żelaznym rozdawał placki szczęśliwcom, mogącym zapłacić za nie ćwierć obola, oliwa kapała na gorącą blachę, przypalając się z sykiem, i rozkoszna woń dochodziła aż ku dzieciom, powodując łaskotanie w krzyżu i napływ śliny do wyschniętej grdyki.

Tuż za Gorgonem, stara, jednooka Tryscylla sprzedawała gołębie. Powiązane za nóżki parami, podlatywały wkoło niej, trzepocąc. Prócz gołębi handlowała też dziewczętami, długie chwile trawiąc na szeptach z bogatą młodzieżą myreńską, do której szczerzyła bezzębne, krzywe usta. — Wróżbiarz Thalesus zapraszał ręką przechodniów do wnętrza zasnutej oponą izby, w której smrodliwych ciemnościach ukazywał w wiadrze wody przyszłe losy. Rój much brzęczał opodal nad rozłożonem mięsiwem przed kramem rzeźnika. Psy bezpańskie, płowe, wałęsały się między nogami przechodniów. — Środkiem placu przelewał się ruchliwy tłum, pstro i barwnie przyodziany. Filozofowie w białych tunikach szli poważnie, rozmyślnie nie widząc przechodniów. Za nimi śpieszyli skryby. Nieraz zdarzało się, że na jednym końcu placu stawał na kamiennem podwyższeniu retor, na przeciwnym zaś sofista, do zupełnego schrypnięcia głosu starając się przekrzyczeć wzajemnie i przyciągnąć tłum do siebie. Podjudzani przez rozbawionych słuchaczy, kończyli nieraz dysputę pięściami. W dnie świąteczne przesuwały się wśród modłów procesje diakonów i pobożnych diakonis w długich zasłonach na twarzach. — Czasem wstrząsał miastem żelazny krok legij, dążących z Północy na Południe, albo ze Wschodu na Zachód. Rzemienne skórznie zrudziałe były od śniegów lub popękane od gorących piasków. Drgały mocą stalowe golenie, kolana. Szczękały tarcze, władne

wznieść Cezara, olśniewały w słońcu miecze, zdolne powalić wybrańca. Przed zwartym ich wężem rozstępował się zdala tłum, i gród zalegała cisza. Oni zaś szli mimo, nie spoglądając na boki, zapatrzeni w daleką swą drogę, we własną rzymską nieodpartą moc.

Gdy wieczór zapadał, do wygłodniałych dzieci powracał, równie jak one wychudły, ojciec Symforjon, cały dzień pracujący w kopalniach marmuru, w twardym trudzie zdobywający prawo do nędznego życia. Przynosił dzieciom garść fig i suchy placek jęczmienny, poczem układali się na spoczynek przed drzwiami niskiego domostwa. Plac zalegała cisza. Czerwone latarnie błyskały u drzwi winiarni. Gdy i one zgasły, maleńkie, samotne światło ponad bazyliką jak baczne oko czuwało nad uśpionem miastem. Każdy z mieszkańców, spojrzawszy w tę stronę, wiedział, że to płonie lampka zatlona ku czci Matki Bożej, przed której obrazem sędziwy biskup Myry, świątobliwy Epiphanes, trawi dnie i noce na nieustannej modlitwie. Zdawna pacierzami jeno dzielił sobie czas, niewidomym od lat będąc.

Wiekowy był biskup, z łoża z trudem dźwigający się przy pomocy pilnych diakonów. Rozluźnione więzy starczego ciała z trudem przytrzymywały duszę, która lada dzień uleci. Uleciałaby już pewno, gdyby nie troska, do ziemi wiążąca. Podziela ją całe miasto: Niemasz biskupa następcy! Słusznie przypuszczają ludzie, że działają tu złe czary. Bo raz po raz diakoni i Rada

przywodzą przed starca kapłanów co najprzedniejszych, najświątobliwszych, uczonych, prosząc, by ręce na którego z nich położył, następcą swoim mianując; — napróżno, bo bezsilnie opadają starcze dłonie. Do zmartwiałego ucha Głosy tajemne, nieodparte, szepcą: Nie tego naznaczysz!!... I próżno wypatruje starzec ślepe oczy, czekając na godniejszego. Stawali już przed nim z całej Licji ludzie godni wielkiego zaszczytu, i urażeni odeszli. Wrócił do swojej pustelni, uśmiechając się wyrozumiale nad starczem dziwactwem biskupa, świątobliwy anachoreta Hierofanus. Odszedł uczony teolog Baladon. Lud szemrał niezadowolony. Lada dzień biskup zemrze i trza będzie chyba do dalekiej Aleksandrji słać, do tamtejszego kościoła. Skołatany, serdecznie bolejący nad tym stanem rzeczy, Epiphanes czuwał nocami, w modlitewnym wysiłku daremnie starając się rozeznać, od kogo pochodził więżący dłoń jego Głos. Był to głos Boga? Nie byłże to — o udręko! — głos demona?! Wspierając utrudzone, rozeschłe ciało o klęcznik, modlił się starzec bezsenny.

Z pięknego swego domu, na przeciwnym końcu placu tuż przy domku kamieniarza stojącego, patrzył uparcie w światełko migocące w komnatce biskupa — Mikołaj, syn Euzebjuszowy. Młody był, brzydki i nieśmiały. Dziwaczna nieśmiałość pętała go od dziecka, niby sieć. Stronił od ludzi, których lękał się w cichem swem sercu. Bezpiecznym byłby i wolnym gdzieś

na dalekiej pustyni, los zaś uczynił go dziedzicem wielkiego majątku, z którym nie wiedział co począć. Noce jego były bezsenne i nużące ciężką troską. Nie chciał bogactwa, a jakby je rozdać, nie wiedział. Nieśmiałość kleiła mu wargi, gdy pragnął rozważnej porady starszyzny. Zawezwać ubogich, niech biorą? Ścierpnął i skulił się w sobie na myśl, że ogłoszonoby go dobroczyńcą i wyniesiono w tryumfie na plac. Zbierała ochota rzucić wszystko i nocą ujść z domu, lecz wstrzymywała myśl o chciwym krewniaku, który przyjdzie, dom opuszczony zajmie i twardą dłonią zacięży nad niewolnikami. Udarował ich wolnością, — oni przedsię padli mu do nóg błagając, by im pozostać pozwolił... I plątał się bezradnie wśród swych bezużytecznych dostatków, których podjąć i dobroczynnym potokiem między ludzkość skierować nie umiał.

Świt błysnął, różowiąc góry. Ranny wiew odświeżył skołataną głowę. Stroskany młody bogacz spojrzał z ganku wdół, gdzie kamieniarz Symforjon ziewał, powstając do pracy. Dzieci spały, nagie, skulone pod chłodem nocy, podobne do sinych trupków. Nagły ból ścisnął serce Mikołaja.

— Zaprawdę — pomyślał, — wszystko na świecie jest lżejsze i do zniesienia łatwiejsze, niż niedola małych dzieci. Współczującem okiem ogarnąć można każdy ból i pójść swoją drogą spokojnie, jeno nie cierpienie dziecka. Człek dojrzały zna przyczynę i powody swego bólu. Człek dojrzały zapaśnikiem jest

świadomym, — dzisiaj leży powalony, kto wie zaś, czyli sam nie tłoczył przeciwnika wczoraj? Któż odgadnie, jaki odwet gotuje mu jutro? Lecz krzywda dziecka cięższa jest, niż świat. Niewinne oczy, zachodzące łzami, z bolesnem zdziwieniem nad złem, palące są i niezapomniane, jak wyrzut Boga samego. Niewinność Chrystusowa mieszka w drobnem ciałku nieznającem grzechu ni jego przyczyny. Kto miłuje Chrystusa, miłować musi ponad wszystko inne — dzieci. Przez nie dojdzie ku Niemu najłacniej. Biada życiu, które krzywdzi małych! Szczęśliwy, kto krzywdę dziecinną nagrodzi...

* *
*

Stukot oddalających się śpiesznie sandałów obudził w nocy Praksedę, córkę Symforjona. Ciemna postać w naciągniętym głęboko kapturze mignęła w zdziwionych oczach dziewczynki. Odwróciła się na drugi bok, by zasnąć ponownie, gdy zapach bliski, nęcący, poderwał ją na nogi. Instynktem głodnego zwierzęcia wyczuła jadło w pobliżu. Sięgnęła ręką, — znalazła. Ze zdławionym piskiem zdziwienia kopnęła w chude żebra braci. Nawpół nieprzytomni ze snu rzucili się za nią na zdobycz. Nie mówili nic. W mroku nocnym, węchem i dotykiem raczej niż oczami rozpoznawali, zachłystując się spazmem rozkoszy, z widzenia jeno znajome mięsiwo pieczone w szafranie,

węgorze tłuste w oliwie i placki, lepkie od miodu, wonne od korzeni. Jedli żarłocznie, pomrukując z rozkoszy, jak to czynią zwierzęta, aż gdy szczęki im ustały, a kałdunki po raz pierwszy w życiu stały się pełne i ciężkie, przebudzili śpiącego opodal ojca. Ubogi kamieniarz, ostrożnym człowiekiem będąc, nie zadowolił się samym faktem radosnym. Nasyciwszy głód, zapragnął wiedzieć, skąd spadły dary nieznane. Lecz Prakseda nie umiała nic powiedzieć. Obudziła się, bo nieznajomy człowiek biegł przez plac. Poczuła płacki, bo leżały tuż obok... Zatliwszy olejny kaganek, Symforjon podjął ostrożnie resztę zapasów, by skryć je w izbie przed okiem zawistnych sąsiadów, i — radość odjęła mu mowę: Oto jeszcze lniana szatka, w sam raz dla Praksedy, i opończe ciepłe, wielbłądzie, dla chłopców, i woreczek dzwoniący, a w nim... Ach! ach! a!.. Przyciskając go oburącz do piersi, nędzarz dygotał, jak liść. Nie będą już nigdy głodni! Ukląkł, bijąc pokłony Stwórcy, a także i bogom, nie wiedział bowiem, kto mu ten dar zesłał. Dziękował więc we łzach Jezusowi i Jowiszowi zarazem, Najświętszej Pannie i Afrodycie. Naraz pomyślał, że niechybnie okradziono kogoś w mieście, i złodziej, spłoszony, zdobycz swą przy nich podrzucił. Wszakże dziewczyna uciekającego słyszała. Zgarnął oburącz skarb, przenosząc go w głąb ciemnej nory, zwanej domem, przykazując srogo dzieciom nic nikomu o zdarzeniu nie opowiadać, natomiast pilnie słuchać, gdy obwoływacz

stratę ogłosi. Lecz obwoływacz nie ukazał się wcale na placu, na którym dwóch retorów potykało się na słowa od straży rannej do schyłku dnia, — aż słuchacze, zakładający się o to, który przetrzyma, wodę im z winem podawali dla pokrzepienia.

Ubogi dotychczas kamieniarz nie wiedział, co o tem myśleć. Nie wiedział również, że następnej zaraz nocy dzieci uboższego jeszcze, niż on, Nazarjusza takiż sam skarb przy ubogiem swojem posłaniu znalazły, i że równie jak on ostrożny Nazarjusz zalecił dzieciom milczenie. Zkolei bogatemi się zbudziły małe córki starej Darji, wdowy niemocą ruszonej, potem Rustykus i Klemens, sieroty po Tymoteuszu, tragarzu. Wtedy przestano się już ukrywać, i wieść huknęła wśród ludzi, że dobroczynny demon nawiedza miasto w nocy, rozdając królewskie dary. Zapewne obdzieli zkolei wszystkich mieszkańców?

Z radosnem wzruszeniem myśleli bogaci kupcy, jakie skarby tajemniczy gość musi zachowywać dla nich, skoro tak hojnie obdziela nędzarzy, niewartych spojrzenia. Kim-że był? Aniołem? Demonem dobrym? Gdy nie kwapił się iść z darami pomiędzy bogaczy, gotowi go byli ogłosić duchem piekieł, czartem, i dary na ogień skazać. Że znajdywały się jednak pomiędzy niemi misternie z drzewa lub kamienia rzeźbione wyobrażenia Baranka albo Gołębicy musiano uznać niebiańskie pochodzenie dobroczyńcy. Tymczasem nie mijała noc, by ktoś z ubogich, dzieci mających, ob-

darowanym nie został. W mieście nie mówiono już o niczem innem, z grozą, zawiścią, uniesieniem i błogosławieństwem lub oczekiwaniem. Bądź co bądź, podnosiło to ogromnie znaczenie grodu. Myra dotychczas szczyciła się, że wylądował w niej kiedyś Paweł z Tarsu, Apostoł narodów, a przejeżdżał cesarz Hadrjan, obwożący po całym świecie frasobliwą, niespokojną duszę. Do tych odwiedzin przybywały nowe, nierównie wszakże znaczniejsze.

Nikt dotąd nie widział tajemniczego przybysza. Zjawiał się, gdzie się go nie spodziewano i, rzuciwszy do wnętrza domu lub przed progiem tłomok z darami, znikał bez śladu. Niektórzy zaręczali, że widzieli świetlisty rąbek niknącej szaty i rozpoznawali Archanioła Gabrjela. Inni stwierdzali, że pojawieniu się Genjusza towarzyszył nagły wicher, a wraz czar schodził na głowy mieszkańców, klejąc im oczy nieprzepartym snem. Więc grube przekupki, omijane dotychczas przez Ducha, kiwały frasobliwie głowami, zapewniając, że nieczyste to muszą być moce.

Wśród ogólnego zaciekawienia, prawie niespostrzeżenie przechodziła sprawa inna, zaszczytu miastu nie przynosząca, nie ogadana ani roztrząśnięta jakby należało przez gawiedź rynkową. Oto Mikołaj, syn Euzebjuszowy, po którym słusznie spodziewać się było można statku i pobożnej obyczajności, zostawszy dziedzicem niebyle majątku, zamknął się przed ludźmi, by wieść życie gorszące i haniebne. Codzień

wieczorem (opowiadali z żalem niewolnicy) młody pan wymykał się z domu, by wrócić dopiero o świcie. Przepadał bez wieści i darmo próbowano go śledzić. Pozornie niezręczny, nabierał jakby chytrości węża, gdy chodziło o zmylenie śladów. Raz wyzwoleńcowi, imieniem Jonas, udało się go dostrzec: W ciemnej opończy i kapturze szczelnie nasuniętym na głowę wałęsał się po najgorszej, odległej dzielnicy miasta. Czego tam szukał?... Co więcej, starszy wyzwoleniec Theobaldus, zaufany nieboszczyka Mikołajowego ojca, zajrzał kiedyś ukradkiem do skarbca domowego i z przerażeniem zauważył w nim znaczny ubytek. Mikołaj trwonił fortunę, z trudem zbieraną przez pobożnego a zapobiegliwego Euzebjusza! Niewątpliwie hołdował grzesznym miłostkom greckim, przez Kościół najsurowiej potępionym.

Starsi mężowie starali się nakłonić świątobliwego Epiphanesa, by grzesznika do siebie zawezwał i powagą biskupią poprawę życia nakazał, lecz starzec obojętny był na te namowy.

— Zali go kto na grzechu zdybał? — zapytywał.

Darmo było zdziecinniałemu ślepcowi tłumaczyć, iż niepotrzebny jest widok grzechu samego, tam, gdzie ogólne, niezbite o winie trwa przekonanie. Nakoniec więc dawni przyjaciele i towarzysze nieboszczyka Euzebjusza, Markus Ancilla, najbogatszy kupiec w mieście, zapalczywy Chrystofor, żeglarz, i łagodny Lucius, trzymający gospodę w Andrjaku, zeszli się, by synowi

przyjaciela sumienie roztrząsnąć. Dość długo stukali kołatką u wrót, zanim niewolnik otworzył i dostojników do atrium wprowadził. Markus trącił znacząco Chrystofora w bok, i obaj smutnie pokiwali głowami, rozglądając się dokoła.

Wykwintne niegdyś mieszkanie wiało opuszczeniem. Na zapylonym marmurze tabliczek nie zapisał się oddawiendawna żaden gość. Jedynie przed obrazem Najświętszej Dziewicy, umieszczonym w miejscu, gdzie pogańskiemi czasy stał ołtarzyk bóstw domowych, płonęła lampka oliwna, jak dawniej.

Na odgłos kroków odwrócili głowy. Mikołaj stał przed nimi, schylając się w kornym ukłonie. Nieśmiała jego twarz wyrażała najwyższe zakłopotanie, szerokie usta uśmiechały się niepewnie, a z całej postawy bił lęk nieczystego sumienia. Obrzucili go surowo badawczem wejrzeniem, siadając wygodnie na ławie.

— Mikołaju, synu Euzebjuszowy — zagaił rzecz Markus Ancilla z powagą, — jako przyjaciele ojca twego pobożnej pamięci, przyszliśmy cię spytać, co czynisz?

— Zgorszenie miastu dajesz, którego ścierpieć nie możemy — przerwał porywczo Chrystofor.

— Zbawienie duszy narażając — westchnął Lucius, składając ręce na wydatnym brzuchu.

— Noce poza domem spędzasz — podjął surowo Ancilla, — majątek nikczemnie marnujesz. Nie poto ojciec twój zapobiegliwie go gromadził...

— Hańbisz się! tajnej rozpuście oddajesz!

— Powiadają już, żeś wiary świętej odstąpił, do pogańskich praktyk bezecnych należąc...

Mikołaj potrząsnął głową przecząco.

— Oby tak nie było!... Dokąd zatem chodzisz nocami?

— Gadaj nam zaraz, a szczerze...

— W imieniu gminy żądamy!...

A gdy oskarżony milczał uparcie, mnąc kraj sukni w drżących palcach, w sercu poważnych mężów wezbrał słuszny gniew.

— Biada ci, nieszczęśniku, który w szpony szatanów popadłeś! — zagrzmiał Chrystofor, — biada ci! Ratować będziem twą duszę, z wolą czy bez woli, obaczysz!

Wyszli wzburzeni, otrzepując na progu starannie sandały. Mikołaj stał bez ruchu. Wyzwoleniec odprowadził ich do drzwi.

— Nie tak nas tu niegdyś przyjmowano — sapnął doń z gniewem Chrystofor; — na taki żar nawet kropli wina nie podałeś, Symforjonie!

— Nie mamy wina w domu, dostojny panie! — szepnął wyzwoleniec.

— Niema wina?! Cóż podajecie do stołu?

— Mleko kozie — westchnął sługa; — młody pan przaśnemi plackami, figami i mlekiem żyje, a my z nim — dokończył żałośnie.

— Słyszeliście szlachetni przyjaciele? — zagadnął

za wrotami towarzyszy Markus Ancilla. — W nocy fortunę trwoni na rozpustę, w domu zasię służbę głodzi...

— Czary to pogańskie! Czary! Tessalijskie jędze go zmamiły. — Widziały praczki onegdaj podle gaju, któren ku wybrzeżu schodzi, korowód owych czarownic, przy miesiącu tańce swoje sprawujących...

— Uchowaj Boże! — wzdrygnął się z lękiem Lucius.

— Na świętego Walentego męczennika! W gaju?! Toćże tam Mikołaja, wrzkomo wracającego z Andrjaku, widziano!

— Baczycie?!

— Nietylko dla pamięci cnotliwego Euzebjusza, lecz dla spokoju całego miasta, które za sprawą jednego apostaty nawiedzone przez demony być może, należy swawolę Mikołaja grzesznika ukrócić — stwierdził uroczyście Chrystofor.

Weszli do winiarni, gdzie znajomi zwartem kołem otaczali Serwiljusza, owocarza. Genjusz dobroczynny nawiedził jego dom tej nocy. Mała Lucylla zdążyła zobaczyć, gdy znikał, długi szmat barwnej materji. Dziecko, jak to dziecko, upierało się, że była to sakwa z kwiecistego bławatu zeszyta, z której Genjusz wystrząsnął swe dary, niewątpliwie zaś musiał to być kraj szaty lub skrzydła.

Lecz trzej mężowie słuchali tego obojętnie. Co tam Genjusz! — Dotąd nie był u nich, i u innych co

najprzedniejszych. Nierównie więcej pochłaniała ich uwagę sprawa Mikołaja. Obiecali sobie roztoczyć baczny nadzór nad grzesznikiem.

Jakoż w parę dni później już go wykryli, przemykającego się nocą pod ścianami.

— Mikołaju! Mikołaju! stój!...

Słysząc wołanie, porwał się uciekać. Skoczyli za nim. Wnet przyłączyli się do nich sąsiedzi, zwabieni hałasem. Mikołaj pędził jak jeleń, daremnie starając się omylić pogoń w zawiłej plątaninie uliczek. Tłum, krzycząc i grożąc, biegł za nim. Gorliwsi kamieniami sięgali. Zbudziło się całe miasto.

Równocześnie zaś nieczuły zdawna na gwary zewnętrzne, w rozmyślaniach dusznych zatopiony, sędziwy biskup Epiphanes roztworzył szeroko w ciemność niewidome oczy. Wrzawa rozbudzonego miasta biła w okna, nie dochodząc doń. Daleki o całe światy od wrzaskliwych ludzi zdołu, uniósł się, zasłuchany w Głosy tajemne, Boskie, z za krawędzi świata dochodzące, których dźwięk tak jest odległy, iż czterdzieści lat ciszy straszliwej pustyni zaledwie nieraz wystarczy, aby je uchem pochwycić. Nakaz, tyle lat oczekiwany, przyszedł nareszcie, i bił weń rozkazująco, mocno, nieodparcie. Przyłożył dłonie do czoła, by uciszyć szum, wypełniający suchą czaszkę niby morską konchę, i treść nakazu rozeznać. Zapragnął wstać i pójść, choć nie wiedział jeszcze, dokąd. Nie było nikogo w po-

bliżu. Diakoni zbiegli nadół, zwabieni krzykiem na placu, przeto sam dźwignął z wysiłkiem zniedołężniałe ciało. Drżącemi rękoma zmacał biskupie swe szaty. Włożył na głowę infułę. Podpierając się laską krzywulą, schodził po schodach, wiedziony czuciem nieomylnem.

Głosy śpiewały wokoło i w nim. Rozeznawał je teraz wyraźnie; ptaszęcym chórem dzwoniły: Naznacz go! Naznacz go! Naznacz go, i spocznij rad...

Szedł ciemną nawą kościoła, szczęśliwy, wyciągając w ciemności ramiona ku temu, kogo głos zwiastował... — Nareszcie będzie mógł spocząć!... Czuł już wieczną wiosnę duszy, ku której wyzwolić się osiągnie prawo. Odrzuci larwę cielesną starości, jak łachman przykry, zetlały...

Zachwiał się nagle, bo człowiek uciekający upadł mu do nóg bezwładnie. Rozświegotały się Głosy, rozjaśniła się twarz starca. Niezbicie czując, iż trzyma w ramionach następcę, nie pytał, kim był ów człowiek, ani skąd się wziął. Nie wiedział, że równocześnie wtargnął do kościoła groźny i wzburzony tłum. Blask pochodni rozświecał głęboką noc bazyliki. W tem świetle ujrzano starca, jak radosnemi rękami zdejmował z głowy infułę, tyle lat na głowie ciążącą, i wciskał na głowę zbiega. Z szyi krzyż, z ręki laskę pasterza, krzywulę. W gorączce szczęśliwej zsuwał z sękatego palca pierścień, drżącą ręką szukał dłoni, na którą ametyst nasunie. A ustroiwszy, odwrócił go

twarzą ku wyjściu, i wzniósł wysoko błogosławiące dłonie nad głową wybrańca. Nie słyszał gniewnego szemrania. Tłum, zaskoczony nie chciał ustąpić bynajmniej. Omyłka świątobliwego ślepca była zbyt widoczna i gorsząca. Szacunek wstrzymywał, rozsądek nakazywał przeciwdziałać rychło. Ruszono naprzód stanowczo. A w tejże chwili, wpółnieprzytomny ze wstydu i przerażenia, Mikołaj upuścił zawiniątko, kurczowo dotąd przy piersi trzymane. Upadło z szelestem na ziemię. Okrągłe placuszki miodu, radość dzieci, potoczyły się po stopniach aż pod nogi tłumu.

— Sakwa Genjusza! — wykrzyknęła ze zdumieniem mała Lucylla, córka owocarza.

SPIS ILUSTRACYJ

Po str.

Św. Antoni 2
Św. Jozafat 18
Św. Jerzy 46
Błog. Andrzej Bobola 60
Św. Franciszek Ksawery 80
Błog. Sadok 106
Św. Orszula 128
Św. Klara 148
Św. Hieronim 160
Św. Jadwiga, ks. śląska 184
Krzyż św. Andrzeja 192
Św. Mikołaj 210

SPIS RZECZY

Str.

Na pustyni 1
Legenda o św. Jozafacie i Barlaamie 17
Legenda o św. Jerzym 45
W puszczy 59
Krzyż św. Franciszka Ksawerego 79
Legenda Opactwa sandomierskiego 105
Perły św. Orszuli 127
Szaleńcy Boży 147
Legenda o św. Hieronimie 159
Powódź w Krośnie 183
Legenda o św. Andrzeju 191
Pierwsze dary św. Mikołaja 209

Spis ilustracyj 227

PRINTED IN POLAND.